

MARGIT SANDEMO

TAJEMNICA GÓR CZARNYCH

Saga o Królestwie Światła 13

Z norweskiego przełożyła

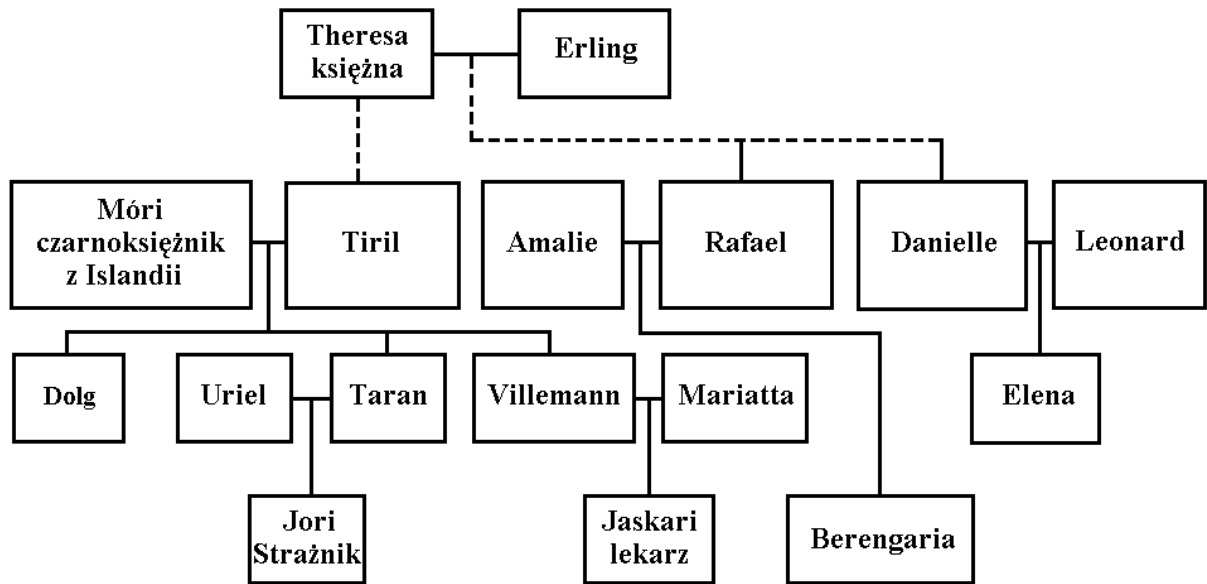
ANNA MARCINIAKÓWNA

POL-NORDICA

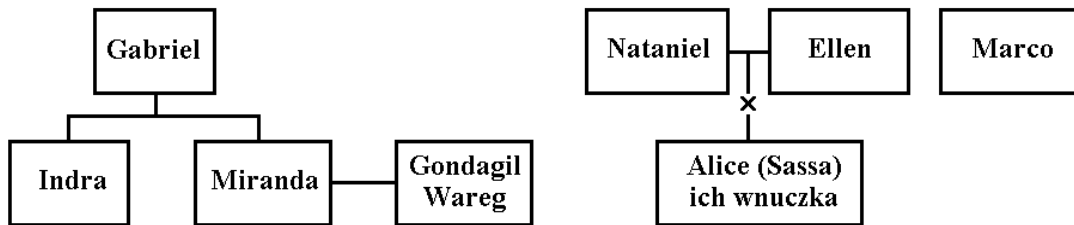
Otwock

Ekspedycja z Królestwa Światła jest gotowa do pokonania ostatniego etapu: dotarcia do źródła jasnej wody w Górach Czarnych. Wybrany, młody Indianin Oko Nocy, ma podjąć próbę zdobycia wody. Towarzyszą mu Shira i Mar oraz szlachetny Marco, książę Czarnych Sal. Żadne z nich jednak nie może iść z nim aż do samego końca. Ostatni odcinek musi przebyć sam i nikt nie wie, czy uda mu się sforsować wszystkie przeszkody...

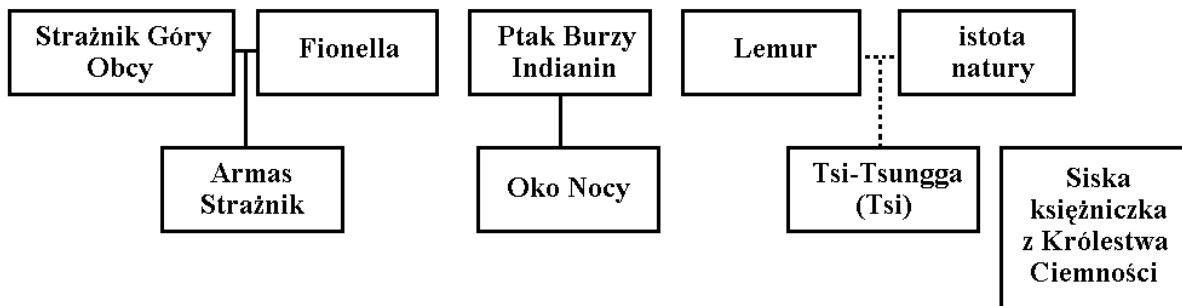
RODZINA CZARNOKSIĘŻNIKA



LUDZIE LODU



INNI



Ram, najwyższy dowódca Strażników
Inni Strażnicy: Rok, Tell, Kiro, Goram
Faron, potężny Obcy
Oriana
Thomas
Helge, Wareg
Geri i Freki, dwa wilki

Ponadto w Królestwie Światła mieszkają ludzie wywodzący się z rozmaitych epok, tajemniczy Obcy, Lemuryjczycy, Madragowie, duchy Móriego, duchy przodków Ludzi Lodu, elfy wraz z innymi duszkami przyrody, istoty zamieszkujące Starą Twierdzę oraz wiele różnych zwierząt.

Poza tym w południowej części Królestwa Światła żyją Atlantydzi. Istnieją też nieznanne plemiona w Królestwie Ciemności oraz to, co kryje się w Górach Czarnych, źródło pełnego skargi zawodzenia.

Wnętrze Ziemi
(jedna połowa)



„NASIENIE WROGA,
MLEKO DZIEWICY
I KREW KOŚCIOTRUPA”

- Jakim sposobem znajdziemy coś takiego? - zastanawiał się Oko Nocy wzburzony. - I to tutaj? Gdzie nie ma dosłownie niczego!

STRESZCZENIE

Królestwo Światła znajduje się w centralnym punkcie Ziemi. Oświeśla je Święte Słońce, poza nim natomiast panuje Ciemność, nieznana i przerażająca.

Najwyższym celem Obcych jest stworzenie na Ziemi trwałego pokoju i uratowanie planety Tellus. Żeby można było to osiągnąć, uczucia ludzi muszą się gruntownie odmienić. To zaś mógłby sprawić cudowny eliksir, usuwający z umysłów ludzi złe i nienawistne myśli.

Obcy, Lemuryjczycy, Madragowie i część ludzi z Królestwa Światła zdobyli już wszystko, co potrzebne do tego eliksiru, brak im jeszcze tylko jednego składnika, a mianowicie jasnej wody ze źródła dobra, znajdującego się gdzieś w Górach Czarnych, siedzibie zła.

Królestwo Światła wysyła więc w tamte rejony ekspedycję dla zdobycia drogocennej wody. Jest to jednak wyprawa bez nadziei na powodzenie. Góry Czarne bowiem słusznie nazywane bywają również Górami Śmierci i każdy, kto znajdzie się w obrębie oddziaływania zła, sam też staje się zły. To właśnie najbardziej wszystkich przeraża.

Dowódca ekspedycji, wysoko postawiony Obcy imieniem Faron, odesłał już do domu większość jej członków, którzy najlepiej jak umieli wykonali swoje zadania. Na pokładzie Juggernauta numer dwa zostali właśnie Faron, Madrag Tich, kierujący budzącym grozę pojazdem, Lemuryjczyk Ram, dowódca Strażników w Królestwie Światła, oraz jego ukochana, Indra, pochodząca z Ludzi Lodu. Poza tym jest jeszcze leśny elf, Tsi-Tsungga, tak ciężko ranny, że uratować go może jedynie woda ze źródła dobra. U łóżka chorego wiernie czuwa Siska, księżniczka z Ciemności. Został również niezwykle, małomówny syn Czarnoksiężnika, Dolg, oraz jego nieodłączny towarzysz, Lemuryjczyk Cień, który jest duchem. Dziewiątym pasażerem J2 jest wilk Freki, którego członkowie ekspedycji uratowali spod wpływu zła.

Otoczeni przez potwornie złe siły, czujnie strzeżeni, czekają cierpliwie na czworo przyjaciół, których wybrano do spełnienia najważniejszego zadania: odnalezienia źródła dobra i zdobycia jasnej wody.

Cała czwórka zniknęła w górach przed wieloma dniami i przepadła gdzieś na nieznanym pustkowiach.

1

Ziemia powstawała bardzo powoli, musiały upłynąć miliony lat, zanim uzyskała swoją formę. Kiedy wszystko ukształtowało się już na tyle, że z chaosu mogło się wyłonić życie, w przestrzeni kosmicznej mrok został oddzielony od światła, w sercach żywych istot radość oddzielono od smutku, a dobro i zło zamknięto w ukrytych źródłach.

Ziemię przecinają na wskroś dwie żyły wodne. Biorą one początek w centrum globu i ciągną się ku powierzchni, do świata żywych. I dobro, i zło wydobywają się później w postaci oparów i rozprzestrzeniają ponad Ziemią tak, że wszystko, co żywe, musi je wdychać.

Zwierzęta bardzo dobrze poradziły sobie z wpływem oparów. Większość z nich zachowała nienaruszoną czystość uczuć, tylko niektóre gatunki stały się złe i agresywne wobec innych, ale i to służy jedynie ich przetrwaniu.

Także wielu ludzi potrafiło się oprzeć prawie niezauważalnemu wpływowi zła. Są jednak i tacy, którzy nigdy nie posmakowali łagodnego tchnienia dobra.

W roku 1742 Shira z Ludzi Lodu zdołała doprowadzić do tego, że źródła znajdujące się na powierzchni Ziemi zostały zamknięte na zawsze. Z tego właśnie powodu opary wydobywające się z podziemnych zbiorników zaczęły gęstnieć. Na powierzchni Ziemi różnicy nie zauważano, dawne opary bowiem unosiły się nad nią jeszcze przez wiele stuleci.

Źródła zaś w Górach Czarnych, tuż koło centrum globu, istniały nadal.

Opowiemy teraz o ponurej historii tych ostatnich źródeł i o tym, jak Faron oraz jego towarzysze z Królestwa Światła narażali życie po to, by woda ze źródła dobra mogła uzyskać przewagę, oraz po to, by, o ile to możliwe, zamknąć źródło zła.

Tych kilkoro pozostałych jeszcze członków ekspedycji, wiernie czekających na czwórkę wysłańców, kuliło się we wnętrzu pojazdu. Na zewnątrz panował mrok i zło. W środku było ciepło i jako tako bezpiecznie.

Wciąż myśleli o czworgu wędrujących samotnie po groźnych przestrzeniach, po tajemniczych pustkowiach zimnych Gór Czarnych. Nic nie mogli dla nich zrobić, tylko czekać i mieć nadzieję.

- Co z farangilem, Dolgu? - zapytał Faron cicho. - Czy coś się poprawiło?

- Nie wiem, Faronie - odpowiedział głucho strażnik szlachetnych kamieni - Boję się, że już nigdy nie będzie naprawdę czysty.

- Zło, które go dotknęło, było zbyt wielkie. Zbyt często nasz czerwony klejnot musiał

się mierzyć z draństwem i nienawiścią - przytaknął Cień. - A co z szafirem?

- Też zmętniał, ale nie aż tak - wyjaśnił Dolg.

Ram siedział w milczeniu, obejmując ramieniem Indrę. Odnaleźli się nareszcie oboje, ale czy kiedykolwiek jeszcze dane im będzie zobaczyć piękne Królestwo Światła, tego nikt nie wiedział.

U postania Tsi czuwała Siska, blada ze zmęczenia i troski. Elf ziemi i lasu znowu spał, ale jego świszczący, ciężki oddech nie wróżył nic dobrego.

Madrag Tich siedział bez słowa nad swoimi migającymi lampkami i nieustannie wypatrywał, czy nie dostrzeże czegoś w ciemniejszej coraz bardziej dolinie. Na podłodze leżał Freki, wilk, który z własnej woli został, żeby im pomagać.

Dolg, samotny nawet w gronie towarzyszy, wstał i bezszelestnie poszedł zobaczyć swoje kamienie. Przekroczył próg małego, tajemnego pokoiku, gdzie leżały w ciepłym blasku niedużego Świętego Słońca. Zamknął drzwi i znalazł się sam na sam z kamieniami.

Światło słońca było bardzo silne, szafir jednak pozostawał od dłuższego czasu mętny, a farangil czarny.

Dolg, jedyny, który miał prawo dotykać owych rzadkiej urody klejnotów, wziął ukochany kamień drżącymi rękami.

- Mój najdroższy - szeptał cicho. - Najdroższy, ja naprawdę nie chciałem!

Był taki smutny, tak mu było ciężko na sercu, że łzy zaczęły spływać na dawniej taki promieniejący farangil. I oto tam, gdzie upadła łza, kamień stawał się jaśniejszy.

Teraz Dolg płakał z radości, łzy kapały, farangil jaśniał, bo łzy miłości i troski są w stanie uleczyć najcięższą ranę.

Kamień wciąż jeszcze nie był taki czysty jak dawniej, trzeba było na to chyba znacznie więcej czasu i starań, ale trochę pomogło.

- Tak strasznie was teraz potrzebujemy - szeptał uradowany Dolg do wszystkich trzech skarbów: farangila, szafiru i małego słońeczka, świecącego ze zdumiewającą siłą. - Potrzebujemy was, bo nasze zadanie wciąż nie zostało spełnione. Gdzieś w górach błakają się nasi przyjaciele, są sami na najbardziej groźnych pustkowiach.

Jego myśli przepelniał lęk o nieobecną czwórkę, obejmował dłońmi to czerwony, to niebieski kamień, oba pomagały mu w tylu groźnych sytuacjach, a teraz zostały tak ciężko uszkodzone.

- Pomóżcie im - błagał szeptem. - Skierujcie swoje gorące promienie do ich serc, przekazcie im waszą siłę tak, jak ja staram się tchnąć w was moją.

Długo jeszcze stał w milczeniu, z zamkniętymi oczyma, pogrążony w modlitwie.

Na zewnątrz było śmiertelnie pusto, bardzo ciemno i bardzo zimno...

Wtedy, przed wieloma dniami, kiedy rozdzielali się na dwie grupy w zatraconych górach zła, po raz ostatni widzieli swoich drogich wybranych i patrzyli, jak tamci znikają w ciemnościach w poszukiwaniu nieznanych ścieżek wiodących do źródła dobra. Usłyszeli, że jakaś brama się zatrzasnęła, i nic już nie było widać.

Serca patrzących w ślad za odchodzącymi wypełniły pustka i lęk.

Kiedy wrota się zamknęły, czworo wysłańców stanęło w mrocznej ciszy, domyślając się, że tędy od dawna nikt nie wędrował.

W skład grupy bardzo starannie wybranej do trudnej i niebezpiecznej wędrowki wchodziły duchy Shira i Mar, którzy już podobną drogę przeszli przed setkami lat. Trzeci w grupie, Marco, księżę Czarnych Sal, nie był duchem, lecz żyjącym człowiekiem. Dzięki pochodzeniu jednak obdarzony został bardzo długim, niemal wiecznym życiem. Ludzie Lodu uważali go za kogoś tak ważnego, że wprost trudno to wyrazić.

Czwartym, za to najważniejszym, był Indianin Oko Nocy. Urodził się ze znakiem wybranego na czole, ale był zwyczajnym śmiertelnikiem i dlatego to on musiał ostatni odcinek drogi do źródła pokonać sam, podobnie jak niegdyś musiała to uczynić Shira, dawno temu, kiedy jeszcze była żywą dziewczyną w ziemskim świecie. Wtedy przeciwstawiał się jej Mar, uczeń Złego. Później został jej mężem i najwierniejszym przyjacielem.

Zadanie Oka Nocy jednak wcale nie jest identyczne z tym, jakie miała do spełnienia Shira. Wprost przeciwnie! Byłoby dla niego sprawą zbyt prostą powtórzyć jedynie jej dokonania. Dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że on będzie musiał pokonać własne przeszkody.

Teraz stali w ciemnościach i głuchej ciszy, nie wiedząc, gdzie się znajdują. Wokół panowało milczenie, złowieszcze milczenie.

- Oko Nocy, poświęć nam trochę swoją latarką - poprosił Marco szeptem. - Tylko ostrożnie, bardzo ostrożnie, ta cisza wydaje mi się podstępna i zdradziecka.

Indianin spełnił prośbę. Światło padło na kamienną posadzkę u ich stóp. Kierował teraz strumień wolno w górę, kawałek po kawałeczku.

Znajdowali się w jakiejś sztolni czy czymś takim. Była wąska, ciasna, wokół wędrowców zamykały się skalne ściany.

W górę wiodły schody. Stopnie jednak były strome i bardzo wysokie, takie wysokie, że każdy sięgał stojącym do kolan, a obok nic, czego można by się przytrzymać, zupełnie nic, tylko gładkie skalne ściany. Na dodatek stopnie okazały się wąskie tak, że można się po nich

poruszać tylko na palcach, a kiedy Oko Nocy skierował latarkę pionowo w górę, nie zobaczyli tam niczego. Żadnego zakończenia, drzwi, przejścia, nic, tylko ciemność i zimne mury.

Nie, „mury”, to złe określenia. To po prostu skała, lita górską ścianą.

Zaczęli się z wielkim mozołem wspinać.

Oko Nocy, urodzony tropiciel śladów i niewidzialnych ścieżek, szedł jako pierwszy. To zresztą słuszne również z innego powodu, był przecież w tej grupie jedynym człowiekiem, w którego żyłach nie płynęła domieszka żadnej niezwyklej krwi, był więc też jedynym, który się męczył. Należało zatem tempo wspinaczki dopasować do jego możliwości.

Skała okazała się niesamowicie gładka, często musieli się zatrzymywać i zastanowić, jak posuwać się dalej, zwłaszcza że od czasu do czasu stopnie po prostu się kończyły i zaczynały znowu znacznie wyżej. Wtedy duchy musiały pomagać, wciągać Marca i Oko Nocy, żeby mogli wspinać się dalej.

Nie wiedzieli już, jak długo to wszystko trwa, mieli wrażenie, że idą tak od wielu dni. W końcu jednak nad głowami zamajaczyło coś jaśniejszego, jakby niebo przed świtem. Znajdowali się na górze.

Oszołomieni rozglądali się w wiecznym szarym mroku gór zła. Byli teraz bardzo wysoko, znacznie wyżej niż kiedykolwiek mogliby przypuszczać, i nagle uświadomili sobie, że nie prowadzi tutaj żadna inna droga niż ta, którą właśnie przebyli. Oto przedostali się poprzez wnętrze głównej góry, wyszli na przekłętą szczyt zła.

Mieli szczęście, że nikt ich nie spostrzegł!

Wszędzie było tak ciemno, tak strasznie zimno, lodowaty wiatr przenikał do szpiku kości.

- Usiądźmy na chwilę - zaproponował Marco. - Odpocznijmy, a potem obmyślimy następny ruch.

To rozsądna propozycja, rozlokowali się zatem pod osłoną wystającej skały. Wokół nich wznosiły się do nieba, ostre szczyty, przerażająco czarne. Ale ponad sobą, oszałamiająco daleko, widzieli dającą pociechę gwiazdę, która była ich domem. Ich ukochanym Królestwem Światła.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i dyszeli po ciężkiej wspinaczce.

Oko Nocy zastanawiał się, jak zdoła wypełnić powierzone mu zadanie. Był, rzecz jasna, przygotowywany, długo i starannie, ale kto mógłby mu powiedzieć, co tam na niego czeka? Kiedy siedziało się bezpiecznie w domu, w pięknym, jasnym królestwie, trudno było sobie wyobrazić miejsce, w którym się teraz znajdowali, nie mówiąc już o tym, co jeszcze

nadejdzie.

Naturalnie wielokrotnie prosił o radę Shire, zresztą dlatego właśnie zdecydowano, że będzie mu ona przez jakiś czas towarzyszyć w drodze. Jej podstawowa rada brzmiała:

„Zawsze dobrze się zastanawiaj! Nigdy się nie wahaj! Nigdy nie okazuj lęku, bo wtedy oni będą mieli nad tobą przewagę. Nigdy nie rezygnuj z dobroci!”

Och, jakże dokładnie odczytywał opowieść o jej wędrowce do źródeł! Pożyczył od Gabriela kroniki Ludzi Lodu i ich siedemnasty tom, zatytułowany „Ogród Śmierci”, studiował tak często, że prawie się go nauczył na pamięć. O wędrowce Shiry przez wszystkie kolejne grotty aż do celu, do samego źródła, czystego i jasnego. W każdej grocie czekała Shire jakaś próba, przede wszystkim chodziło o sprawdzenie sił duchowych dziewczyny. Ach, Shira, jakie to ona spotkała swoje słabości! Zazdrość, pychę...

Ale Oko Nocy miał teraz wątpliwości. Czy nie za bardzo skupił się na studiowaniu dokonań Shiry? A co gorsza: Czy to nie zostanie mu poczytane za oszustwo, ułatwianie sobie zadania? Korzystając z jej doświadczenia, będzie przecież mógł szybciej uporać się z przeszkodami.

Nie. Wiedział, że jego zadania będą zupełnie inne. Mimo wszystko wiele się z doświadczeń Shiry nauczył. I jeśli teraz będzie czerpał z tego korzyści, to jakie to ma znaczenie? Chodzi przecież o pokonanie samej istoty zła, czy dla takiego celu nie powinno się wykorzystywać wszelkich dostępnych środków?

Całkiem zadowolony z tego rozumowania jednak nie był.

Nieustannie przemierzał w myślach szlaki swej poprzedniczki. Po pierwsze: bramy. Każda z nich była mniejsza, w końcu ostatnia okazała się zaledwie szczeliną w skale, przez którą Shira musiała się precyzyjnie przesuwać. Jakby się jeszcze raz musiała rodzić, tak było tam ciasno. No i liczne grotty pomiędzy poszczególnymi bramami. Było ich chyba jedenaście. W każdym razie coś koło tego, trudno bowiem dokładnie określić, co nazwać grota, a co nie.

Pierwsza grota, pierwsza próba, wielka, wykładana złotem sala zwierciadeł. Sala pychy i zarozumiałstwa. Z podłogą z pajęczyny. W pewnym miejscu Shira się zapadła i o mało nie zniknęła w otchłani. Shira? Taka skromna i pokorna! To jak on sobie poradzi z całą swoją dumą i pewnością siebie?

Nie, no prawda, on nie będzie musiał sprostać takim samym próbom.

Ale co jemu jest pisane? Tego nie wiedział nikt.

Druga grota... Bezkresna, pusta przestrzeń pełna fałszywych źródeł i obietnic miłości. W tej grocie sprawdzano siłę uporu dziewczyny. Shira poradziła sobie w niej znakomicie. W trzeciej również. Tam chodziło o rozsądek i zaradność. Grota pełna olbrzymich młyńskich

kamieni.

Ale to niesprawiedliwe, pomyślał nagle wzburzony. Shira niemal od urodzenia była do tego przygotowywana. Od początku wiedziała, że ma być nieskazitelnie czystym i dobrym człowiekiem. On zaś, Oko Nocy, całkiem niedawno dowiedział się, że czeka go ta trudna droga do źródła. On, wychowywany po indiańsku, według innych zasad i swoistego poglądu na to, co to znaczy „udane życie”. Z pewnością poradzi sobie w sytuacjach, gdzie chodzi o mądrość, siłę fizyczną czy wytrzymałość, jak w grocie numer dziewięć. Ale pokora, miłosierdzie i tego rodzaju łagodne uczucia... Kto może tego od niego wymagać?

Zrezygnował z rozpatrywania po raz setny fantastycznej wędrówki Shiry i oparł się o ścianę, starając się uwolnić od wszelkich myśli. Musi mieć umysł czysty na spotkanie tego, co lada chwila nastąpi.

Shira siedziała w milczeniu zdjeta lękiem. Ja nie chcę, nie chcę jeszcze raz pokonywać tej drogi przerażenia. Wiem, że nie muszę tego robić. Że powinnam zostać z Marem, kiedy stwierdzimy, że właściwy czas nadszedł. Ale co będzie, jeśli niczego nie zauważymy? Jeśli jeszcze raz zostaniemy wciągnięci przez te podstępne sieci krętych korytarzy w pełnych grozy salach? Jeśli zostanę rozdzielona z Marem i tamtymi dwoma i będę znowu musiała podjąć samotną walkę ze złem tak jak poprzednio?

Shira nie zwróciła uwagi na to, że oddycha ciężko, z trudem chwyta powietrze, a jej twarz to czerwień się, to blednie. Znalazła się na skraju paniki i tylko uspokajająca dłoń Marca, która spoczęła na jej ręce, przywróciła jej poczucie rzeczywistości.

Tylko co to za rzeczywistość! Znajdowali się w okolicy, w której wszystko było dla nich obce.

Marco bardzo się lękał o Shirę, od chwili gdy stwierdził, jak źle znosi tę wędrówkę, przyrzekł sobie, że zrobi wszystko, żeby ją chronić. Ona jednak miała Mara, a zadaniem Marca było pilnować Oka Nocy i dbać o niego, dopóki będzie w stanie.

Najchętniej towarzyszyłbym temu chłopcu aż do samego źródła, rozmyślał Marco. Ale nie mogę, ta droga nie jest obliczona na mnie. Jestem zbyt silny, dziedzictwo, jakie przyniosłem ze sobą na świat, daje mi zbyt wielką przewagę, pokonałbym wszystkie przeszkody z łatwością. Tego musi dokonać dziecko ludzi, a Oko Nocy jest najwłaściwszym kandydatem.

Mnie natomiast przeznaczono inne, bardzo niebezpieczne zadanie. Moi przyjaciele jeszcze o tym nie wiedzą. Chyba tylko Faron i może się Dolg czegoś domyśla.

Złowieszczy dreszcz przeniknął Marca. Jakby góry, czarne i spiczaste, zamknęły się wokół niego na zawsze.

Ponury, czarny nastrój otulił jego duszę niczym ciężka peleryna. Wicher przedzierał się ze świstem między szczytami, przynosząc mu przecucie nie dającego się ukoić cierpienia i chłodu.

Czwarty w grupie, Mar, wstał ze swojego miejsca i rozglądał się dookoła. Tuż przed jego stopami zbocze załamywało się i schodziło stromo ku dolinie. Nikt chyba nie byłby w stanie tamtędy przejść. Na samym dole majaczyły jakieś straszne budowle. Fabryki, a może paradne pałace? Z miejsca, w którym stał, widział jedynie część pompatycznego kolosa. Większość doliny przesłaniały opary i dym.

Jedna myśl nie dawała mu spokoju: Jak stąd zejdziemy? Jakim sposobem uda nam się kiedykolwiek wrócić do domu?

Tak jak to teraz widział, będzie to najcięższa ze wszystkich prób.

Skierował wzrok w inną stronę. Ku górskim pustkowiom, przez które muszą przejść.

Specjalnie daleko wzrokiem nie sięgał. Postrzępione góry zamykały krajobraz, rysowały się smoliście czarne na tle tutejszego wiecznego mroku.

Marco zawołał, że czas się zbierać.

Wszyscy czworo spakowali swoje rzeczy. Ale bezradność i smutek zakradały się do ich serc, otaczały ich niczym milczące duchy z tych wichrowych gór.

- Spróbujmy się dowiedzieć, co z tamtymi - powiedziała Shira. - I poinformujmy ich, jak daleko sami dotarliśmy.

Wszyscy uznali, że to bardzo dobry pomysł, i Oko Nocy natychmiast zaczął telefonować.

W eterze panowała jednak cisza. Nie wydobyli z aparatu nawet najmniejszego trzasku. W ogóle nic.

- Znajdujemy się poza zasięgiem ich odbiorników - stwierdził Marco. - No, a co z grupą Rama? Może z nimi się porozumiemy?

Tym razem słyhać było więcej, ale też nic poza trzaskami i jakimś dalekim, przejmującym wizgiem.

- No to jesteśmy w izolacji - powiedział Oko Nocy głucho. - Zresztą, czy można się było spodziewać czego innego?

Przygnębieni odłożyli nadajniki.

Wiatr przelatywał koło nich ze złowieszczym szumem.

- Robi się coraz chłodniej, jakby się zanosilo na śnieg - powiedział Marco.

Shira i Mar mu przytaknęli, Oko Nocy jednak urodził się w Królestwie Światła i w ogóle nic nie wiedział na temat śniegu. Jedyne, co teraz odczuwał, to dojmujące zimno, przenikające do szpiku kości; przez krótką chwilę zapragnął nawet znaleźć się w ciepłym Królestwie Światła, w indiańskim obozowisku. Zateśknił za rodzinną wspólnotą ludzi zgromadzonych wokół ognia, za tym, by poczuć znowu w sercu ten szczególny żar, jaki daje troska o innych, o całe plemię.

Chociaż tutaj też nie był sam, jednym z najpiękniejszych uczuć, jakie w życiu poznał, była więź łącząca go z przyjaciółmi, z którymi teraz znajdował się na tych mrocznych pustkowiach. Z Markiem, Shirą i Marem oraz ze wszystkimi, którzy czekają na nich w pojazdach Madragów.

Oko Nocy nie wiedział bowiem, że większość uczestników ekspedycji wkrótce w jednym z pojazdów wyruszy do domu. Pojęcia nie miał, że J1 niedługo zabierze Chora i Sassę, i Heikego, a także Joriego, Armasa i Yorimoto i opuści Góry Czarne. Dwa wilki oraz uwolnieni jeńcy będą z nimi, kiedy nadejdzie czas przełomu. Kiro i Sol już teraz znajdowali się w drodze ku Ciemności, skąd następnie skierują się do Królestwa Światła, zabierając ze świata baśni i przygody tych, którzy byli tutaj więzieni.

Wszystko to pozostawało tajemnicą dla grupy wędrującej bez celu i żadnej dokładniejszej informacji.

Oko Nocy miał jednak wrażenie, że ów nieustanny, porywisty wiatr przynosi im zapowiedź zbliżającego się zła. Wydawało mu się to głupie, ale za nic nie mógł się pozbyć przykrego uczucia.

Tutaj, na górze, skaliste podłoże pokrywał jakiś mech. Dziwaczny jak na mech, sprawiał beznadziejne, żalosne wrażenie, czepiał się rozpaczliwie nieurodzajnej skały, która naprawdę nie mogła go wykarmić.

Oko Nocy pochylił się i pogłaskał rośliny, jakby chciał im dodać odwagi i siły, nie zdając sobie z tego sprawy, sam tym sposobem odbudowywał własną siłę, która miała mu się bardzo przydać w dalszej wędrówce.

- Musimy przejść przez tamten pasaż - powiedział Marco, wskazując ręką, który pasaż ma na myśli. - Nie wygląda on wprawdzie specjalnie zachęcająco, ale mam wrażenie, jakby z jakiegoś powodu na nas czekał.

Wszyscy odczuwali to samo, to przejście mogło się okazać groźne.

Kiedy dotarli do rozpadliny, będącej jedynym wyjściem stąd, jeśli nie chcieli się wspinać po sterczących ostro w górę szczytach, zaczęli się domyślać, o co w tym wszystkim chodzi. Żalosny szept wiatru narastał do potężnego wycia. Żeby się w ogóle nawzajem słyszeć, musieli wrzeszczeć ile sił w płucach.

I nagle Shira została porwana w głąb pasażu. Wsysający wichur unosił jej lekkie, kruche ciało niczym jesienny liść, biedaczka zrozpaczona wzywała pomocy.

Mar bez zastanowienia również dał się ponieść wiatrowi, to jedyne, co mógł zrobić, żeby znaleźć się znowu obok ukochanej. Marco i Oko Nocy stali, trzymając się z całych sił nierównej skały.

- Oni są duchami - powiedział Marco. - Dają sobie radę lepiej niż my w podobnej sytuacji. Spójrz, Mar chwycił Shirę, razem będą silniejsi.

Mar zdołał się złapać skalnego występu w głębi pasażu. Ale przede wszystkim starał się trzymać przy sobie Shirę, w końcu ona też znalazła jakiś punkt oparcia. I oboje powoli, bardzo ostrożnie, zaczęli się zbliżać do Marca i Oka Nocy. Nareszcie Marco mógł wyciągnąć do nich rękę przez sterczącą tu nagą skałę i znowu byli wszyscy razem.

- Przejście tędy wydaje mi się śmiertelnie niebezpieczne! - zawołał Mar. - To chyba gdzieś tutaj bierze początek ten wir, który tak wielu wciągnął do wnętrza Gór Czarnych.

- Możliwe - odparł Marco, ale w jego głosie brzmiało powątpiewanie. - Nie natrafiliśmy na niego nigdy podczas długiej, spiralnej, jak to określaliście, wędrówki w stronę

gór. Czy ten wir nie ogranicza się tylko do zewnętrznych okolic Gór Śmierci?

Mar wskazał na złowrogi, wsysający prąd powietrza.

- On w niektórych okolicach schodzi pod ziemię, widzieliśmy, że znika w przerażającej dziurze.

Marco skinął głową.

- Tak. Tak to może być. Ta wsysająca siła może się znajdować pod ziemią. Gdzieś dalej znowu się wyłania na powierzchnię i wciąga dosłownie wszystko, co się pojawi w okolicy. Nie chcę oglądać tej dziury. Chodźcie, znajdziemy inną drogę!

Zrobiło się straszne zamieszanie, bo nagle Shira o mało znowu nie została porwana. Wszyscy rzucili się na pomoc, a kiedy ponownie znalazła się na bezpiecznym gruncie, pospiesznie odeszli od groźnego pasażu; mieli zamiar nieco dalej szukać innej drogi, tym razem z lewej strony.

Zrobili ledwie parę kroków, gdy zobaczyli, że z ziemi wydobywa się para niczym z gorącego źródła.

Nagle uświadomili sobie, jak bardzo są zmęczeni, jak przemarzli i zgłodnieli. Od ostatniego posiłku minęło wiele czasu. Pomyśleli więc to samo: Zatrzymajmy się na chwilę, pozwólmy odpocząć zmęczonym nogom, ogrzejmy skórę, dajmy jeść wygłodniałym ciałom.

W pobliżu oparów było bardzo ładnie, ziemię pokrywał wyjątkowo miękki mech. Cała czwórka usiadła i zabrali się do jedzenia.

Trudno powiedzieć, co się stało, ale nie minęło kilka minut i pograżyli się w głębokim śnie.

Opary unosiły się wokół nich lekkie i delikatne, przepływały ponad uśpionymi ciałami, pieściły ich twarze, przenikały w skórę, do ust i do nosów.

Wszystko wokół jakby zastygło w oczekiwaniu.

Ludzie spali.

Snem głębokim jak śmierć...

Marco coś słyszał. Gdzieś w oddali dzwonił mały dzwoneczek. Natrętnie, niecierpliwie.

Jakie ciężkie jest jego ciało! Nie był w stanie poruszyć nawet palcem.

A dzwonek dzwonił i dzwonił. Powieki ciążyły jak z ołowiu.

Chciałbym po prostu umrzeć, myślał Marco. Zostawcie mnie w spokoju!

W jego znieczulonym mózgu pojawiła się jednak jakaś myśl i z trudem starała się przedostać do świadomości:

To dzwoni telefon w mojej kieszeni. Trzeba odebrać, zanim przestanie!

Nie mam siły. Nie chcę.

Owszem, chcę, tylko ręka mnie nie słucha. Gdzie ja jestem? Dlaczego ktoś chce ze mną rozmawiać?

Zebrał całą siłę woli i otworzył oczy, równocześnie ręka ujęła aparat. Wykrztusił coś bełkotliwego i usłyszał czyjś szept.

Dzwonił Armas. Jego słowa brzmiały groźnie.

To, co działo się w pobliżu księcia Czarnych Sal, było jednak chyba jeszcze gorsze. W półmroku zobaczył swoich przyjaciół, Oko Nocy, Shirę i Mara, wszyscy leżeli na ziemi jak nieżywi.

To te opary, pomyślał przerażony i nie przerywając rozmowy z Armasem, starał się odciągnąć na bok Shirę. Kopnął Mara, a potem Oko Nocy, mocno, brutalnie, musiał ich przecież za wszelką cenę obudzić.

Shira powoli doszła do siebie i spostrzegła zagrożenie, pomogła Marcowi odciągnąć pozostałych od zdradzieckiego, rozkosznego ciepła.

Niebywale silny Mar ocknął się niemal natychmiast, natomiast wszystko wskazywało na to, że Oko Nocy jest chyba stracony. Był przecież delikatnym człowiekiem. Marco zakończył rozmowę i zajął się reanimacją młodego Indianina.

Udało mu się to po wielu próbach, w końcu wszyscy znaleźli się w bezpiecznej odległości od oparów i trójka przyjaciół chciała wiedzieć, o czym Marco rozmawiał z Armasem.

- Okazuje się, że on dzwonił do mnie wielokrotnie, ale nie odpowiadałem - westchnął Marco. - Zdaje mi się, że spaliśmy bardzo długo tym niezdrowym snem. Przedtem Armas dzwonił z dachu tego pałacu, który widziałeś w dolinie, Mar. Teraz znajduje się w samym sercu zła, w tym okropnym wronim gnieździe, które znamy. Co ten szaleniec ma tam do roboty? Prosiłem go, by mi opowiedział, co widzi, i zrobił to. Nasz Armas jest niebywale bystry. Otóż zamczysko nie jest piękne, jest po prostu przerażające. Mimo wszystko jednak Armas ma dla nas ważne wiadomości.

Marco opowiedział o rurze, wychodzącej z pałacu i ciągnącej się w górę po stromiźnie, a potem dalej przez płaskowyż na tyłach pałacu.

- A woda płynąca rurą jest zła! Armas pokazał nam drogę do źródeł zła - zakończył Marco z płonącym wzrokiem.

- Znakomicie! - ucieszył się Oko Nocy. - Ale spójrzcie na zegarki, moi przyjaciele! Przespaliśmy parę dni i nocy!

- Masz rację! - potwierdził Marco przerażony. - Nie mamy czasu do stracenia! Chodźcie, trzeba jak najszybciej odnaleźć tę rurę, o której mówił Armas.

- Nie jest to najłatwiejsze zadanie, kiedy nie istnieje żadna droga - skrzywił się Oko Nocy. - Tędy przejść nie można. Pasażem także nie.

- Tam nie będziemy już próbować - zapewnił go Marco. - Musimy zawrócić, w końcu przecież chyba znajdziemy jakieś przejście.

Ożywieni wiadomościami od Armasa, ruszyli z powrotem, ale uszli zaledwie kawałek.

- Tam! - oznajmił Marco, wskazując w górę. - Będzie, oczywiście, trudno, będziemy się musieli wspinać bardzo wysoko, ale jeśli przedrzemy się przez ten skalny grzebień, powinniśmy się znaleźć na właściwej drodze.

Szli dalej pośród przerażających skał, pośród szczytów, które zdawały się szarpać powietrze na strzepy, wbijały się w nie niczym szpilki w miękką tkaninę, a były tak wysokie, że sięgały prawie do Królestwa Światła.

Shira trzymała Mara za rękę. Robiło jej się niedobrze na myśl o dawno minionych czasach i o Górze Czterech Wiatrów daleko nad pokrytym lodem Morzem Karskim.

Oko Nocy zwrócił się do niej i zapytał:

- Shira, boję się, że za daleko mi towarzyszycie. Może nam się nie udać, skoro będziecie ze mną?

- Nie, mój drogi, nie obawiaj się - odparła łagodnie Shira. - Chyba pamiętasz, że Irovar i Sarmik, a także Daniel długo mi pomagali. Byli ze mną aż do chwili, kiedy musiałam sama wejść do wnętrza góry.

Uspokoilo to nieco młodego Indianina. Zaczęli się wspinać na niedostępne skały, kaleczyli ręce o wystające kamienie i kłujący mech.

Po chwili Shira znowu zaczęła mówić:

- A próby czekały na nas od samego początku. Na długo przedtem, zanim zaczęły się te, przeznaczone wyłącznie dla mnie. Na początku zaś było nas wielu.

Marco odwrócił się do nich.

- No, oczywiście. My też już mieliśmy do czynienia z przeciwnościami. Niebawem pojawią się z pewnością kolejne, a w końcu nadejdzie to, z czym tylko ty sam będziesz się musiał zmierzyć, Oko Nocy, kochany przyjacielu.

Te pełne ciepła słowa sprawiły Indianinowi radość.

- Poza tym - podjęła Shira, przechylając się nad najostrzejszą krawędzią, żeby zobaczyć, co się kryje w dole. - Poza tym przez cały czas, kiedy szłam do źródeł, oni na mnie czekali. Nie dałabym sobie rady bez nich i bez pewności, że są tam z mojego powodu. Bądź

więc spokojny. I Marco, i Mar, i ja także będziemy tutaj i będziemy na ciebie czekać.

- Dziękuję - szepnął indiański chłopiec z ulgą. Choć to chyba przesada nazywać go chłopcem, Oko Nocy od dawna był dorosłym mężczyzną, może niezbyt urodziwym, miał na to trochę zbyt grube rysy, ale przystojny był i męski jak diabli.

W końcu wszyscy znaleźli się po drugiej stronie szczytów i patrzyli na nowy krajobraz.

Och, nie! Jeśli którekolwiek z nich sądziło, że zobaczą coś nowego, to popełniało błąd. Wciąż te same poszarpane, ostre szczyty ginęły w wiecznym mroku Gór Czarnych. Cisza i przerażająca pustka ponad wymarłymi górami napelniały ich serca lękiem.

Ale, oczywiście, widzieli urwisko, zamykające dolinę. Ruszyli w prawo, żeby zbliżyć się do skały, ukrytej za szeregiem ostrych szczytów.

Nie było to łatwe. Zatrzymywali się często, nasłuchiwali, zastanawiali się, czy już wkrótce dotrą do celu.

Mar przecież już raz wcześniej znalazł się na krawędzi urwiska. Stamtąd jednak nie można było nigdzie dotrzeć, zarówno w górę, jak i w dół wiodły tylko nagie, śliskie skały.

- Jeśli będziemy się posuwać odpowiednio blisko i wzdłuż krawędzi, ale nie całkiem przy skale, powinniśmy się w pewnym momencie natknąć na tę rurę - powiedział Marco.

- Pod warunkiem, że nie biegnie ona pod ziemią - mruknęła Shira. - Oni tu wykazują szczególne zamiłowanie do wąskich przejść i obrzydliwych podziemnych korytarzy.

- Tak jest - potwierdził Marco. - Zdażyliśmy się o tym przekonać. Może jednak uda nam się usłyszeć szum cieknącej wody...

Na razie nie słyszeli niczego, niczego też nie było widać oprócz ponurych, wysokich szczytów wokół.

- Nic na to nie poradzę - powiedziała Shira z nieoczekiwanym uporem. - Nic nie poradzę, że ta okolica wydaje mi się strasznie, powiedziałabym, boleśnie piękna.

Marco spojrzał na nią zdumiony.

- Owszem, tutaj jest pięknie, dokładnie tak jak mówisz. Człowiek czuje, że majestatyczna uroda gór chwyta go za serce. Chciałoby się zapalić słońce, dać światło tym udręczonym szczytom i zwrócić im ich wielkość!

Mar i Oko Nocy świetnie rozumieli, o co mu chodzi. Nikt jednak nie spodziewał się odpowiedzi, jakiej nieoczekiwanie udzieliły góry. Ziemia zadrżała lekko, pod stopami wędrowców rozległo się coś jakby westchnienie.

Popatrzyli po sobie zdumieni i wszyscy pomyśleli to samo: może zyskałoby sojusznika w tej naszej niebezpiecznej wędrówce? Czyżby mógł nim być ten łańcuch górski?

A może to tylko ostrzeżenie ze strony złych mocy?

Powoli i z wysiłkiem przedzierali się dalej przez niemal niedostępny teren. W końcu znaleźli się na nieco równiejszym gruncie, tu i tam dostrzegali doliny pośród wrogich gór.

Żadnych rur nigdzie nie było widać, przynajmniej na razie. Teraz jednak wszyscy byli pewni, że wkrótce na nie natrafia.

Oko Nocy nagle przystanął.

Pochylił się nad ziemią i powiedział:

- Co to może, u licha, być?

Pozostała trójka pochyliła się także.

- Ślad? - z niedowierzaniem powiedziała Shira. - Tylko czyj?

- Moim zdaniem to najbardziej przypomina ślad smoka, którego spotkaliśmy w sali wiatrów we wnętrzu góry - oznajmił Mar.

- Owszem, ale tamten smok był sympatyczny i przyjaźnie usposobiony - wtrącił Marco. - I nie miał takich okropnych, ostrych pazurów.

Przyglądali się uważnie ogromnemu tropowi. Mogła go też zostawić noga drapieżnego ptaka, musiałby to jednak być ptak nieprawdopodobnych rozmiarów.

- Chyba nie chciałbym spotkać tego tam... - jęknął Mar z obrzydzeniem.

- W takim razie powinieneś już bardzo szybko uciekać - uciął Marco sucho. - Bo oto one tu są.

Wszyscy spojrzeli w tę samą stronę, co on. Na wysokiej skale siedziały dwie skulone, budzące grozę postaci, ani ptaki, ani czworonożne zwierzęta, ani ludzie, choć miały po trochu ze wszystkich. Najbardziej przypominały dwunożne olbrzymy z długimi paszczami, o rękach i nogach zakończonych szponami. Wrogo spoglądały w dół na czwórkę wędrowców i sprawiały wrażenie, że zaraz zaatakują.

Nikt nie miał wątpliwości, że wystarczy im jeden skok dla osiągnięcia celu.

3

- Do diabła! - syknęła Indra, burząc tym samym spokojny, choć smutny nastrój na pokładzie Juggernauta.

- Co się znowu stało? - zapytał Dolg łagodnie.

- No bo nic nie można zrobić! Przynajmniej nic rozsądnego, tylko tak siedzieć i gapić się w tę metalową skrzynkę!

- Uważaj, żeby cię Tich nie usłyszał, zranisz go do żywego. A poza tym coś jednak robimy. Stanowimy moralne wsparcie dla Oka Nocy i jego grupy!

- Tylko że oni nic o tym nie wiedzą - mruknęła Indra niechętnie.

- Zapewniam cię, że jeśli nawet nie wiedzą, to odczuwają naszą obecność. Armas przesłał im przecież wiadomość. Myśl o tym, że jesteśmy tutaj i czekamy, z pewnością dodaje im sił.

- Chyba masz rację - bąknęła Indra trochę bardziej zgodna. - Ale ja bym chciała coś przedsięwziąć, działać. Na przykład złapać jakąś procę i powystrzelać te czerwonoookie potworki.

Dolg roześmiał się na to dobrotliwie i poszedł sobie. Natomiast do Indry podeszła Siska. Błada, wzburzona Siska o niespokojnym spojrzeniu.

- Indra, muszę z tobą porozmawiać!

- Bardzo proszę - zgodziła się Indra, uradowana, że coś się w końcu dzieje. - Tutaj?

- Nie. Przejdźmy do izby chorych.

Siska starannie i długo zamykała drzwi.

- Co się stało, że zrobiłaś się taka tajemnicza?

- No właśnie, usiądź, Indro. Jesteśmy w drodze już od wielu dni, prawda...

- Uff, przestałam liczyć gdzieś w Dolinie Róż.

- Ja także. Ale jest faktem, że liczymy naszą podróż już nie na dni, lecz na tygodnie.

- Od dawna.

- Tak, no i właśnie... Nie wiem, jak mam to powiedzieć...

- Po prostu powiedz.

- Masz rację. Indro, ja myślę... Nie pojawiło się to, co powinno było. A rano ostatnio nie czuję się najlepiej...

Mało brakowało, a Indra wykrzyknęłaby: „Niech to diabli!”, na szczęście zdążyła się opanować i uśmiechnęła się do Siski szeroko.

- Zapowiada się maleństwo! Oczywiście! Ale to przecież wspaniale!

- Byłoby wspaniale - jęknęła Siska z rozpromienionym mimo wszystko wzrokiem. - Byłoby wspaniale, gdybyśmy znajdowali się w Królestwie Światła! Albo gdybyśmy przynajmniej wiedzieli, że wrócimy niedługo do domu! Gdyby Tsi był zdrowy, gdybym w ogóle mogła mieć nadzieję, że on przeżyje! Och, Indra, tak się boję!

I masz powody, pomyślała Indra, głośno jednak pocieszała:

- Bądź spokojna, kochanie. Wszystko się ułoży i wrócimy do domu w porę.

- Tak myślisz? - bąknęła Siska bezradnie. - A czy ty wiesz, ile czasu trzeba, żeby przyszło na świat dziecko leśnego elfa, czy, ściślej biorąc, istoty ziemi?

- Nie wiem. Ale pamiętaj, że Tsi jest półkrwi Lemuryjczykiem! A ciąża u kobiet Lemuryjczyków trwa dokładnie tak długo jak ciąża kobiet. Może parę tygodni dłużej. Ram tak powiedział.

Siska popatrzyła na nią bez słowa. Uśmiechnęła się tylko zagadkowo. Indra odpowiedziała chichotem.

- Rozmawiałś już z Tsi? - zapytała po chwili poważnie.

- Jak i kiedy miałam to zrobić? W tych krótkich chwilach, kiedy odzyskuje przytomność, powinien mieć spokój.

- Masz rację - zgodziła się Indra. - Wiadomość, że ma zostać ojcem, dla każdego mężczyzny jest dość szokująca. Ktoś, kto na dodatek jest ciężko chory, nie powinien być na to narażony.

Twarz Siski skurczyła się boleśnie.

- Indra, czy ty wierzysz, że on przeżyje?

- Oczywiście - odparła przyjaciółka chyba trochę zbyt pospiesznie. - Niech no tylko Oko Nocy wróci z jasną wodą, to... - Objęła Siskę i przytuliła mocno. - Pamiętaj, że masz przy sobie życzliwe istoty! Ja będę cię wspierać do ostatniej kropli krwi i nie wątpię, że wszyscy pozostali na pokładzie tego pojazdu uczynią tak samo. Ram, Faron, Dolg i Cień, i Tich. A nawet Freki. Wilki są bardzo wrażliwe, jeśli chodzi o takie sprawy. Wszystko pójdzie dobrze, zobaczysz!

- Och, żebyśmy tak już byli w domu - westchnęła Siska. - Wiesz, ja się całkiem poważnie zastanawiałam, czy ze względu na dziecko nie zabrać się z J1, ale nie mogłam zostawić Tsi tutaj samego. No, po prostu nie byłam w stanie.

- Rozumiem twoją rozterkę. Myślę jednak, że Faron chce ponownie poprosić Cienia, żeby się dowiedział, co z naszymi wysłannikami. Nie ma ich już naprawdę dość długo.

- Zbyt długo - przytaknęła Siska. - Minęło kilka dni, prawda?

- Owszem, ale pamiętaj, że Shira spędziła w grotach wiele czasu. Powinniśmy polegać na Marcu. Shira i Mar też budzą zaufanie, oni nie zawiodą Oka Nocy.

- Nie, ale ostatni kawałek musi przecież pokonać sam.

Och, nie poddawaj się czarnym myślom, chciała zawołać Indra, ale milczała. Sama też się martwiła, tamci przebywają w górach już naprawdę bardzo długo.

Siska położyła swoją delikatną dłoń na silnym nadgarstku Indry.

- Indra... Nie mów nic pozostałym! Jeszcze nie teraz. Najpierw chciałabym porozmawiać z Tsi.

- Naturalnie! Rozumiem cię, będę trzymać ząb na zębie... ech, co ja gadam, język na języku... Uff, jak to się mówi?

- Język za zębami - uśmiechnęła się Siska.

- Jasne! Ale o co tak dokładnie w tym chodzi, jakby to miało być?

Spróbowała. Zaciśnęła zęby i starała się poruszać językiem.

- Aha - bąknęła po chwili. - To rzeczywiście niełatwe! Mądrze wymyślili ci starodawni twórcy przysłów i powiedzonek.

Wróciły do reszty towarzystwa. Siska wyglądała przez zabrudzone okna, daleko ku złowieszczym górcom, tam, dokąd poszła czwórka wysłanników.

- Wróćcie jak najprędzej - powtarzała cichutko. - Wróćcie z jasną wodą i uratujcie mojego Tsi! Pospieszcie się, bo on już długo nie wytrzyma.

Ciemność na zewnątrz była gęsta. Tylko szczyty rysowały się mgliście na tle odrobinę jaśniejszego nieba.

Do wnętrza pojazdu nie docierał stamtąd najlżejszy nawet odgłos.

Żadna żalonna skarga baśniowych postaci pojmanych do niewoli. Wszystkie stworzenia zniknęły, jedynym przedstawicielem świata zwierzęcego był teraz w Górach Czarnych Freki, wilk.

Poczuła na policzku miękki dotyk futra. Freki, jakby czytał w jej myślach, zbliżył się i stanął obok Siski. Był naprawdę ogromny, dotykał jej twarzy piersią.

I, oczywiście, czytał w jej myślach! Zresztą przesyłał jej też swoje:

„Wiem, jak się czujesz, ale niczego się nie bój. Będę się tobą opiekował”.

„Wilki są bardzo wrażliwe, jeśli chodzi o takie sprawy” - powiedziała Indra.

- Dziękuję - szepnęła Siska. - Wiem, że będę bezpieczna.

Nieoczekiwanie zatrzymał się przy niej Faron. Teraz wszyscy troje wpatrywali się w odległe góry, po których błędziła czwórka wybranych.

- Jaki dziwny spokój wszędzie - szepnęła Siska wylękniona.

- Tak - potwierdził Faron. - Obawiam się, że wróg koncentruje całą uwagę na Oku Nocy i jego towarzyszach.

- Myślisz, że nasi przeciwnicy ich odkryli?

- Na to wygląda.

Pograżona w myślach delikatnie drapała wilka za uchem.

- Faron - powiedziała po chwili w zamyśleniu. - Tyle czasu spędzałam ostatnio przy łóżku Tsi, że niezbyt dokładnie, niestety, śledziłam wszystkie wydarzenia. Ale kiedy wyzwoleni niewolnicy wyruszyli w drogę na pokładzie J1, przyszła mi do głowy pewna myśl...

- Tak? Co, mianowicie?

- Wśród nich znajdowali się pewnie i tacy, którzy dawniej mieszkali w Królestwie Światła?

Faron milczał.

- Chodzi mi o to - ciągnęła niepewnie. - Widzisz, wy opowiadaliście o dawniejszych wyprawach do Gór Czarnych. Które nigdy nie powróciły do domu...

Usłyszała, że Obcy głęboko wciąga powietrze.

Podczas dłuższej chwili milczenia Freki „powiedział” niemal bezczelnie:

- Bardzo miło jest być drapanym za uchem, Sisko, ale nie traktuj mnie jak pokojowego pieska!

- Przepraszam - szepnęła, cofając rękę.

- Nie szkodzi. Doceniam twoją dobrą wolę.

Faron tego nie słuchał.

- Sisko - rzekł. - Mam wrażenie, jakbyś zapaliła pochodnię.

Odwrócił się natychmiast i zawołał Rama, żeby mu przedstawić teorię Siski.

Ram też przez chwilę słuchał oniemiały.

- Ale to się przecież działo bardzo dawno temu - westchnął na koniec.

- A czy to ma jakieś znaczenie? - zapytała Siska.

- Myśleliśmy, że dawni wędrowcy wymarli - wyjaśnił Faron.

- Obcy i Lemuryjczycy nie umierają przecież tak szybko, prawda?

- A może, przynajmniej niektórzy, przeszli na stronę zła - zastanawiał się Ram. - Jak Hannagar...

- Hannagar miał słaby charakter - mówiła dalej Siska. - Czy w ogóle próbowaliście szukać jakichś śladów, kiedy już tu dotarliśmy?

- Muszę ze wstydem przyznać, że nie przyszło mi to do głowy - westchnął Faron. -

Musiałem ich po prostu skreślić.

- Ja też się nad tym nie zastanawiałem - przyznał Ram. - Było przecież tyle innych spraw!

- To prawda - skinęła Siska. - A teraz nie ma tu już żadnych niewolników.

- Nic na ten temat nie wiemy - rzekł Faron cicho. - Freki, ty jeden znasz panujące tutaj stosunki. Powiedz, czy mogą być jeszcze niewolnicy lub więźniowie w Górach Czarnych?

- Niewolnicy to nie - odparł wilk. - Więźniowie chyba też...

Nie dokończona myśl jakby zastygła w przestrzeni.

Pozostali czekali w napięciu, potem Siska zwróciła się do mężczyzny:

- Ilu mogło ich tu przybyć?

- Oj - mruknął Faron niepewnie. - Jak myślisz, Ram?

- Cóż... ekspedycje wyruszały w ciągu setek lat, wprawdzie bardzo rzadko, ale...

Zresztą to wszystko działo się przeważnie w czasach, kiedy mnie jeszcze nie było w Królestwie Światła.

- Ja chyba powinienem pamiętać lepiej.

Po dłuższej dyskusji ustalili, że nie powróciło co najmniej siedem ekspedycji. W niektórych uczestniczyło jedynie paru śmiazków, inne były liczniejsze. Za zaginioną musieli też uznać ekspedycję, która dotarła do Doliny Róż. Jej sygnały ustały już bardzo dawno temu, na długo przedtem, zanim oni sami znaleźli się w Górach Czarnych. No i grupa Hannagara, której się nie powiodło, ona też poniosła całkowitą klęskę.

Kiedy zliczyli uczestników tych i poprzednich wypraw, okazało się, że było ich nie mniej niż dwudziestu pięciu. Ekspedycja Farena była zatem największa ze wszystkich.

- No dobrze, Freki - rzekł Faron łagodnie. - Co chciałeś nam powiedzieć?

Myśli wilka dotarły do ich świadomości wyraźne jak głośno wypowiedane słowa:

- Słyszałem kiedyś takie pogłoski... O tajemnym miejscu dla więźniów. Najbardziej strzeżonym ze wszystkich. Może to nie było więzienie, ale coś w rodzaju obozu.

- Gdzie?

Wilk zastanawiał się. Siska czuła na ramieniu jego ciężki oddech.

- Gdzieś w jakiejś niedostępnej, odległej dolinie. Zdaje mi się, że mógłbym określić przynajmniej w przybliżeniu jej położenie.

Faron słuchał podniecony, ale Siska westchnęła ze smutkiem. Znowu trzeba będzie wysłać na niepewne ekspedycję ratunkową? Kiedy w takim razie uda nam się wrócić do domu?

- Ram, przejmiesz dowodzenie tutaj - zdecydował Faron. - Freki, my obaj potrafimy

poruszać się znacznie szybciej niż inni, może z wyjątkiem Cienia, ale on będzie tu potrzebny. W takim razie my dwaj, Freki, wybierzemy się do doliny, o której mówisz. Ale potrzebowałbym jeszcze kogoś. Kogoś, kto tutaj, na pokładzie Juggernauta, nie ma specjalnych obowiązków. Nie może to być Tich, bo on pilnuje całej maszynarii. Nie Tsi ani Siska, nie Dolg... W takim razie musi to być...

Ram pobladł.

- Faron, nie możesz jej narażać na takie niebezpieczeństwo!

- Niebezpieczeństwo? Z nami Indra będzie bezpieczniejsza niż tutaj. Usiądzie na grzbiecie Frekiego, a Tsi z pewnością ma jeszcze trzy ziarna, więc będziemy mogli przez jakiś czas pozostać niewidzialni.

Siska potwierdziła, że ziarna, owszem, są, ale używane i być może nie najwyższej jakości.

Wkrótce potem załoga J2 zmniejszyła się. Faron, Indra i Freki po prostu zniknęli. Musieli przecież wyminąć blokadę na zewnątrz, dobrze więc, że mogli się stać niewidocznymi.

Ram, wciąż blady, patrzył bez słowa na ukrytą w mroku dolinę. Bardzo mu się nie podobało, że sprawy przybrały właśnie taki obrót.

Faron utrzymywał szybkie tempo Obcych, ale Freki nadążał za nim z łatwością. Indra wczepiła się kurczowo w wilcze futro i czuła, jak wiatr rozwiewa jej włosy.

Posuwali się teraz zupełnie inną drogą, oddalali się od Góry Zła, podążali w odwrotnym kierunku. Freki zastrzegł, że nie jest absolutnie pewien, czy tak właśnie należy, po prostu biegł na wycucie, ale Faron przyjmował jego decyzje z zadowoleniem.

Indra zapytała, do czego potrzebna mu będzie jej pomoc, a on odpowiedział:

- Widzisz, wilk nie potrafi, na przykład, otworzyć zamka ani przytrzymać niczego, gdyby się to okazało konieczne. Trudno jest samotnemu w sytuacji kryzysowej, gdyby, powiedzmy, potrzebował czterech rąk.

- No jasne, rozumiem - przyznała Indra.

Gdyby coś takiego wydarzyło się na początku wyprawy, pękałaby z dumy, że Faron wybrał właśnie ją, i starałaby się ze wszystkich sił wypełnić swoje zadanie jak najlepiej. Teraz nabrała już rutyny i robiła co mogła bez zastanawiania się, czy ją za to pochwalą.

Widocznie dorosła w czasie tej podróży, pomyślała z goryczą.

Szybko pokonali spaloną dolinę i posuwali się ku płaskowyżowi. Faron po prostu unosił się w powietrzu, jakby potrafił się poruszać na sposób elfów, a Freki gnał bezszelestnie u jego boku. Od czasu do czasu tylko informował, co teraz należy zrobić. Faron stosował się do jego wskazówek.

Indra zastanawiała się nad sytuacją Siski. Wiedziała, że niebawem trzeba będzie poinformować wszystkich o nowinie, gdyby mieli nadal tkwić w tych Górach Czarnych. Na razie jednak chciała dotrzymać obietnicy i milczeć.

Wiadomość wywoła zamieszanie, wszystko jedno, czy się ją ujawni tutaj, czy w Królestwie Światła, jeśli kiedykolwiek tam wrócą. Związek kobiety i bastarda, urodzonego z Lemuryjczyka i istoty ziemi... Kim się może okazać takie dziecko?

Życzyła Sisce i Tsi-Tsundze wszystkiego najlepszego. Byli tak szczerze w sobie zakochani, więc pewnie wszystko pójdzie dobrze, niezależnie od tego, co się stanie. Indra w każdym razie gotowa jest ich wspierać w dobrym i w złym.

Znajdowali się teraz wysoko na grzbietach długich wzniesień. Kilometrami ciągnęły się przed nimi te grzbiety i ginęły daleko w mroku.

Freki rozejrzył się.

- Trudno powiedzieć coś pewnego - rzekł. - Wszystkie doliny są do siebie podobne. Wydaje mi się jednak, że to będzie druga za tamtą.

- W takim razie to nie tak strasznie daleko - stwierdził Faron. - Ruszajmy, szkoda czasu!

Znowu wiatr gwizdał w uszach Indry. Znowu musiała wybierać, czy lepiej zasłaniać je rękami, czy raczej trzymać się wilczej sierści.

Zdecydowała się na to drugie i wkrótce poczuła, że uszy ma kompletnie przemarznięte.

Daleko od zwiadowców, w nieprzyjaznej górskiej okolicy, Oko Nocy i jego przyjaciele stali jak sparaliżowani i wpatrywali się w groteskowe, przerażające istoty na skalnym występie, gotowe w każdej chwili na nich skoczyć.

- Uciekajmy stąd! - wrzasnął Marco i wszyscy czworo rzucili się w bok.

Tym razem potwory chybiły, ale zaraz znowu były gotowe do kolejnego ataku na intruzów.

Marco jednak coś usłyszał, to znaczy nie, stwierdził, że niczego nie usłyszał, żadnego odgłosu, kiedy potwory spadły na ziemię.

- To są zjawy! - krzyknął. - Chimery, wytwory naszej wyobraźni! Mar, to twoja specjalność, przepędź je!

Mar, wychowany wśród szamanów w Taran-gai w syberyjskiej tundrze, który zresztą sam był wielkim magiem, natychmiast zabrał się do dzieła. Wyciągnął odwróconą dłoń w stronę cieni i wypowiedział formułkę, długą wiązkę słów w jakimś całkowicie niezrozumiałym języku dla kogoś, kto by nie posiadał aparatu mowy Madragów. Oko Nocy i Marco zadrżeli, słysząc prymitywne, brutalne, straszne zaklęcia, coś odpowiadającego może formułkom Móriego, tylko jeszcze okropniejsze. W każdym razie w salonach tego powtarzać nie można.

Najwyraźniej Mar znał się na rzeczy. Fantomy zastygły, można powiedzieć, w pół słowa, i zniknęły bez najmniejszego szmeru. Rozpłynęły się w powietrzu.

- Przeszkody zaczynają się mnożyć - rzekł Oko Nocy z goryczą, gdy posuwali się dalej w nieprawdopodobnie trudnym skalistym terenie. - Schody pozbawione stopni, wsysające prądy powietrza, usypiające opary, chimery... co będzie następne?

- A przecież przeznaczone tylko dla ciebie próby nawet się jeszcze nie zaczęły - wtrącił Marco. - Bardziej mnie jednak martwi, że straciliśmy tyle czasu. Spaliśmy naprawdę zbyt długo. Myślę o przyjaciółkach, czekających na nasz powrót.

- Och, oni mają z pewnością dość własnych spraw, z którymi muszą się borykać - pocieszała go Shira. - Mnie natomiast najbardziej martwi to, że Armas wciąż znajduje się na dole w tym pałacu zła. To może się na nas srodze zemścić.

- Myślałem o tym samym - wtrącił Mar. - Nie rozumiem, co on ma tam do roboty.

- Widziałem te powody w jego wizualizacji - wyjaśnił Marco. - Znajdowała się tam dziewczyna, o której tyle mówił w wietrznej sali. Wyglądało na to, że jest zakładniczką

najstraszniejszego zła tkwiącego w pałacu.

- Armas? - uśmiechnął się Oko Nocy z przekąsem. - Nigdy bym się po nim czegoś takiego nie spodziewał. A zresztą może. Rycerz w białej zbroi?

- Zgadza się - potwierdził Marco.

Shira potknęła się o coś i byłaby upadła, gdyby Mar jej nie podtrzymał.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Ależ ze mnie niezdara, nie rozumiem, co to było...

Oko Nocy, tropiciel śladów, pochylił się nad ziemią, tam, gdzie Shira omal nie straciła równowagi.

- To ja ci dziękuję, Shiro, że się potknęłaś! Mało brakowało, a byśmy przeoczyli najważniejsze!

Kopnął porośniętą mchem ziemię, oczom wszystkich ukazało się coś błyszczącego.

- Rury - szepnął Marco, radośnie zaskoczony. - Właśnie się zastanawiałem, czy już nigdy ich nie odnajdziemy, byłem prawie pewien, że przeszliśmy obok nich dawno temu.

W chłodnej ziemi tkwiła metalowa rura. Jej znalezienie stało się najważniejszym wydarzeniem w ich dotychczas beznadziejnej wędrówce. W milczeniu z przejęciem śledzili rury ukryte w mrocznym, jałowym górskim świecie. Od czasu do czasu rury znikwały i trzeba było długo szukać dalszego ciągu, najwyraźniej bowiem nikt nie zamierzał im ułatwiać podróży do źródeł.

- Pamiętajcie, że teraz znajdujemy się na drodze do złego źródła - ostrzegła Shira. - Trzeba bardzo uważnie sprawdzać każdą odnogę „naszej” rury.

- Masz rację - przytakiwał Marco. - Kryć się! - wrzasnął nagle. - Ptaki!

Przekłęci latający szpiedzy zła!

Wszyscy czworo rzucili się na ziemię. Mieli na sobie ciemne ubrania, chcieli być niewidoczni, ale po sposobie poruszania się ptaków stwierdzili, że mimo wszystko zostali odkryci. Czarne potwory zatoczyły parę kręgów i odleciały ku Górze Zła.

- Niech to diabli! - syknął Mar. - Szkoda, teraz mamy ograniczoną swobodę.

- Niestety, chyba powinniśmy się pospieszyć - przytaknął Marco. - Trzeba ufać, że nie napotkamy nowych przeszkód, zanim Oko Nocy nie znajdzie się, bezpieczny, na drodze do źródeł.

- Bezpieczny? - Shira uśmiechnęła się z goryczą. - Tam dopiero zaczną się twoje prawdziwe poszukiwania, Oko Nocy, mój przyjacielu.

- Dzięki za słowa pociechy - westchnął smutno.

W wieży na szczycie Góry Zła odkrycie ptaków wywołało prawdziwe zamieszanie.

Czworo z tych bezczelnych intruzów z Królestwa Światła widziano wysoko, na najbardziej niedostępnym terytorium, jakie w ogóle istnieje w Górach Czarnych, i na którym ukryte są święte źródła.

Bezczelność ponad wszelkie wyobrazenie! Ale to należy przerwać! I to zaraz! Nadszedł czas, by włączyć w sprawy Niezwycięzonego. Trzeba raz zrobić koniec z tą śmieszną, małą ekspedycją z Królestwa Światła.

Określenia „mała” i „śmieszna” były, rzecz jasna, grubo przesadzone. Chyba nigdy jeszcze władcy gór tak się nie trzęśli jak teraz!

Niezwycięzony powinien ich uratować. Można na nim polegać, co do tego nikt nie ma najmniejszych wątpliwości. Wracała im pewność siebie.

Ale wysoko postawieni władcy oraz ich poplecznik Nardagus mieli kłopoty ze znalezieniem kogoś, kto by chciał odwiedzić Niezwycięzonego. Bo określenie było najzupełniej prawdziwe: Niezwycięzony jest niezwycięzony naprawdę. Dotychczas nikt jeszcze ze spotkania z nim nie uszedł z życiem.

Ostatecznie postanowiono, że wyśle się dziesięciu niewolników. Nardagus uważał to wprawdzie za rozrzutność, ale tylko to pozwalało mieć nadzieję, że któryś z nich zdoła się wymknąć, że Niezwycięzony nie wyłapie wszystkich.

Co niewolnicy mieliby w tej sprawie do powiedzenia, nikogo nie obchodziło.

Uspokojeni władcy zasiedli, by obserwować rozwój wypadków. Wysłano też wiadomość do wielkiego pałacu, że To we Własnej Osobie może polegać na swoich wiernych sługach, którzy nad wszystkim czuwają.

Jedynie, co ich złościło, to to, że nic nie było widać na pokrywających ściany ekranach. Żadnego filmu, który mógłby im przedstawić, co się dzieje na wymarłych pustkowiach wokół źródeł. Nikt nigdy nie myślał, żeby jacyś śmiałkowie mogli się zapuścić aż tam, z wyjątkiem ptaków wypatrujących na niebie. Dlatego nie przedsięwzięto żadnych środków ostrożności.

No i teraz nie będą mogli zobaczyć, jak Niezwycięzony rozprawia się z czworgiem intruzów.

Krajobraz zmieniał się, przejścia między wysokimi skałami stawały się coraz węższe i ciaśniejsze, wciąż jeszcze posuwali się za rurą. Widzieli, że instalacja ciągnie się dalej pośród szczytów, przez głębokie rozpadliny i między zalegającymi wszędzie skalnymi blokami.

- Zbliżamy się - mruknęła Shira. - Pamiętaj tylko, żeby unikać ciemnego źródła!

Marco miał właśnie odpowiedzieć, kiedy przyszła wiadomość od Cienia ze wzniesień ponad pałacem. Cień donosił teraz, że Armas jest na pokładzie J2, całkowicie chroniony

przed atakami wroga.

- Dziękuję - powiedział Marco. - To wiadomość lepsza niż wszystko inne. Teraz możemy działać swobodnie.

Złożył Cieniowi raport na temat, gdzie się znajdują, dowiedział się ponadto, że wielu członków ekspedycji wyruszyło do domu i że ataki na J2 ustały. Tamci odkryli widocznie, że Marco wraz z przyjaciółmi jest w drodze, znajduje się na niebezpiecznych ścieżkach. Marco przyznał mu rację, poinformował też, że mają nadzieję znaleźć bezpieczne dojście do źródeł, zanim złe siły zdołają przerwać ich wędrówkę.

Dobrze było porozmawiać z Cieniem. Dobrze było się dowiedzieć, że przyjaciele są gdzieś w tej krainie i że cierpliwie czekają.

Przejścia między górami stawały się coraz ciasniejsze. Shira i Mar zastanawiali się, jak daleko właściwie mogą jeszcze iść, kiedy pojawiła się nowa przeszkoda.

I to wcale nie mała!

Wielkie zmiany dokonały się niemal równocześnie.

Na przykład: Najzupełniej nieoczekiwanie spadli w dół na niewielką łączkę schodzącą ku dolinie. To było coś tak ogromnie zaskakującego zobaczyć nagle trawę, mdłą naturalnie i słabowitą w tych ciemnościach, zobaczyć ziemię w głębokich rozpadlinach, że wszyscy mimo woli przystanęli.

- Popatrzcie! - zawołał Mar. - Ścieżka wiedzie dalej pod górę po tamtej stronie łąki.

- Tak jest - potwierdził Marco. - Najpierw ginie w jakimś wąskim przejściu, a potem, nieco wyżej, znowu się pojawia.

W górze wiła się niczym szara wstążka na ciemnym tle.

- Ale wcześniej nie widzieliśmy tam żadnej drogi - rzekła Shira podejrzliwie. - Może to jakaś pułapka?

- Nie wiem - odparł Oko Nocy. - Najwyraźniej jednak będziemy musieli przejść przez tamto wzniesienie.

- Na to wygląda - przyznał Marco. - Mam tylko nadzieję, że zdołamy dostrzec, którądy poprowadzono rury.

Nagle usłyszeli za sobą pospieszne kroki, więc instynktownie wszyscy padli na ziemię. Ledwo zdołali się schować za wielkimi kamieniami, kiedy na ścieżce ukazało się trzech potwornie zziąjanych, paskudnie wyglądających wojowników.

- Co oni tu robią? - zapytała Shira cicho. - To przecież teren nienaruszalny, prawdopodobnie zakazany.

- Nie całkiem. Ktoś przecież musi doglądać urządzeń - szepnął Marco w odpowiedzi.

- Ale chyba nie oni. Oni mają z pewnością inne plany.

Wojownicy przebiegli obok, nawet dość blisko. Dały się słyszeć zdyszane komentarze:

- Powinniśmy byli wiedzieć, powinniśmy byli wiedzieć!

- Nie złapiemy tego, nie złapiemy tego!

- Nie dojdziemy do celu, nie wyminiemy.

- Zobaczymy! Zobaczymy!

- Niebezpieczne, niebezpieczne!

- Zostaliśmy oszczędzeni. Niezwyciężony złapał tylko siedmiu.

- Chyba nie wpadniemy ponownie w pułapkę???

- Przekonamy się.

- Tak jest.

Śmiali się głośno, podnieceni.

Czworo ukrytych spoglądało po sobie. Wszystko to bardzo ich dziwiło.

- Niezwyciężony? - zapytał Oko Nocy. - Tutaj?

- Nie brzmi to dobrze - westchnął Marco zmartwiony. - Patrzcie, zbliżają się do przejścia po drugiej stronie łąki. Teraz stanęli jak wryci. Dlaczego?

- Coś tam musi być - powiedziała Shira zaskoczona.

Ze zdumieniem przyglądali się, jak wojownicy o czerwonych oczach wycofują się z pasażu i z wahaniem wracają przez łąkę. Słysząc było ich chrypliwe, teraz pełne wzburzenia głosy:

- Nie przejdą obok, oni też nie przejdą.

- Chyba nikt nie potrafi dokonać czegoś takiego - roześmiał się inny ordynarnie.

- Nie, nikt, ale w takim razie oni też nie dojdą do Niezwyciężonego.

- To byłaby szkoda! Ale gdzie oni właściwie są? Nie widzieliśmy ich.

- Gdzieś się ukryli, to oczywiste. To przecież jedyny szlak wiodący do źródła, którego szukają. Cholerni idioci, po co im to? Zresztą nieważne, Niezwyciężony już się nimi zajmie.

Głosy przycichły, kiedy słudzy zła minęli kryjówkę i oddalali się swoją drogą.

- No, tośmy się dowiedzieli - mruknął Mar. - Jedyny szlak do źródła.

Szli dalej przez łąkę i roztrząsali możliwości ominięcia nieznanymi problemami, bo gdyby im się to nie udało, ani chybi zderzą się z tym jeszcze bardziej nieznanym Niezwyciężonym, kimkolwiek on jest.

- Nie mamy wyboru - stwierdziła Shira. - Musimy przejść tutaj.

Wemknęli się do wąskiego pasażu, gdzie wiatr gwizdał pośród skał wysokich niczym

domy.

Co się teraz stanie? myśleli wszyscy. Co takiego zatrzymało okropnych niewolników?

Wkrótce mieli się o tym przekonać. Okrążyli potężny blok skalny. Tam droga kończyła się przy wielkiej dziurze w górskiej ścianie. Obok grotty czekał na nich jakiś mężczyzna.

Bardzo stary mężczyzna, był taki blady, miał taką białą brodę i włosy, że czułe serce Shiry skurczyło się boleśnie.

- Och, mój biedny przyjacielu - powiedziała ze współczuciem. - Siedziałeś tu przez cały czas? A może dać ci coś do jedzenia i do picia?

Starzec popatrzył na nią zażawionymi oczyma, nieprzywykły do takiego tonu.

- A co masz do zaproponowania?

- Niewiele, szczerze mówiąc. Ale weź wszystko, wzmocnij choć trochę swoje ciało. I możesz się napić wody, jeśli nie odmówisz...

- Wszyscy oddamy ci swój prowiant - rzekł Marco. - Proszę, bierz.

Starzec uśmiechnął się krzywo. To nie był dobry uśmiech, mężczyzna miał najwidoczniej złe intencje.

- Nie siedzę tu po to, żeby żebrać, i nie mam też siedzieć w nieskończoność. Czekam po prostu, aż przejdą tędy pozbawieni rozumu marzyciele, a coś takiego ma miejsce mniej więcej co tysiąc lat.

- Powiedz zatem nam, marzycielom, po co tu siedzisz?

- Wkrótce się dowiesz - uśmiechnął się starzec nieprzyjemnie. - Otóż będziecie mogli tędy przejść, jeśli spełnicie zadania, jakie wam wyznaczę. Jeśli nie zdołacie się z tego wywiązać, ziemia usunie się wam spod stóp i już nigdy nie wyjdziecie na powierzchnię.

Oko Nocy zadrżał. Przeczynał, że to prawda.

Myśli Shiry biegły jeszcze dalej. Wiedziała, że jeśli wypełnią oczekiwania starca, cokolwiek by to miało być, to następne spotkanie będzie już spotkaniem z Niezwyciężonym. Tak bowiem powiedzieli niewolnicy, a przecież nie mieli powodu, by kłamać.

Wiedziała jednak również, że nie czas jeszcze, by ona, Mar i Marco opuścili Oko Nocy i zostawili wybranego własnemu losowi. Nadal powinni towarzyszyć młodemu Indianinowi i wspierać go we wszystkim.

Skoro sprawy zaszły tak daleko, to na pewno dowiedzą się, gdzie została wyznaczona granica ich pomocy.

Wiał zimny wiatr, szarpał długie włosy wędrowców. Żadne z nich nie ostrzygło się krótko. Długie loki Shiry to coś naturalnego, ale trzech mężczyźni z jej orszaku, wszyscy czarni

niczym kruki, też mieli włosy do ramion. Porywisty wiatr burzył też białą fryzurę starca i jego równie białą brodę.

- No to powiedz, na czym mają polegać te próby - zwrócił się do niego zniecierpliwiony Oko Nocy. - Nic nie zdziałamy, skoro nie wiemy ani co, ani jak mamy zrobić.

- A więc słuchajcie uważnie - zaczął starzec ponurym głosem, a jego oczy mieniły się złowieszczo. - Widzicie to zagłębienie w skale, które wygląda jak misa? Wlejecie do niego to, czego od was zażądam. Tylko pod tym warunkiem otworzy się grot w skalnej ścianie i będę mógł was przepuścić.

Wszyscy czworo kiwali głowami na znak, że rozumieją i że są gotowi. Już dawno bowiem nabrali przekonania, że nie ma tu żadnej innej drogi ani w górę, ani w dół, ani w prawo, ani w lewo.

Starzec roześmiał się tak, że ciarki przeszły im po plecach, i podał każdemu małą czarnekę ze srebra.

- Żebyście mieli w czym przynieść - mruczał. - A oto moje polecenia...

I wymienił, czego od nich oczekuje, a czworo wędrowców oniemiało z niedowierzania i gniewu...

Złowieszczy chichot starca brzmiał im w uszach jeszcze długo potem, gdy on sam zniknął pośród głązów, gdzieś w kierunku łąki. Wypełnił swoje zadanie. Był, jak wiele innych rzeczy w Górach Czarnych, jedynie płodem wyobraźni, fantomem ożywionym na krótką chwilę przez posiadających zdolność czynienia czarów władców tutejszego państwa.

Czworo przyjaciół spoglądało to na siebie nawzajem, to na srebrne czarki, trzymane w rękach:

NASIENIE WROGA,
MLEKO DZIEWICY
I KREW Z KOŚCIOTRUPA.

- Jakim sposobem znajdziemy coś takiego? - zastanawiał się Oko Nocy wzburzony. - I to tutaj? Gdzie nie ma dosłownie niczego?

- Na dodatek musimy tego dokonać w oszałamiającym tempie! Oni wciąż depczą nam po piętach! Nie mamy chwili do stracenia!

- Ale jak zdołamy...? - zaczął znowu Oko Nocy.

Marco przerwał mu:

- Musimy podzielić zadanie między siebie. Shiro, ty zajmiesz się najprostszym. „Nasienie wroga”. Mar ci pomoże, sama nie dałabyś rady. Oko Nocy, ty będziesz musiał znaleźć „mleko dziewicy”. Ja sam postaram się o najtrudniejsze: „krew z kościotrupa”. Do dzieła!

Przyjaciele już otwierali usta, żeby protestować, ale Marco po prostu się ulotnił.

Shira i Mar spoglądali po sobie.

- Marco uznał, że to najłatwiejsze - mruknęła Shira.

- I chyba rzeczywiście tak jest - odparł Mar. - Razem nie będzie nam tak trudno, Marco wiedział, co robi. Chodź!

Wy tłumaczył żonie, co powinna uczynić. Shira skrzywiła się, ale wkrótce na jej twarzy pojawił się wesoły uśmiech.

Czerwonooocy niewolnicy nie zaszli zbyt daleko. Przystanęli.

- No dobrze, ale gdzie oni się podziewają? - zawodził jeden, rozglądając się po mrocznej okolicy,

- Nie wiem! - syknął drugi, depcząc nerwowo twardy mech. - Cholerny Nardagus,

powinien był poszukać tych mętnych typów z Królestwa Światła. Oni potrafią naprawdę nieźle narozrabiać, zdołali przecież osiągnąć bardzo wiele, wszystkiego się po nich można spodziewać, nie podoba mi się ta cała historia.

- Rozejdźmy się na jakiś czas i szukajmy ich - zaproponował trzeci. - Nie ma sensu, żebyśmy się wszyscy kręcili w kółko, niczego w ten sposób nie zdołamy.

Wszyscy przyznali mu rację. Za bardzo jednak nie powinni się od siebie oddalać. Znajdowali się przecież w ponurym i niebezpiecznym kraju, w którym wszystko mogło się przytrafić.

I jednemu z nich rzeczywiście przytrafiło się coś niezwykłego.

Odszedł od swoich towarzyszy, stał i gapił się na beznadziejny krajobraz przed sobą, w którym, szczerze mówiąc, nie było nic do oglądania. Oparł się o skałę i odpoczywał po trudnej wędrówce w górzystym terenie. Podobnie jak jego dwaj towarzysze był sfrustrowany tym, że tyle się nabiegali i namęczyli, a nie natrafili nawet na nikły ślad tych, których szukali.

Nagle wytrzeszczył oczy. Co to się dzieje?

Stał wciąż bez ruchu pod skałą i bez żadnej widocznej przyczyny poczuł rozkoszne mrowienie pod opaską biodrową, w najszlachetniejszych częściach swego ciała...

No, może takie strasznie szlachetne to znowu nie były. Zbyt często zabawiał się z mało wartościowymi kobietami ulepionymi z tej samej gliny co on sam.

Błyskawicznie znalazł się w pełnej gotowości.

Miał wrażenie, że pięści go czyjaś mała dłoń, po chwili wydał z siebie rozkoszne „oooooch”. Widocznie jego zmysły same z jakiegoś powodu... bo przecież w pobliżu nie było nikogo. Od dawna wprawdzie nie miał czasu na zaspokajanie swoich intymnych potrzeb, więc może...

Zauważył jednak, że to nie mogą być jedynie erotyczne wyobrażenia, wszystko było zbyt rzeczywiste. Jako człowiek przesądny, przeraził się więc nie na żarty, chciał się uwolnić, chociaż doznawał niebiańskiej rozkoszy.

Szarpnął się mimo wszystko, wtedy jednak okazało się, że trzymają go mocne ramiona, ktoś położył mu dłoń na ustach, więc choć bardzo chciał, nie był w stanie krzyknąć. Zresztą tracił panowanie nad sobą, pogrążał się w bolesnej ekstazie. Bezradny podążał za rytmem owej drobnej dłoni i po chwili z gwałtownym jękiem napełnił własnym nasieniem srebrną czarkę aż po brzegi.

Z tego jednak nie zdawał sobie sprawy.

Kiedy silne ramiona rozluźniły uścisk, wycieńczony opadł na ziemię i leżał tak, dopóki pod jego opaską biodrową znowu się wszystko nie uspokoiło.

Nawet nie próbował zrozumieć tego, co się stało. Bo tak naprawdę to były piękne chwile, przeżył prawdziwą rozkosz.

Postanowił jednak nikomu nic nie mówić. Towarzysze z pewnością by mu nie uwierzyli. A jeśli już, to wcale nie wiadomo, czy by go nie pobili z zazdrości.

Shira i Mar wrócili na łąkę.

Tam zobaczyli, że Oko Nocy klęczy na trawie i wpatruje się z uwagą w ziemię przed sporym krzewem.

- Co ty robisz? - zapytał Mar, podczas gdy Shira pospiesznie zmierzała do zagłębienia w skale, żeby wylać swoją obrzydliwą zdobycz. Wróciła bardzo szybko, starannie wytarła ręce w mokrą trawę i przyłączyła się do mężczyzn.

- Co ty robisz? - zapytała tymi samymi słowy co Mar.

- Oko Nocy już mi wytłumaczył - powiedział Mar z uśmiechem. - Muszę przyznać, że wpadł na niegłupi pomysł. Przydaje mu się jego wiedza o naturze. Kiedy zobaczył tutaj mrówki, pomyślał, że na pewno w pobliżu są też mszyce.

- Nic z tego nie rozumiem.

Oko Nocy, który bardzo ostrożnie zgarniał coś palcami z gałązek krzewu, nie odwracając głowy podjął dalsze wyjaśnienia:

- Mam szansę znaleźć dziewicę, Shiro, nie wiem tylko, jak zdołam zdobyć jej mleko. Jedyną kobietą na tych górskich, zapomnianych przez Boga pustkowiach, jesteś ty. Ale ty, niestety, nie jesteś dziewicą.

- Nie jestem. Poza tym ode mnie mleka byś nie dostał, podróż do źródeł pozbawiła mnie bowiem możliwości posiadania dzieci.

Oko Nocy popatrzył na nią z przerażeniem i o mało nie wypuścił tego, co trzymał w rękach.

Shira uspokajała go:

- To były specjalne okoliczności, Oko Nocy. Ciebie to z pewnością nie dotyczy.

- To dobrze, bo ja bardzo bym chciał mieć potomstwo. Dla Indianina jest to bardzo ważna sprawa, zwłaszcza dla takiego, który kiedyś ma zostać wodzem. Ale chciałbym ci wyjaśnić... Moje zachowanie rzeczywiście może wyglądać dziwnie... ale to jedyne wyjście, jakie znalazłem... zwłaszcza że mamy tak mało czasu...

- Opowiedz!

- Wiadomo, że mrówki i pszczoły „doją” mszyce. To nie do końca tak jest, bo mszyce wydzielają sok podobny do miodu, który mrówki bardzo lubią. Ale mówi się właśnie tak, że

mszyce są dojrzałe. Tego się uczepiłem. Kiedy więc zobaczyłem pod krzewem mrówki, natychmiast zacząłem szukać mszyc. I znalazłem. Mnóstwo!

Shira musiała się roześmiać, rozbawiona jego pomysłowością.

- Problem polega tylko na tym - wtrącił Mar - jak poznać, które z nich są dziewicami.

Oko Nocy zwrócił się ku niemu z uśmiechem.

- Och, to akurat najłatwiejsze! Mszyce rozmnażają się drogą dzieworódtwa. Nie wcześniej niż jesienią pojawia się kilku słabowitych przedstawicieli płci męskiej. Wszystkie osobniki, które tu widzimy, to dziewice.

- Bardzo praktyczne - mruknęła Shira. - Ale co ty z nimi robisz? Mam nadzieję, że ich nie zabijasz!

- Nie, oczywiście, że nie, co też ci przyszło do głowy? Kradnę im tylko ten ich miodowy syrop, choć w istocie są to ekskrementy. Ta lepka masa, którą widzicie na gałęziach. Zbieram ją, a dla wszelkiej pewności trochę przyciskam mszyce, żeby wydobyć jak najwięcej „mleczka”. Można więc powiedzieć, że je doję.

Wstał.

- No to już. Jestem gotów. Chyba nie można lepiej wykonać zadania, czyli zdobyć „mleka dziewicy”, na tych odludnych pustkowiach.

Z dumą pokazywał im swoją srebrną czarę. Żeby zobaczyć na jej dnie kroplę mazi, musieli bardzo wytrzeszczać oczy, ale coś tam jednak było.

- Wspaniale! - zawołał Mar. - Idź i wylej to do wspólnej misy!

Poszli tam wszyscy razem, Mar i Shira opowiedzieli o swojej przygodzie. Oko Nocy, bardzo poważny młody człowiek, słuchając ich rumienił się, ale nie potrafił powstrzymać śmiechu.

- Ciekawe, jak sobie radzi Marco - zmartwił się Mar. - On rzeczywiście podjął się najtrudniejszego zadania. „Krew ze szkieletu”, a nawet gorzej: z kościotrupa! Szkielet może przecież być świeży, ale kościotrup... To wskazuje na coś strasznego, zleżającego, wysuszonego... Jak, na Boga, coś takiego można znaleźć w tej okolicy?

Marco też tak uważał. Bardzo potrzebował kogoś, z kim mógłby się naradzić. Tylko kto by to mógł być? Na dodatek czas naglił.

Pomyślał chwilę i uznał, że trzeba działać.

Kościotrup? Gdzie szukać czegoś takiego?

Nieustannie dręczyła go ponura myśl. Starał się od niej uwolnić, ale w miarę upływu czasu stwierdzał, że to chyba najpewniejsze wyjście.

I prawdopodobnie jedyne.

By jednak podążać tym tropem, musi otrzymać informacje od kogoś, kto jest duchem.

Nie dostarczą mu ich ani Shira, ani Mar, oni zbyt mało wiedzą o tym, co się w ostatnich dniach działo w świecie ich towarzyszy. Heike i Sol opuścili Góry Czarne.

Pozostaje więc tylko jedna istota.

Co to powiedział Cień? Opowiadał o ciężkich walkach ze złymi niewolnikami, prowadzonych częściowo w Ciemności - ale to zbyt daleko stąd - a po części w pobliżu pojazdów, chociaż tam ludzie Farona już posprzątali.

Musi znaleźć takie miejsce, w którym czerwonoocy sami zajmowali się swymi poległymi towarzyszami. Ponieważ czerwonoocy są kanibalami, a poza tym są nieustannie wygłodzeni.

Czas mijał, trzeba działać w największym pośpiechu.

Gdzie? Gdzie oni mieli...?

Och, tak! Na szczycie innej góry, tam gdzie hordy zaatakowały J2!

Nie, nic z tego. Sam Marco nalegał przecież, aby nie doszło do przelania choćby kropli krwi.

Ale chwileczkę! Co to opowiadał Cień? O dwóch niewolnikach, którzy przeszli na stronę przeciwnika akurat wtedy, kiedy mieli być uwolnieni. I o tym, że zostali zabici przez swoich i porzuceni.

Tak, tam może coś znaleźć. Nadzorcy niewolników i wojownicy z pewnością weszli rano do sypialni i znaleźli trupy. Wygłodniali wojownicy. Kanibale...

Marca przeniknął dreszcz grozy. Ale mimo wszystko musiał sprawdzić. Musiał spróbować raz jeszcze nawiązać kontakt z Cieniem.

Tylko jak? Sieć komunikacyjna tutaj przecież nie działa.

Czas, czas...

Marco usiadł, podciągnął kolana w górę i oparł na nich głowę. Starał się przesłać Cieniowi telepatyczną wiadomość. Próbował wywołać obraz siebie i swojej sytuacji i przesłać go do przyjaciela.

Tylko czy odległość nie jest zbyt wielka?

Cień prowadził ożywioną rozmowę z Dolgiem, Ramem i Tichem, w pewnej chwili odczuł telepatyczne sygnały.

- Ciii - szepnął do towarzyszy. - Ktoś mnie wzywa.

Wszyscy natychmiast umilkli i w napięciu oczekiwali, co się stanie.

- To Marco - wyjaśnił Cień. - Potrzebuje pomocy, nie, rady.

Rady, to znacznie lepiej brzmi, uznali zebrani nieco uspokojeni.

- On próbuje przesłać mi swoją sprawę bezpośrednio tutaj. Gdyby zaś mu się nie udało, proszę, bym, tak jak ostatnio, wszedł z telefonem na szczyt ponad doliną. Ale na razie rozumiem, co mówi. Marco, wszystko słyszę!

Cień zamilkł i słuchał. Jego skupiona twarz wyrażała coraz większe zdumienie. Potem odpowiedział Marcowi bardzo cicho. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że książkę Czarnych Sal usłyszy jego myśli:

- Nie, Marco, nie ma potrzeby wchodzenia do złej doliny. To, o co pytasz, mam tutaj, na zewnątrz J2, kawałek stąd na polu walki widziałem coś takiego. Chcesz cały szkielet, czy tylko...? Ach, tak, wystarczy jedna kość, taka duża, ze szpikiem. Rozumiem. Tylko jak ją odbierzesz? Wtedy, kiedy znalazłem się na skalnym występie, chciałem podejść do was bliżej, ale natrafiłem tam na niewidzialną ścianę, przez którą nie mogłem się przedostać.

Zaległa cisza, Marco przesyłał swoje myśli do Cienia. To, że Cień głośno myślał, nie miało znaczenia dla rezultatów rozmowy, czynił tak tylko po to, by towarzysze mogli zrozumieć, o co chodzi.

Po chwili Cień odezwał się znowu:

- Tak, to jest problem. Czy sądzisz, że znajdujecie się teraz w innym wymiarze, skoro nie możecie do nas dotrzeć? Nie. To jakiś zamknięty teren. Tylko z jednym wejściem, tym, przez które weszliście, poprzez górę... Tylko ptaki niebieskie? Dobrze, w takim razie spróbujemy w ten sposób. Nie, gondoli nie powinniśmy używać. Nie, myślę raczej o sobie...

Widzieli na twarzy Cienia cierpki uśmiech, kiedy słuchał odpowiedzi Marca. W końcu potężny Lemuryjczyk oznajmił:

- Nie, nie chcę być porównywany ani do gołębia pocztowego, ani do sroki, która zrzuca na ziemię kosztowności. Wolę, żeby mnie nazywano orłem! Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony! W takim razie, Marco, próbujmy! Będę się spieszył!

Napotkał zdumione spojrzenia przyjaciół i już biegnąc ku drzwiom, opowiedział o

trzech zadaniach.

Kiedy zniknął, Siska, która wszystko słyszała, podobnie jak Tsi na swoim łożu boleści, powtórzyła:

- Nasienie wroga, mleko dziewicy i krew kościotrupa? To niezbyt mądre. Jakim sposobem można zdobyć to wszystko tutaj? W dodatku na pustkowiach, gdzie nikt nigdy nie bywa!

- Z tego, co Marco mówił, można było wyciągnąć wniosek, że pozostali już swoje zadania wypełnili i tylko on jeszcze sobie nie poradził - podsumował Tich.

Siska uśmiechnęła się.

- Ciekawa jestem, kto dał im nasienie? Chyba nie Tengel Zły. On w każdym razie musiał być kompletnie wysuszony.

- Tengel Zły już nie istnieje, Sisko, wiesz przecież - zwrócił jej uwagę Dolg.

- Wiem, ale nie mogłam się oprzeć tej myśli. Mam nadzieję, że oni wkrótce wrócą i opowiedzą nam, co zrobili. Jeśli to kiedykolwiek nastąpi - westchnęła. - Początek nie jest zbyt obiecujący.

By zyskać na czasie, Marco wrócił na łąkę. Uznał, że to miejsce łatwo znaleźć i chyba nietrudno też będzie na nim wylądować. Kiedy Cień zbliżył się na odpowiednią odległość, mogli się porozumiewać przez telefon. Marco wskazywał mu drogę.

- Miałeś rację, ptaki są w stanie pokonać przeszkodę. Oto nadlatuje dzielny, dumny i nieulekły orzeł.

- Witamy go serdecznie - powiedział Marco ze śmiechem. - Znalazłeś to, czego szukamy?

- Och, to zwyczajna kaszka z mlekiem! Nie, wyraziłem się niewłaściwie, to jednak dość obrzydliwa sprawa. Trafiłem wprost na grupę głupich wojowników i wyrwałem kość jednego z ich kompanów, którą pracownicy obgryzali.

- Uff!

- Tak, oni mają okropne obyczaje, jeśli chodzi o zachowanie się przy stole. To kość udowa. Będzie dobra?

- Znakomita!

- Ale jest kompletnie obgryziona, nie została ani odrobinka mięsa.

- O to właśnie chodziło. O czysty szkielet. Mam nadzieję, że oprócz szpiku znajdzie się i kropelka krwi?

- Z pewnością! O, teraz cię widzę! Już schodzę na dół.

Do tego jednak nie doszło. Cień również tutaj, wysoko w powietrzu, zderzył się z niewidzialną ścianą.

- Dolina jest zamknięta niczym w kokonie - mruknął.

Zobaczył Mara i Shirę, pomachał im, ale zaraz uświadomił sobie, że oni go przecież nie widzą.

- Teraz zrzucam kość - ostrzegł. - Postaram się, żeby żadnemu z was nie spadła na głowę. Ale co to będzie, jeśli kość też nie przedostanie się przez tę zaporę?

- Powinniśmy być dobrej myśli.

Cień rzucił kość i w tej samej chwili stała się ona widoczna z ziemi, opadała spiralnie w dół. Bez przeszkód znalazła się w pobliżu oczekujących. Nie trafiła nikogo w głowę, Marco podniósł ją i pomachał niewidzialnemu Cieniowi.

- A skoro jesteś tak wysoko - powiedział przez telefon - to może mógłbyś się rozejrzeć, co jest przed nami?

- Najpierw wzniesienie, które musicie pokonać. Potem znowu skały. Wysokie skały, wąskie przejścia...

Umilkł.

- Co jest dalej? - nalegał Marco. - Widzisz rurę? A może źródła?

- Nie - odparł Cień z wolna. - Ale, na Boga, co to za istota, która czeka na was po drugiej stronie?

- To musi być Niezwyciężony - stwierdził Marco. - Opowiedz, jak wygląda!

Głos Cienia brzmiał niepewnie.

- Nie, nie potrafię ci tego przekazać, to zbyt skomplikowane. Muszę wracać. Powodzenia!

Zrozumieli, że Cień jest przerażony, że nie jest w stanie pojąć tego, co zobaczył. Shira westchnęła głośno.

- Będziemy ci towarzyszyć, Oko Nocy, jak długo się to okaże możliwe.

- Dziękuję, bardzo sobie to cenię.

Marco znalazł spory kamień. Położył kość nieszczęsnego wojownika na płaskiej skale, a Mar z całej siły uderzył kamieniem i zmiażdżył ją, potem starannie zebrał szpik i zaniósł do zagłębienia w skale, gdzie już przedtem Shira i Oko Nocy złożyli swoje zdobycze. Wszyscy czworo czuli się nieswojo, wszystkich ogarnęły mdłości.

Czekali w milczeniu, dobrze wiedząc, że wypełnili swoje zadania tak, jak mogli, ale w gruncie rzeczy dość to wszystko było umowne. Tylko Shira zdobyła prawdziwe nasienie wroga, ale reszta? Bali się, że ich wysiłki nie zostaną zaakceptowane.

Nikt się nie odzywał, wszyscy wstrzymywali oddech.

Nikt nie chciał patrzeć na paskudną zawartość skalnej misy. Wpatrywali się natomiast w skałę, która wciąż zamykała im dalszą drogę. Wiatr zawodził cicho, było chłodno i nieprzyjemnie. Rury nie widzieli od czasu, gdy opuścili łąkę, po prostu gdzieś im zniknęła, nie mieli pojęcia, gdzie jej szukać.

Może znajdują się już przy złym źródle? Może przegapili odnogę wiodącą do jasnej wody?

Nie, to niemożliwe.

- Ciii! - powiedział nagle Oko Nocy, obdarzony najlepszym słuchem. Trudno powiedzieć, kogo uciszał, wszyscy przecież milczeli jak kamienie.

W końcu pozostali też usłyszeli. Jakiś słaby dźwięk w górach, najpierw prawie szept, który wolno przybierał na sile, przemienił się w głucho dudnienie, a potem w straszliwy łoskot. Musieli zatykać uszy, żeby im bębienki nie popękały.

No to zniszczyliśmy wszystko, teraz się zapadniemy, pomyślał Oko Nocy, kiedy ziemia zaczęła się pod nim trząść. Masywne skały dygotały niczym liść osiki na wietrze.

Ale nikt się nie zapadł. Po chwili otworzyli ostrożnie oczy, bo podczas najgorszych grzmotów nie mieli odwagi patrzeć, co się dzieje. Łoskot wciąż jeszcze był trudny do zniesienia, ale ku swojej wielkiej radości stwierdzili, że góra rozdzieliła się na dwoje i powstały w niej małe wrota.

- Szybko, zanim się rozmyślą - ponaglał Marco. - Mam wrażenie, że nie wypełniliśmy naszego zadania w stu procentach.

Wszyscy czworo przecisnęli się przez wąski otwór. Nie odważyli się oglądać, żeby stwierdzić, czy brama pozostanie otwarta, czy zamknie się za nimi. Nie należy martwić się na zapas.

Zdążyli tylko stwierdzić, że żadne z nich nie ma w ręce srebrnej czarki. Shira dawno temu odrzuciła swoją z obrzydzeniem, ale kiedy góra się otwierała, Oko Nocy i Marco wciąż trzymali swoje. Może i te czarki, podobnie jak wszystko inne, były tylko dziełem czarów i wyobraźni?

Bardzo przebiegli są mieszkańcy Gór Czarnych. Ale członkom ekspedycji z Królestwa Światła też pod tym względem niczego nie brakuje.

- Udało się - odetchnął Oko Nocy z ulgą. - Teraz jeszcze tylko reszta...

- Owszem, Niezwyciężony - mruknął Mar. - Ale gdzie my się właściwie znajdujemy?

Rozejrzeli się wokół. W dalszym ciągu mieli przed sobą skały, ale one się pewnie niedługo skończą, a w oddali majaczyła droga, którą widzieli już przedtem. Wiła się w górę

po dość stromym zboczu, wyglądającym na bardzo nieprzystępne, nagie, jakby wysmagane wichrem, tylko tu i ówdzie widać było kamienne bloki. Pojawiły się jakieś pojedyncze formacje skalne, również nagie. Generalnie jednak wzgórze było ogołocone ze wszystkiego i jakoś dziwnie otwarte jak na tutejszą okolicę.

Oko Nocy zastanawiał się, co też może być po drugiej stronie. Cień nie zdołał niczego zobaczyć.

Wolno i dość niechętnie ruszyli przed siebie. Jakby chcieli się przygotować na kolejne zaskoczenia. Widzieli, że droga nie była często używana, wyglądała jak wytyczona bardzo dawno temu, mech porastał ją gęsto i czynił prawie niewidoczną.

- Musiałam chyba kompletnie zedrzyć podeszwy u butów - powiedziała Shira bardzo cicho, jakby się bała, że ktoś ją usłyszy, choć przecież nikogo nigdzie nie widzieli. - Ten twardy mech mnie kłuje.

- Ja nawet nie mam odwagi obejrzyć swoich mokasynów - uśmiechnął się Oko Nocy.

- Kiedy już przejdziemy przez wszystkie próby, będziemy znacznie dotkliwiej okaleczeni - rzekł Marco.

- Dziękuję, potrafisz podnieść człowieka na duchu! - roześmiał się Mar.

Nagle wszyscy stanęli jak wryci. Zza skały wyszła ogromna postać, poruszająca się jakoś dziwnie, jakby składała się z samych tylko kości. Ale to nieprawda. Owe kości pokrywała osobliwa, ciemna skóra.

- Niezwyciężony - syknął Marco przez zęby. - Teraz rozumiem, skąd ta nazwa.

- Ja także - potwierdził Oko Nocy pobladły. - To przecież Śmierć we własnej postaci!

Faron, Indra i Freki dotarli do odległej doliny, gdzie, zdaniem wilka, mogła się znajdować grotta, w której przebywali więźniowie. Czyli, jak się wyraził, miejsce chronienia. Miejsce chronienia czego?

Czy jednak więźniowie się w tym miejscu znajdowali i kim mogliby oni być, wilk nie wiedział.

- Jeśli ktoś tam jest - powiedział Freki - to musiały to być ktoś bardzo umiejętnie opierający się Łowcy Niewolników.

- I prawdopodobnie również temu tak zwanemu Niezwyciężonemu - dodał Faron. - Co to za typ? Ale to daje nam pewną nadzieję, prawda? Powiedzcie mi, czy to nie jakiś dom, tam w oddali?

Znajdowali się teraz w małej, bardzo ładnej dolinie, tyle że położonej na uboczu i tak bardzo zamkniętej, że trudno ją było znaleźć. Mniej więcej pośrodku doliny połyskiwało jeziorko, ale już z daleka było widać, że woda jest mętna i martwa. Nic nie mogłoby w niej żyć.

- Gdzie? - zapytała Indra. - Chodzi ci o wyspę?

- No właśnie. To może być jakiś wielki głaz, ale może też być dach budynku.

- Chyba masz rację - potwierdził Freki. - To dach. Tylko jak się tam dostaniemy?

Wytrzeszczali oczy, by objąć wzrokiem całą niewielką dolinę. Nigdzie jednak nie dostrzegali niczego, co mogłoby przypominać czyjeś siedziby. Wszyscy mimo to nabrali pewności, że na wyspie znajduje się jakiś budynek.

- Wygląda na to, że woda jest raczej płytka - stwierdziła Indra. - W braku łodzi możemy chyba dojść do wyspy brodząc.

Faron spojrzał na skraj swego pięknego, sięgającego do kostek stroju Obcych, uszytego z materiału o naturalnej barwie. A potem popatrzył na przypominającą raczej szlam niż wodę powierzchnię jeziorka.

- Utkniemy w tym na dobre.

- A masz lepszą propozycję?

- Nie.

Wszyscy razem zeszli na brzeg.

- O rany - jęknęła Indra. - To tak, jakby brodzić w szambie.

- Na dodatek bez powodu - dodał Faron.

- Freki, może mogłabym pojechać na twoim grzbiecie? - zapytała Indra.

- O, nie! - zawołał natychmiast Faron. - Żadnych niezasłużonych przywilejów, proszę!

W grupie panowało lekko sarkastyczne poczucie humoru. To ironiczne spojrzenie na świat Indry kształtowało nastrój, któremu Faron i Freki poddawali się bez protestów. Pozwalał im bowiem zachować równowagę ducha, a momentami w ogóle przetrwać.

Kiedy wkroczyli w udające wodę obrzydlistwo, stopy natychmiast zanurzyły się w śliskiej mazi, ale wędrowcy nie zapadli się tak głęboko, jak przypuszczali. Z poruszonego szlamu unosił się odór zgnilizny.

- Mogłabym się założyć, że Oko Nocy & Co. nie męczą się bardziej niż my - jęknęła Indra.

- Zapewniam cię, że chyba jednak bardziej - rzekł Freki. - Przeklęte błocko, kompletnie oblepi moje futro! Już chyba nigdy się nie domyję!

- Ptaki! - wrzasnął Faron. - Kryć się!

- Tutaj? Żaden diabeł nie zmusi mnie, żebym tutaj próbowała się kryć - syknęła Indra.

- A poza tym one i tak nas nie widzą, jesteśmy przecież niewidzialni.

- Masz rację, zapomniałem.

Obrzydliwe czarne ptaszyska nawet nie spojrzały w ich stronę, ale dla wszelkiej pewności wszyscy troje stali bez ruchu, żeby kręgi na wodzie ich nie zdradziły.

- Taką czapkę-niewidkę chętnie pożyczalabym sobie częściej - oznajmiła Indra zadowolona. - Pomyślcie, jakie to praktyczne, kiedy chce się kogoś szpiegować! Chociaż nie, nie mam zamiaru nikogo szpiegować, to wstrętne!

Początkowo rzeczywiście woda w jeziorcu była płytka, kiedy jednak pokonali mniej więcej połowę drogi do wyspy, dno zaczęło się nagle gwałtownie obniżać.

- Jeśli będziemy musieli pływać w tym czymś, to ja pasuję - zapowiedział Indra. - Nie mam nawet odwagi unieść ręki, żeby zobaczyć, co się do niej przyczepiło.

- Zdaje mi się, że narzekasz, Indro - rzekł Faron rozbawiony.

- Ja? Nic podobnego, czuję się wspaniale! Będziemy musieli coś takiego zrobić jeszcze raz, chłopcy!

- Obiecuję ci, powtórzymy wszystko w drodze powrotnej - powiedział Faron.

- Już się zaczynam cieszyć - bąknęła Indra, ale ostatnie słowa zabrzmiały jak bul-bul-bul, bo ona sama zniknęła pod powierzchnią wody.

Faron w ostatniej chwili złapał ją za włosy.

- Teraz wyglądasz wspaniale - oświadczył. - Jak tam było w szambie?

Indra zanosiła się kaszlem, próbowała odnaleźć grunt pod stopami. W jej oczach

widzieli przerażenie.

- Kto powiedział, że jeziorko jest martwe?
- O co ci chodzi?
- Widziałam tam jakieś stwory. Wielkie, paskudne ryby.
- Niemożliwe!
- Owszem. Były...

Więcej nie zdążyła powiedzieć, bo nagle powierzchnia wody została zmacona, podniósł się jeszcze większy smród odchodów i nasi wędrowcy usłyszeli straszny chlupot. Z mazi wyłonił się wielki łeb bez szyi, a za nim długie cielsko bez kończyn. Gdyby dostrzegli jakieś oko, byłiby pewni, że potwór się na nich gapi. Oczu jednak chyba nie miał.

Freki odskoczył jak mógł najdalej w tył, Indra wrzeszczała, jakby kompletnie straciła panowanie nad sobą, tylko Faron zachował zimną krew.

Nauczył się od Marca, że małe, niegroźne stworzenia w Górach Czarnych stają się wielkie i złe.

Trzeba więc tylko jak najszybciej ustalić, od czego czy od kogo pochodzą te poczwary.

Myśli krążyły gorączkowo w mózgu Farena. Głowa? Czy można tu mówić o głowie?

Przez chwilę pomyślał o śmiertelnie niebezpiecznej murenie, ale to stworzenie nie było do niej podobne.

Pysk przystosowany do ssania z trzema obrzydliwymi zębami? Długi, czarny i pokryty śluzem korpus z czerwonymi plamami, zresztą nie, nie długi, bo teraz skurczył się, zrobił krótki i gruby. Kątem oka Faron dostrzegał, że Indra i Freki zostali zaatakowani przez inne osobniki tego samego rodzaju wystawiające łby spod wody. Indra wrzeszczała, wilk warczał i oboje walczyli zaciekle.

Pijawki!

W tym samym momencie, gdy poznał odpowiedź, znalazł też magiczne formułki przeciwko paskudnym stworom. To wprawdzie domena Móriego, ale i Faron swoje wiedział. Jako Obcy posiadał specjalne zdolności, a poza tym był trenowany, by przeciwstawić się każdej możliwej formie ataku.

W jednej chwili odzyskał kontrolę nad sytuacją, a kiedy już się to stało, mógł posługiwać się tym, czego sam się nauczył i w co wyposażyła go natura, a także tym, czego dowiedział się od Dolga i Marca podczas wyprawy. Dolg przejął wiele swoich umiejętności od Móriego, poza tym sporo przekazały mu też elfy.

Freki wył ze strachu. Jedno z olbrzymich monstrów przyssało się do jego brzucha, co

mogło się skończyć fatalnie. Pijawka mogła wyssać wszystką krew z wilka, i to w bardzo krótkim czasie. Indra walczyła w gęstej wodzie z dwiema nacierającymi na nią paskudami.

- Odczepcie się ode mnie, przekłete kapuściane glizdy! - wrzeszczała, choć w porównaniu z wyciem Frekiego prawie tego nie było słycać. Faron, który stał nieco z boku, na razie uniknął ataku pijawek, ale lada moment mogły zaatakować również jego.

Gdyby tylko mogły. Oto nagle zaczęły się kurczyć, i to bardzo szybko, bo nigdy jeszcze Faron nie wypowiedział zaklęć w takim tempie. Ta, która wczepiła się w skórę Frekiego, miała szczęście, że wypięła zaledwie kilka kropel krwi, bo teraz na pewno by pękła. Kiedy stwierdziła, że jest nie większa niż ludzki palec i wisi pod brzuchem ogromnego „psa”, przerażona rozwarła paszczę.

Echo wycia Frekiego niosło się daleko, podczas gdy Indra brodziła w śluzie pełna jak najgorszych przeczuć, Faron chciał wziąć ją pod rękę i uspokoić. Ona pomyślała jednak, że to kolejny atak spod wody, i odepchnęła go z całej siły tak, że stracił równowagę. Na szczęście Freki uratował go od okropnego doświadczenia, jakim mogło być zanurzenie się w wodzie. Jeśli w ogóle tę breję można było nazywać wodą, w co cała trójka szczerze wątpiła.

Przestraszona Indra rozglądała się wokół.

- Pojawi się ich jeszcze więcej?

- Nie, poradziłem sobie z całym plemieniem.

- Że też ty wszystko potrafisz! - zawołała z podziwem.

- Tak jest - przyznał Faron sam zaskoczony. - Ja wszystko potrafię. No, a co z tobą, Freki?

Wilk odpowiedział, że bestie już się od niego odczepiły.

- Znakomicie - rzekł Faron spokojnie. - Czy zatem możemy iść dalej?

Oboje dziękowali mu za pomoc, a on przyjmował ich podziw z fałszywą skromnością.

Indra oderwała sobie jeszcze jakąś małą pijawkę z ramienia, a Faron patrzył z uznaniem, że umie zachować taką zimną krew. Kiedy jednak przypominała sobie te ogromne pasożyty, to...

- Będziemy musieli płynąć - oznajmił Freki lakonicznie.

Indra i Faron przyjęli to ze spokojem. Wydawało im się, że najgorsze mają już za sobą.

- Zobaczycie, że przyzwyczaję się do tych kąpielii w szlamie i nigdy już nie będę chciała się kąpać w czym innym - mruzczała Indra. - Jestem pewna, że to znakomicie robi na cerę.

Nie wyglądała jednak na specjalnie zadowoloną, kiedy silnymi uderzeniami ramion

zmagala się z gęstą mazią. Jej piękne, ciemne włosy pozlepiały się wokół twarzy, wszystko, łącznie z policzkami, pokrywał zielonkawy szlam i obrzydliwy nawóz.

- Teraz powinien cię zobaczyć Ram - wyłóśliwał się Faron płynący obok.

- Niech mnie Bóg broni! - zawołała szczerze przerażona.

- Czuję grunt pod stopami - oznajmił Freki.

- Jesteś pewien, że to stały grunt? - zapytała Indra podejrzliwie. - Mam nadzieję, że nie stanąłeś na jakimś żywym stworzeniu? Nie chciałabym spotkać więcej potworów wyłaniających się ze szlamu.

- Nie, to chyba jednak grunt.

Wszyscy wyczuwali, że dno podnosi się łagodnie ku brzegom wyspy. Wyczerpani gramolili się na ląd.

- Kim pani jest? - zapytał Faron kompletnie do siebie niepodobną, umazaną błotem Indrę. - Chyba pani przedtem nie spotkałem?

Wybuchnęła śmiechem. Jakiegokolwiek próby doprowadzenia się do porządku nie miały sensu. Indra wycierała twarz i ręce, próbowała strząsać błoto z ubrania. Pomogła też Frekiemu trochę oczyścić futro i zebrała z niego kilka pijawek. Faron spoglądał na swój zniszczony strój i wzdychał głośno.

- Nie masz się co tak nad sobą uzalać - zawołała Indra bezlitośnie. - Twoja szlachetna głowa ani na chwilę nie zanurzyła się pod wodą.

- Rzeczywiście, masz rację, przesadzam. Przepraszam!

Uśmiechnęła się w odpowiedzi tak szeroko, że zęby rozbłysły bielą na tle ciemnoszarego szlamu. Zaraz jednak spoważniała.

- Czy nic was tu nie uderzyło?

- Bardzo wiele rzeczy - odparła Faron. - Ale o czym konkretnym myślisz?

- O tym, co wydaje się takie oczywiste, że nikt nie zaprzętał sobie tym głowy.

- No to powiedz! Nie stój tak i nie przechwalaj się, że wiesz wszystko lepiej!

- Nie wydaje mi się, żeby oczy pijawek były szczególnie imponujące, ale chcę wam powiedzieć, że one nas widziały!

Freki jęknął głucho, a Faron rzekł porażony:

- Tak jest, widziały nas!

- To znaczy, że ziarna przestały działać - stwierdził Freki. - Szybko to poszło.

- Owszem - przytaknęła Indra. - Siska nas przecież ostrzegła, że Tsi się nimi posługiwał, ukrył je sobie na piersi, by móc przyprzewodzić do domu Kari i Armasa. O, fuj, jak my wyglądamy! To przecież straszne!

Bardzo zgnębieni ruszyli wolno w kierunku domu.

- Przypomina bunkier - stwierdziła Indra. - Bez wejścia.

- Coś się zrobiła taka optymistka! - prychnął Faron.

Obchodzili wkoło niski, przysadzisty budynek.

W końcu, kiedy go już prawie okrążyli, znaleźli bardzo dobrze ukryte drzwi.

- Czyż nie mogliśmy zacząć od tego miejsca? - złościła się Indra.

- Chyba wiesz, że zawsze zaczyna się nie od tego końca co trzeba - rzekł Faron. - To się nazywa złośliwość rzeczy martwych.

- Ach, tak? W świecie Obcych to również działa?

- Jeszcze jak! Ale my potrafimy jej przeciwdziałać!

- Och, wy wszystko potraficie! Cholerni geniusze!

- No, to teraz trzeba otworzyć drzwi - powiedział Faron nie zrażony jej złośliwością. - Powinien być tu z nami Móri!

- A kiedy nie powinien? - wtrąciła Indra. - Ale ty sobie z tym poradzisz. Otwieraj drzwi, czarowniku!

Posłał jej mordercze spojrzenie, które zdawało się mówić: „Ile można ścierpieć!”, ale jego dziwna twarz promieniała wesołością.

Faron nie powiedział, jakich magicznych sztuczek używa, ale zamek ustąpił po kilku zaledwie nieudanych próbach, których Freki i Indra starali się nie zauważać i o których postanowili natychmiast zapomnieć.

- Nie mam ja talentu Móriego - rzekł Faron samokrytycznie.

- Ale jesteś wystarczająco dobry, zapewniam cię - pocieszała go Indra.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie i wędrowcy znaleźli się w ciemnym choć oko wykol korytarzu. Optymistka Indra zaczęła szukać po omacku jakiegoś kontaktu, ale Faron na to nie liczył, prychnął, wymamrotał coś pod nosem i cała jego postać rozblęśla jasnym światłem.

- Bardzo dobrze! - zawołała Indra z podziwem.

Korytarz był szeroki. I dość niezwykły. Faron z trudem chwycił powietrze, kiedy zobaczył, co pokrywa ściany.

- Nasze zaginione gondole! To gondola pierwszej ekspedycji. A to drugiej. Tam trzecia i piąta. A tam szósta.

- Brakuje chyba tylko tej, która się rozbiła w Dolinie Róż, i gondoli Hannagara - oznajmił Freki.

- Prawdopodobnie. Jego ekspedycja była siódma i ostatnia przed naszą. I... Tak, ci, którzy opowiadali o różach, należeli do czwartej wyprawy, zgadza się. Tak, Freki, a ty

wspominałeś o jakimś miejscu przechowywania. Oni musieli mieć na myśli właśnie to. Nasze gondole.

- Trofea łowieckie - mruknęła Indra. - Niczym głowy dzikich zwierząt, które lubiący zabijanie ludzie w dawnym świecie wieszali sobie na ścianach.

Faron patrzył na nią zdumiony.

- Ludzie naprawdę chwalili się tym, że zabijają zwierzęta?

- Oczywiście! Dekorowali ściany domów spreparowanymi głowami, skórami wymierających gatunków...

- Wstrętne - powiedział Faron z obrzydzeniem. - Odpychające i tragiczne. Że też ludzie mogą być tacy bezmyślni!

- Może jednak kontynuujemy zwiedzanie - przerwał im Freki.

- Tak jest.

W miarę jak przechodzili obok kolejnych gondoli, Faron gorączkował się coraz bardziej.

- Patrzcie, co oni zrobili! Usunęli wszelkie wyposażenie elektroniczne. Zostawili tylko same skorupy! To wandalę!

Korytarz się skończył jakimiś drzwiami. Weszli do dużego pokoju.

- No tak - prychnął Faron. - To tutaj trzymają całe wyposażenie. Porozrywane. Zniszczone. Przyjaciele, oni nie mają o tym wszystkim najmniejszego pojęcia!

- A oczekiwałeś, że będą mieli? - zapytała Indra. - Oni się posługują przede wszystkim czarną magią, czarami. Te małe, przeżarte złem mózdzki nie ogarniają współczesnej magii, takiej jak elektronika, komputery i inna zaawansowana technika.

- I bardzo dobrze, że tak jest. Możemy czerpać z tego korzyści. A oto jeszcze jedne drzwi, chodźmy dalej! Świetnie, że przypomniałeś sobie o tej kryjówce, Freki, to rozwiązuje nam wiele dawnych i bardzo nieprzyjemnych zagadek.

Otworzył drzwi i wydał z siebie okrzyk grozy:

- O Święte Słońce!

Indra i Freki zaciekawieni zagłądali mu przez ramię. Blask bijący od Obcego oświetlał niewielki pokój.

- O rany... - szepnęła Indra.

Żadne nie miało najmniejszych wątpliwości. Oto znaleźli zaginionych uczestników dawnych ekspedycji.

Przez setki czy może raczej przez tysiące lat Królestwo Światła wysyłało ekspedycje do Gór Czarnych. Ani jedna z nich nie wróciła do domu. Owszem, wyprawa Hannagara była bliska powodzenia, jej członkowie jednak wracali pełni złych intencji i zostali zatrzymani przed murem.

Przy odrobinie dobrej woli można by uznać za ekspedycję ową nieodpowiedzialną wycieczkę Joriego i Tsi-Tsunggi na terytorium Gór Czarnych. W każdym razie chłopcy byli jedynymi wędrowcami, którzy wrócili do domu.

Wszyscy inni po prostu zniknęli.

I znajdowali się tutaj. A przynajmniej ich część. Ilu mogło być tych pozbawionych sił, wychudłych, leżących na podłodze, którym władcy złych Gór Śmierci nie okazali najmniejszego współczucia ani miłosierdzia? Pokój był absolutnie pusty, żadnych sprzętów, tylko cztery ściany, sufit i podłoga. Żadnych okien, żadnych ław czy prycz, w ogóle nic.

Oto skutki nienawiści do życia doprowadzonej do skrajnej postaci.

Przybysze naliczyli dwanaście wynędzniałych istot.

- Czy oni żyją? - zapytała szeptem wstrząśnięta Indra.

- Jeśli się nie mylę, to tak - mruknął Faron.

Ukląkł przy najbliższej, przypominającej raczej szkielet niż istotę ludzką postaci.

- Dor, czy to ty?

Istota, która wyglądała jak więzień obozu koncentracyjnego, odwróciła głowę. Dwoje matowych oczu Obcych, ukrytych głęboko w oczodołach, spojrzało na Faroną. Ów ledwo dostrzegalny ruch głową zajął nieszczęśnikowi wiele sekund.

Z gardła mężczyzny nie wydobył się żaden dźwięk, twarz jednak świadczyła o głębokim wzburzeniu.

Faron odwrócił się.

- Indra, trochę wody! Ale naprawdę odrobinę.

Natychmiast wyjęła swoją butelkę z wodą. Faron zwilżył kilkoma kroplami wargi mężczyzny.

- Freki, dziękuję ci - powiedział. - Dziękuję, że pamiętałeś o tym miejscu.

- Siska też pamiętała - dodał wilk.

- Tak, i Siska. To ona naprowadziła nas na tę myśl. Och, kochani przyjaciele, jak mogliśmy o was zapomnieć?

- Nikt nie sądził, że oni nadal żyją - westchnęła Indra.

Postać leżąca nieco dalej wydała z siebie cichutki jęk. Faron zwrócił się w tamtą stronę.

- Tinko? Tinko, mój drogi, ja myślałem, że jesteś stracony na zawsze.

Indra widziała, że ten też jest Obcym. A raczej kiedyś nim był.

Zadbała, by wszyscy nieszczęśnicy dostali trochę wody. Chętnie podzieliłaby też między nich swój prowiant, ale Faron był nieustępliwy. Jedzenie może im zaszkodzić, trzeba działać bardzo ostrożnie.

Indra czuła się niczym Florence Nightingale, kiedy pochylała się nad spragnionymi, by dać im odrobinę ukojenia. Brakowało tylko polowej latarki.

- Jest was tu niewielu - zwrócił się Faron do Tinko. - A co z resztą?

- Kilkoro ludzi... i Lemuryjczyków... przeszło na stronę zła... - wykrztusił tamten z olbrzymim wysiłkiem. - Reszta ludzi... padła... tutaj... albo w drodze tutaj. Ale... - Musiał zrobić dłuższą pauzę, żeby móc mówić dalej. - Nie wydostaniemy się stąd. W jeziorze aż się roi od... wysysających krew... potworów.

- Dostaliśmy się do was, to również wyjdziemy - zapewnił go Faron spokojnie. - Natychmiast rozpoczynamy ewakuację. Freki, obróć się kilka razy, prawda?

- Jasne - odparł wilk, choć nie wyglądał na specjalnie zachwyconego.

- Ja mogę wziąć jednego na plecy - ofiarowała się Indra. - Żeby tylko był w stanie się mnie trzymać.

- No właśnie, to jest największy problem. Ja też wezmę jednego. A Freki z pewnością...

- Trzech - przerwał mu wilk.

- No to będzie pięcioro za jednym razem. A potem wrócimy.

- Nie, zaczekajcie - wtrąciła Indra. - To nieracjonalne, Faron. Czy nie lepiej wziąć gondolę, albo i dwie?

To genialna propozycja, Faron nie omieszkał pochwalić Indry, co ona przyjęła z wielkim zadowoleniem.

Ostrożnie, jakby byli z porcelany, wszyscy Obcy i Lemuryjczycy zostali przeniesieni na brzeg, gdzie ułożono ich w szeregu. Wyglądali makabrycznie.

Freki przyciągnął jako tako użyteczną gondolę, Faron z Indrą wspólnymi siłami przytaszczyli drugą. Złożono po sześciu w każdej. Jeńcy nie posiadali właściwie niczego. Dobrze było zabrać wszystkich za jednym razem i nie musieć wielokrotnie przedzierać się przez mazisty szlam. Nawet jedno przejście przez to jezioro przypominające szambo było

wystarczająco obrzydliwe.

- So far, so good - powiedziała Indra, kiedy już wszyscy znaleźli się na drugiej stronie.

- Ale co teraz? Jak zamierzasz przetransportować ich przez góry i doliny do J2?

Faron westchnął. Przyglądał się gondolom pozbawionym wszelkiego wyposażenia.

- No właśnie. Przejrzałem leżące luzem części aparatury, ale wszystko zostało nieodwracalnie zniszczone przez tych prostaków z Gór Czarnych.

- Powiedz to głośno Nardagusowi albo „najpiękniejszemu”!

- Z przyjemnością, jeśli tylko znajdę się z nimi twarzą w twarz. Freki, czy byłbyś w stanie ciągnąć gondolę? Z nimi na pokładzie.

- Po ziemi?

- Gdybyśmy my z Indrą pchali?

- Nie mam pojęcia. A poza tym, czy będzie miejsce dla wszystkich w jednej gondoli? Jest ich dwunastu. To by zabrało mnóstwo czasu.

- Nie, ja nadam podróży tempo, użyję mego sposobu.

- Ciągnąć gondolę?

- Owszem. Wolałbym nie wzywać pomocy z J2, bo to by nam ściągnęło na kark tę czerwonoooką horde. Poza tym J2 jest potrzebny tam, żeby przyjąć Marca i jego grupę. Jeśli oni wrócą - dodał cicho.

Mimo wszystko wezwał Rama i zdał mu sprawę z sytuacji. Indra słyszała, że wymienia mnóstwo imion, i pojęła, że Ram jest wstrząśnięty. Żadnej pomocy nie mógł im jednak zaofiarować. Musieli zatem zaufać Frekiemu, gondoli i własnemu, dobrze przecież zasłużonemu szczęściu.

Ram przekazał im pozdrowienia od Chora oraz informację, że J1 jest już w Królestwie Światła i że wielu wyswobodzonych niewolników zostało rozlokowanych w odpowiednich miejscach w Ciemności.

- Znakomicie - ucieszył się Faron.

- Czy mogę zamienić parę słów z Ramem? - zapytała Indra cichutko.

Faron się zgodził.

- Ram - wyszeptala tak przepełniona uczuciem, że głos wiązał jej w gardle.

- Indra, odchodziłem od zmysłów z niepokoju. Jak się czujesz?

- Słyszałeś o kimś, kto musiał się zanurzyć w szambie? Wyglądam strasznie. Poza tym wszystko idzie dobrze.

- Tęsknię za tobą jak wariat, najdroższa!

- I ja za tobą. Ale już niedługo się zobaczymy!

- Nie mogę się doczekać!

Powrót jednak nie należał do najłatwiejszych przedsięwzięć. Długi, strasznie trudny marsz po górzystym terenie z mnóstwem przeszkód, a tu w gondoli dwanaście żywych trupów. W dodatku trzeba było wyminąć blokadę J2. Jak zdołają tego dokonać, całkowicie widzialni, bez żadnej ochrony, wioząc tajnych więźniów władców gór?

- Uważaj na siebie, Indro - zakończył Ram. - Czy mogę jeszcze porozmawiać z Faronem? Zdaje mi się, że mam pewien pomysł.

Pomysł nie był nowy, chodziło o nasiona Tsi. Gdyby tak można było...

Ale na pokładzie J2 przerwała mu Siska. Nie ma więcej nasion. Udało jej się zachować jedynie trzy po to, by czwórkę idącą do źródeł sprowadzić do domu w razie, gdyby znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

Ram i Faron dyskutowali długo.

- To jedyny sposób - rzekł na koniec Faron. - Nie pokonamy drogi z gondolą, nawet gdybym przyspieszył marsz. Ale musimy próbować. Nasiona są zbyt cenne, trzeba je oszczędzać, jak długo się da, mając zwłaszcza na uwadze Oko Nocy i jego towarzyszy.

Bardzo szybko okazało się jednak, że nie da się poruszać tak, jak zamierzali. Freki męczył się niczym koń roboczy, żeby ciągnąć przeciążoną gondolę przez wzgórki, kamienie i cierniste zarośla. Chcąc zabrać wszystkich za jednym razem, przywiązali trzech uratowanych, którzy nie zmieścili się w gondoli, do grzbietu wilka, co, oczywiście, nie dodawało mu sił. Trafili zresztą na wyjątkowo trudny teren. Specjalnego tempa Obcych nie można było w tych warunkach zastosować. Jak pech, to pech, nic się na to nie poradzi.

Kiedy na dodatek zobaczyli nad horyzontem chmurę czarnych ptaków, Faron dał za wygraną.

Ponownie wezwał Rama i Tsi, który na szczęście właśnie był przytomny, musiał położyć trzy ostatnie nasiona na swojej piersi.

Wkrótce potem Faron, Indra, śmiertelnie zmęczony wilk i cała zniszczona gondola pełna na pół martwych istot dotarli do J2. Na szczęście przewidujący Ram zdążył przenieść Tsi do dużego środkowego pomieszczenia. Przednia część pojazdu i tak była zbyt ciasna dla tak licznej grupy.

Wszyscy na pokładzie J2 byli zaszokowani straszliwym wyglądem odnalezionych nieszczęśników. Ram znał wielu z nich i kiedy już uściskał Indrę, przejmując część jej niezbyt wytwornego zapachu, witał się z nimi po kolei. Miał w oczach łzy współczucia.

Członkowie załogi J2 bardzo chcieli pomagać. Siska i Tich poili niedawnych więźniów po kropelce świeżą wodą i jakimiś odżywczymi płynami, a Cień pochylał nad

każdym po kolei małe święte słońce. Dolg przyniósł szafir, teraz znowu całkiem czysty, i kamień uczynił wszystko co możliwe, by wzmocnić biedaków i dać im trochę odporności. Najtrudniej było robić im zastrzyki, po prostu na wychudzonych ciałach nie znajdowano odpowiedniego miejsca, żeby wbić igłę. Tylko skóra i kości.

Wyglądało na to, że szafir odzyskał swój dawny blask. Farangil natomiast wciąż sprawiał wrażenie martwego. Już wprawdzie nie był czarny, ale jakiś szary, bez życia.

Faron pochylił się nad Tinko, który chyba miał się najlepiej z całej dwunastki.

- Powiedz nam tylko jedno: Jak zdołaliście przeżyć tak długo?

Tinko zwilżył suche wargi równie suchym językiem. Słowa więzły gdzieś w gardle.

- Oni... nie mogli... zabić - wyszeptał z największym trudem. Faron musiał bardzo natężyć uwagę, żeby zrozumieć, co tamten mówi. - A Łowca Niewol...ników nie miał... żadnej władzy... nad nami. Więc rzucili nas tam... żeby się nas pozbyć. Potem już ich... nie widzieliśmy. Tylko... kiedy przychodzili nowi... więźniowie.

To straszne, pomyślał Faron. Drżące dłonie zdradzały wielkie zdenerwowanie. Nieustannie zaciskał pięści i otwierał je.

- Tak, rozumiem, że ty dawałeś sobie radę najlepiej. Zawsze byłeś niepospolicie silny, Tinko. Ale... znasz Niezwycięzonego?

Tinko skrzywił się boleśnie.

- Słyszałem... o nim. Słyszałem, że... oni nie odważyli się go wezwać, żeby sami... nie pomarli. To zrozumiałe... bo, widzisz, Niezwyciężony jest... samą śmiercią.

- Śmiercią? - jęknął Faron i wyprostował się. - A Oko Nocy z pewnością go spotka. Bo nędznicy z tych złych gór najwyraźniej odkryli, że niektórzy z nas idą do źródeł.

Przez chwilę stał bez ruchu.

- Śmierć - powtarzał półgłosem sam do siebie. - A tymczasem nie mamy już nasion Tsi. To się dobrze nie skończy. Utracimy ich! Utracimy czworo nieocenionych mieszkańców Królestwa Światła, czworo oddanych towarzyszy. Jak przeżyć coś takiego?

Nieduży białobrody starzec stał przed potężnymi władcami we wnętrzu Góry Zła. Zdał im właśnie raport.

O ekspedycji, która uratowała najściślej chronionych więźniów, władcy nie mieli pojęcia. Nie, ich szokowały zupełnie inne informacje.

- Powiadasz, że przeszli przez górskie wrota? - wrzeszczał najważniejszy z nich. - Co to ma znaczyć? A jak zdołali wypełnić nasze trzy zadania? To przecież niewykonalne!

- Nie dla nich - mruknął starzec.

- Oni naprawdę potrafią wszystko - zawodził Nardagus. - To było zadanie nie do wykonania, a oni je wykonali!

- Zamilcz! - warknął najwyższy z wściekłością. - Czy nie wiesz, że to my zawsze wygrywamy! Powiedz mi teraz, jak zdołali tego dokonać - zwrócił się do starca.

- Ja nie wiem. Wszystko stało się w bardzo krótkim czasie. Jeden poszedł na łąkę i coś grzebał w krzakach. Diabli wiedzą, czego tam szukał. Dwoje zniknęło mi na jakiś czas, ale zaraz wrócili i włali coś do skalnego zagłębienia, a ten czwarty... nie, nie mam odwagi tego powiedzieć.

- Gadaj! - wrzasnął najpotężniejszy.

- On... stanął na łące, wyciągnął ręce w górę i chwycił kość, która została zrzucona z nieba.

- Zrzucona? Przez kogo?

- Przez nikogo. Nad nim było tylko powietrze. Nikt się nie pokazał, żaden ptak, naprawdę nic!

- Te diabły czarują!

- Nie! Troje wypełniło zadania bez żadnych czarów. Mieli zdobyć nasienie wroga, mleko dziewicy i krew kościotrupa, i zrobili to. Wszystko prawdziwe, wszystko zdobyli w bardzo krótkim czasie, i to w okolicy, gdzie nikt nie chodzi, w górach. Ja tego nie rozumiem.

Słuchający go władcy siedzieli z posepnymi minami w fotelach.

- Niech tam, ale teraz daleko już nie zajdą - oznajmił w końcu jeden z triumfem.

- To prawda - potakiwał starzec. - Bo teraz spotkają Niezwycięzonego!

- Czy Niezwyciężony został powiadomiony?

- Oczywiście! Przekazałem wiadomość przez tych dziesięciu niewolników, których mi wasze wysokości przysłały. Tylko trzech wróciło.

- W takim razie możemy być spokojni. Ta ich żalosna próba dotarcia do źródeł na tym się skończy.

Najwyższy strzelił palcami i starzec zniknął. Był przecież fantomem.

Zebrani opuszczali pomieszczenie ze złośliwymi uśmiechami. Cieszyła ich sama myśl o tym, co się będzie działo, kiedy tamtym czworgu wyjdzie na spotkanie Śmierci.

Chętnie by to zobaczyli. Dyskutowali, jakby to można urządzić, ale na razie nie doszli do żadnych konkretnych ustaleń.

Wszyscy się po prostu straszliwie bali Niezwycięzonego, czyli Śmierci we własnej osobie.

Wysoko w górach czworo wybranych stało bez ruchu.

W tych minutach miał się zdecydować los ich wyprawy.

- No, chyba źle z nami - powiedział Oko Nocy matowym głosem, obserwując zbliżającą się straszliwą postać. Nie odczuwał teraz górskiego chłodu, nic nie widział, jego wzrok był jak przyklejony do tego, który szedł im na spotkanie. - Nikt nie jest w stanie zwalczyć ani pokonać Śmierci.

- Jesteś pewien? - zapytał Marco z przekąsem.

Bardzo się jednak martwił losem młodego Indianina. Mar i Shira są duchami, zmarli wiele wieków temu. Ona była wybraną w swoim rodzie, on został obciążony przekleństwem Ludzi Lodu, dzięki czemu po śmierci czekała ich dalsza egzystencja w postaci „żywych duchów”. Oni nie mogą zostać pokonani przez Śmierć. Sam Marco też da sobie radę, ale co z Okiem Nocy? Królestwo Światła nie może go utracić. Tylko on bowiem może dotrzeć do źródła jasnej wody, nie mówiąc już o tym, że nikt z nich nie chciał stracić wiernego przyjaciela i towarzysza wyprawy. Gra toczy się o najważniejszą misję Królestwa Światła, o ratunek dla świata, o nieszczęsną planetę Tellus.

To nie byle co. A oto zbliża się do nich największa przeszkoda.

Marco przeklinał władców tych opuszczonych górskich okolic. Takie miejsca powinny być piękne i czyste, a tymczasem...

Makabryczna postać zdawała się wiedzieć, o co chodzi, bo kierowała się wprost na Oko Nocy, jedyne z czwórki, któremu można było wyrządzić krzywdę.

Indianin nie poruszał się. Tylko Marco zauważył, że z trudem przełyka ślinę.

I wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Rozległ się pełen zaskoczenia, radosny okrzyk Shiry:

- Shama!

I zaraz potem, niczym echo, taki sam radosny krzyk Mara.

Marco myślał intensywnie. Shama? Taran-gai...

W wierzeniach tamtejszego ludu duch kamieni. Kamieni i nieoczekiwanej śmierci.

W tym samym momencie wiatr zamarł. Jękliwy, śpiewny ton wypełnił kosmiczną przestrzeń; Marco i Oko Nocy zastygli w pół ruchu niczym posągi w parku.

Czas się zatrzymał.

Shira jednak nie chciała, żeby tak było.

- Nie, Shamo! To są nasi przyjaciele! - zawołała pospiesznie. - Pozwól im być z nami, nie zamykaj ich poza naszym kręgiem!

Do tej chwili Shama nie widział Shiry ani Mara, całą uwagę skupiał na ludziach, którzy wkroczyli na teren oddany jego władzy.

Kto ma odwagę przemawiać do Shamy w ten sposób? I gdzie już kiedyś słyszał ten głos?

W boleśnie odległych, minionych czasach na powierzchni Ziemi. Jego ostatnie spotkanie z...

Potężny skierował swoje niezwykle, czarne oczy, w których tańczyły zielone płomienie, w stronę Shiry.

Cofał się w czasie, przenosząc spojrzenie z niej na Mara i z powrotem.

Z wolna na jego groteskowej twarzy rozkwitał uśmiech. Uczynił ruch dłonią i dwie zastygłe postacie poruszyły się.

Ale on nie patrzył na nie, widział tylko Mara i Shirę.

- To wy, moi przyjaciele? Moi najdrożsi, jedyni przyjaciele? Więc jednak istniejecie? Och, nareszcie! Żebyście wiedzieli, jak ja was szukałem! Chodźcie, podejdźcie bliżej, niech poczuję, że naprawdę was odnalazłem.

Shira i Mar podeszli, a on chwycił ich w ramiona. Ciężkie łyzy potoczyły się po policzkach bóstwa.

- Wiedziałem, że gdzieś jesteście, bo w przeciwnym razie przestałbym istnieć, zostałbym unicestwiony. Ale tam, na powierzchni globu, nigdzie nie mogłem was znaleźć.

Shira tłumaczyła wzruszona:

- Byliśmy duchami, więc nie mogłeś nas widzieć, choć wyczuwałeś, że jesteśmy. A teraz, od bardzo dawna, znajdujemy się w Królestwie Światła, tym bardziej więc byliśmy dla ciebie niedostępni. Nie, Marco i Oko Nocy, nie denerwujcie się, rozmawiając z Shamą nie tracimy czasu. Znajdujemy się teraz w przestrzeni między jedną chwilą a drugą. Powiedz nam jednak, Shamo, co ty tu robisz?

Wzruszenie odbierało Shamie głos.

- Ech, kiedy was dwojga zabrakło na Ziemi, byłem bliski końca. Wicie przecież, nie zostało tam już nikogo, kto by we mnie wierzył, i wicie także, że w takiej sytuacji my, nieszczęsne bóstwa, umieramy. Coś jednak mnie podtrzymywało. Później dowiedziałem się, że to wy, że wprawdzie pod postacią duchów, ale nadal istniejecie. Dzięki temu ja także mogłem trwać. Ale właśnie wtedy opuściliście powierzchnię Ziemi, więc i ja podążyłem za wami do jej środka. Niestety, pobłądziłem, trafiłem tutaj, do Gór Czarnych. A ponieważ jestem skazany na posłuszeństwo Złemu, to oni położyli na mnie łapę. Powitali mnie bardzo serdecznie, choć równocześnie śmiertelnie się mnie bali i po prostu nie wiedzieli, jak się ze mną obchodzić. Wiedzieli, że mogę zgasić ich egzystencję, gdybym tylko chciał. Ulokowali mnie więc tutaj, przy źródłach, żebym ich strzegł. Tym sposobem uwolnili się od mojej niebezpiecznej obecności.

Głośno wciągnął powietrze, co zabrzmiało jak szloch.

- Nieprzerwanie was szukałem, bohaterowie starego Taran-gai. Jedynie wy utrzymujecie mnie przy życiu. No i nareszcie odnaleźliśmy się, moi najdrożsi! Zrobię wszystko, o co poprosicie!

- To brzmi wspaniale! - ucieszył się Mar. - Bo akurat teraz potrzebujemy twojej pomocy jak nigdy przedtem. Ale najpierw pozwól sobie przedstawić: Marco z Ludzi Lodu, księżę Czarnych Sal.

Shama skłonił się z wielkim szacunkiem. Marco odpowiedział tym samym. Byli sobie równi.

- Nie wiedziałem, kim jesteście, wasza wysokość - rzekł Shama. - Wyczuwałem tylko, że nie zdołałbym pokonać waszej wysokości, sprowadzić na was śmierci, a to bardzo rzadki przypadek.

- Rozumiem - uśmiechnął się Marco łagodnie. - Proszę jednak zwracać się do mnie per ty, jesteśmy przecież przyjaciółmi.

- To dla mnie wielki zaszczyt - skłonił się znowu Shama.

- To zaś jest Oko Nocy - mówił dalej Mar. - Młody, dzielny Indianin, który ma do wykonania takie samo zadanie jak niegdyś Shira.

Shama roześmiał się tak szczerze, że echo rozległo się pośród skał.

- Znowu szukacie źródła jasnej wody? Tak, tak, słyszałem, że wdarli się tutaj jacyś szaleńcy i że mam zrobić z nimi porządek. Jak widzę, nie dajecie za wygraną. - Jego przypominające śmierć oblicze znowu spoważniało. - W takim razie musisz być naprawdę odważny, mój młody przyjacielu, Oko Nocy. Odważny, głupi lub nieświadomy.

- Wolałbym, żeby to pierwsze określenie było prawdziwe - rzekł Oko Nocy z powściągliwym uśmiechem. - Bo do tego byłem przygotowywany od bardzo dawna, choć nie tak długo jak Shira. Opowiedziano mi zresztą, że moja droga nie będzie dokładnie taka sama jak jej, nikt jednak mi nie mówił, co tak naprawdę na niej spotkam.

- Słusznie, bo wędrownica Shiry miała miejsce w świecie ludzi. Tutaj nie ma takich prób duchowych, jakim ona była poddawana. Nikt po prostu nie przypuszczał, że jakiś przedstawiciel ludzkiego rodu zechce się wybrać aż tutaj, a tym bardziej że dotrze do źródeł. Twoja próba, mój młody, szaleńczo odważny przyjacielu, polegać będzie jedynie na tym, żebyś tam doszedł, niczego więcej się od ciebie nie oczekuje.

- To mi się wydaje zbyt proste.

- Ha! - uśmiechnął się Shama. - Jeśli tak uważasz...

- Nie, oczywiście, że się nie uskarżam. Jestem przygotowany na wszystko. Jak już mówiłem, byłem do tego przyzwyczajony od dawna, więc podjęcie działań będzie dla mnie ulgą. Powiedz mi jednak, ty mądry, ty, który tyle wiesz, czy wielu chodziło tą drogą?

- Nikt.

- Nikt nigdy?

- Nigdy. Nikt nawet nie wiedział o istnieniu źródła jasnej wody.

- Z wyjątkiem, kilku Waregów - rzekł Mar. - To Miranda, która jest żoną jednego z nich, natknęła się na tę tajemniczą legendę.

Shama wyciągnął swoje długie, kościste ręce.

- Nie, Oko Nocy, twoja droga nie będzie taka sama jak droga Shiry, to pewne. Ale, oczywiście, nie mogę ujawnić nic z tego, co cię czeka. Powiem ci tylko jedno. Otóż czy pamiętasz, że w jednej próbie Shira spotkała mnie?

- Znam całą jej via dolorosa na pamięć. Byliście, panie, wobec niej bardzo surowi.

Dostojne bóstwo uniosło swoje nieistniejące brwi.

- Tak uważasz? W takim razie powiem ci, że mogłem przerwać jej życie z taką łatwością, z jaką rozdeptuje się mrówkę. Nie uczyniłem tego jednak, bo polubiłem tę dziewczynę. Tak jest, radziła sobie znakomicie, trudno zaprzeczyć. Była przeciwnikiem godnym takiego bóstwa jak ja. Przyjęła możliwość szlachetnej i sprawiedliwej walki i wygrała. Ale do rzeczy. Dlaczego jeszcze raz szukacie dostępu do źródła?

Marco zabrał głos i wyjaśnił, o co chodzi:

- Musimy zdobyć ostatni składnik napoju, który będzie w stanie uratować Ziemię.

Zamyślane oczy Shamy badawczo przyglądały się księciu Czarnych Sal.

- No a Góry Czarne? Co zamierzacie zrobić z nimi?

- Z pomocą jasnej wody pewnie uda nam się zniszczyć złe moce.

- Źródło zła również?

- Jeśli zdołamy.

Shama siedział w milczeniu. Długo. Potem powiedział:

- Nie potrafię zrozumieć, jak chcecie tego dokonać. Przecież nikt, kto ma w sercu choćby odrobinę dobra, nie może się nawet zbliżyć do czarnego źródła. Ale, kochani, daję wam swoje najszczerze błogosławieństwo, pod warunkiem jednak, że powiecie mi, co ja miałbym ze sobą począć w razie waszego ewentualnego sukcesu. Jak powiedziałem, ja też należę do tutejszych złych mocy.

- Ależ Śmierć nie jest przecież złem - zaprotestował Oko Nocy.

- Zapominasz o czymś - wtrąciła Shira. - Shama nie reprezentuje zwyczajnej Śmierci. On jest bóstwem przerwane go życia. Przedwczesnej śmierci. A to sprowadza zawsze wielki żal i cierpienie na tych, którzy zostają. Dlatego w naszym ziemskim życiu zaliczany był do bóstw niedobrych.

- No tak, powinienem był pomyśleć - zgodził się Oko Nocy.

- To posłuchajcie, co postanowiłem - rzekł Shama po chwili. - Ze względu na Shirę i Mara oraz ze względu na wasze dobre intencje nie będziesz musiał mnie spotkać w drodze do źródeł, chociaż w każdym innym przypadku byś mnie spotkał. Po prostu nie będę interweniował w twoją wędrówkę.

Na te słowa wszyscy wykrzyknęli radośnie i dziękowali Shamie.

- No, no - śmiał się bożek. - Ale nie dostałem jeszcze odpowiedzi na moje pytanie. Co się ze mną stanie potem? Jeśli się wam powie?

Shirę ogarnął zapach.

- Gdybyś zechciał, mógłbyś może zamieszkać w mieście duchów w Królestwie Światła. Tylko że tam będziesz miał, bardzo niewiele do roboty, bo w tym królestwie Śmierć nie jest codziennym gościem.

W oczach wielkiego bóstwa ponownie zabłyśły łzy.

- Och, gdybym tylko mógł się tam dostać, to nie skróciłbym życia nawet najmniejszego zuczka! I zostałbym z wami na zawsze, to cudowne!

Wszyscy uśmiechali się do Shamy z wielką życzliwością.

- Jeśli nam się uda, tak będzie - obiecał Marco.

- W takim razie będę wam pomagał we wszystkim, jak tylko potrafię. Powiedźcie zatem, czego sobie życzycie!

- Zyskaliśmy potężnego sojusznika - stwierdził Marco z powagą.

Shama uczynił gest dłonią i znowu znaleźli się w obrębie upływającego czasu.

Nie stracili nawet chwili. Nikt nie zdołałby zauważyć, że odbyli tę poufną rozmowę, gdyby w ogóle znajdował się tu ktoś taki.

Wrócili do surowej teraźniejszości. Ale rzeczywistość bywa snem, a sen rzeczywistością. Nie mieli pojęcia, co teraz jest prawdą.

Oko Nocy znowu poczuł chłód nadciągający z gór, nigdy go nie odczuwali w dolinie, gdzie czekał J2. Tutaj trudno go było nie zauważyć, przenikał Indianina do szpiku kości. Młodzieniec otulił się szczelniej płaszczem, Oko Nocy zawsze nosił indiański strój i bardzo był z tego dumny. Nikt nie mógł mu zarzucić, że nie przyznaje się do swego pochodzenia.

Shira wciąż dawała wyraz radości z ponownego spotkania ze starym przyjacielem i nie zwracała uwagi na przenikliwy wiatr wiejący nad równiną. Mar zachowywał się podobnie jak ona, zaskoczony i uradowany spotkaniem Shamy, wspominał młodość, czasy, kiedy po raz pierwszy zobaczył Shire.

Marco był najbardziej opanowany ze wszystkich. On dotychczas nie znał Shamy, ale oczywiście cieszył się, że bóstwo jest po ich stronie, razem potrafią wiele zyskać.

Wsluchiwał się w szum z pustkowi i miał wrażenie, że docierają do niego dalekie tony wieczności.

Shama dał do zrozumienia, że teraz Shira i Mar powinni zakończyć eskortowanie swego przyjaciela. Marco i Oko Nocy rozumieli, że Shama chce zostać z nimi sam, i chętnie na to przystali.

- Ale ja będę czuwał i w każdym momencie będę wiedział, gdzie się znajdujesz, Oko Nocy, mój przyjacielu - zapewnił Shama. - I jeśli tylko zdołam, wkroczę w ten lub inny sposób, gdyby działo się coś niedobrego. Wiem, że nikt nie niesie przed tobą pochodni, nie masz tego, kim dla mojej Shiry był Mar. Spróbuję jednak ja spełnić jego funkcję, chociaż w prostszy sposób. Wypatruj światła, mój młody wybrańcze, w potrzebie Shama wskaże ci drogę.

- Mogę ci za to tylko podziękować, szczerze i gorąco.

- Żadnych sztuczek jednak nie mogę się podjąć, to nie w moim stylu.

- Ja bym się na to w żadnym razie nie zgodził - odparł pośpiesznie Oko Nocy. - Uczciwość jest moją cnotą i moją bronią.

Owszem, Berengaria wie coś na ten temat, pomyślał Marco. Jej podejmowane wielokrotnie próby, mające na celu skłonienie Oka Nocy, by sprzeniewierzył się swemu poczuciu obowiązku, zawsze natrafiały na irytujący, masywny mur indiańskiej uczciwości.

Oko Nocy był ciekaw, ile czasu minie, zanim znowu znajdzie się razem z przyjaciółmi.

- Nie więcej niż cztery doby - odparł Shama. - Zresztą wy nie musicie czekać na próżno. Gdybyś zginął, Oko Nocy, ja natychmiast będę o tym wiedział i wtedy oni mogą wracać.

Zabrzmiało to dość nieprzyjemnie, ale wszyscy uświadomili sobie jeszcze wyraźniej, jak to dobrze mieć Shamę po swojej stronie.

- A ja? - zapytał Marco. - Jak długo ja mogę mu towarzyszyć?

- Zatrzymasz się przy wejściu, tak jak to uczynili przyjaciele Shiry. I tam powinieneś czekać, aż Oko Nocy wypełni swoje zadanie. On potrzebuje tego poczucia bezpieczeństwa, jakie da mu przekonanie, że jesteś w pobliżu.

- Będę czekał - zapewnił Marco spokojnie.

Po czym on i Oko Nocy pożegnali przyjaciół.

Szli pod górę ku szczytom wzniesień, zastanawiając się, co też jest po drugiej stronie.

Może jeszcze jeden szczyt, na który także trzeba się będzie wspiąć?

Nie mówili nic, obaj wiedzieli, że ta najważniejsza chwila nadeszła, chwila, na którą Oko Nocy tak długo czekał. Był teraz napięty i bardzo skupiony, rozglądał się uważnie na wszystkie strony. Ale ten dziwny świat trwał pogrążony w ciszy, widocznie nikt nie przypuszczał, że śmiałowie zdołają przejść obok Niezwycięzonego.

Szczyt został zdobyty. Poruszeni spoglądali na dół w podobną do krateru dolinę, znajdującą się bardzo blisko nich. Ponad doliną unosiły się wielkie białe obłoki, które przesłaniały wszelki widok. Widzieli jednak, że rury schodzą w dół i zrozumieli, że tam właśnie ukryte jest zejście do źródła wody zła. Nie wątpili ani przez chwilę, że tak jest, wiele rzeczy świadczyło o tym aż nadto. Jak na przykład ów obrzydliwy smród. Oraz ciemność widoczna na dnie doliny pod białymi obłokami krążącej z wolna mgły. Odnosiło się wrażenie, jakby tam na dole w ogromnym kotle gotowało się coś bardzo złego; raz po raz dostrzegali w centrum doliny migające płomienie błyskawic.

- Prawda, że to wygląda jak Gehenna chrześcijan? - zapytał Oko Nocy.

- Niegłupi pomysł - odparł Marco. - Chodźmy jednak. Ta droga nie jest przeznaczona dla nas. My powinniśmy znaleźć inne wejście.

- Z tego, co mówiła Shira, wynika, że znajdują się one niedaleko od siebie. Jeśli więc zejdziemy tamtędy w dół, to może znajdziemy...

- Nie wolno nam uczynić błędnego kroku - ostrzegł Marco. - Znalezienie się za blisko złego źródła mogłoby być brzemienne w skutki, również dla nas.

- Patrz... gdzie?

Rozglądali się uważnie, nie dostrzegali jednak niczego. Nic, na czym można by zaczepić wzrok, po prostu nic jak okiem sięgnąć, bo cuchnące opary ograniczały widzialność do minimum.

Nagle coś jakby mignęło na ziemi i obaj pochylili głowy. Jakby ledwie widoczna, leciutko lśniąca, niewyraźna dróżka.

- Pomoc Shamy - stwierdził Marco sucho.

- Czy to nie jest nadużycie?

- Nie. Chodzi przecież o to, byś wyszedł obronną ręką z kilku poważnych prób, a nie stał niczym osioł między kępami trawy na nic nie znaczącym wzgórzu.

Oko Nocy roześmiał się i ruszyli wskazanym tropem.

Skręcili w prawo, ale nie doszli daleko, bo nagle skała urywała się, a tuż pod ich stopami widać było okropną rozpadlinę. Podobnie jak dolina przypominała stary krater, tym razem widzieli wszystko znacznie wyraźniej. Tutaj nie było żadnych przesuwających się,

zasłaniających widok diabelskich cieni, nie było też zgniłego odoru niewiadomego pochodzenia. A w dole majaczyło coś jakby wejście, rodzaj bardzo wąskiego pasażu czy może grotu, ale widzieli to jedynie w słabych zarysach.

- To musi być tam - powiedział Marco. - Zejdę z tobą na dół i tam będę czekał.

Na dół? Oko Nocy spoglądał niepewnie na poszarpany skalny uskok, ale Marco już zaczął schodzić, więc i on nie chciał być gorszy.

Schodzenie okazało się łatwiejsze, niż na początku wyglądało. Musieli tylko bardzo uważać, żeby nie spuszczać w dół pojedynczych kamieni. Oko Nocy z niechęcią myślał, że potem znowu będzie musiał wspinać się w górę.

W końcu dotarli do celu. Teraz wejście ukazało im się bardzo wyraźnie jako naturalne sklepienie ponad rzeką.

- Woda? Tutaj? - zdziwił się Oko Nocy. - Ale to chyba nie jest jasna woda dobra?

- Myślę, że aż tak łatwo ci nie pójdzie. Sądzisz, że uda nam się przejść brzegiem?

- Nie, musimy brodzić w rzece.

Od lodowatej wody natychmiast zdrętwiały im nogi aż po łądzwie. Strumień pełen był zdradliwych wirów, jakby woda chciała ich porwać ze sobą. Kamienie na dnie były gładkie i śliskie, podeszwy butów raz po raz po nich zjeżdżały.

- Od tego straszego zimna prawie nie mogę oddychać - wysapał Oko Nocy.

- Wszystkie mięśnie tężeją. Oj, tutaj sklepienie jest bardzo niskie!

Głos Marca stał się dziwnie dudniący, kiedy książkę przechodził pochylony pod ogromnym blokiem kamiennym, wspierającym się na innym, równie wielkim, i tworzącym rodzaj grotu.

Och, nie, chyba nie dam rady, myślał Oko Nocy przestraszony. Z zimna nie jestem w stanie się poruszać.

Lodowaty chłód kąsał w nogi, paraliżował ciało. Ale skoro Marco jakoś sobie radzi, to i on powinien. Szli pod prąd, co wcale nie ułatwiało sytuacji.

Indianin naprawdę tracił oddech. Wszystko w nim protestowało, już prawie nie potrafił nad sobą panować.

Mimo to parł do przodu, całą uwagę skupiał na postaci Marca majaczącej w grocie pod kamiennymi blokami. O ile na zewnątrz panował mrok, to tutaj było po prostu ciemno. Oko Nocy mógł się jedynie domyślać, że czarne włosy Marca są dokładnie tak samo mokre jak jego i że raz po raz zalewają je lodowato zimne fale. Czuł się tak, jakby go zakuto w pancerz z potwornie zimnej stali.

Nagle jednak znaleźli się poza kamiennym sklepieniem i mogli się wyprostować. Byli

po drugiej stronie, a woda w strumieniu stawała się coraz płytsza. Dzwoniąc zębami, mogli znowu wydostać się na ląd.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytał Oko Nocy, a jego głos odbijał się dziwnym echem od mrocznych skał.

- Wygląda na to, że w jakiejś ukrytej dolinie. Niczego więcej nie można powiedzieć. Spójrz, najwyraźniej tam będziemy musieli wejść.

Przed nimi otwierało się, można powiedzieć, przyjaźnie, wejście do jakiejś kolejnej groty. Mieli wrażenie, że tam będzie im ciepło i sucho. Ale, niestety, pomylili się, stwierdzili to natychmiast, gdy znaleźli się poblizu tej doskonale okrągłej, jakby wytyczonej za pomocą cyrkla niszy.

- To musi chyba odpowiadać pomieszczeniu, w którym czekali przyjaciele Shiry - stwierdził Oko Nocy.

- Tak, masz absolutną rację. Chodzi więc pewnie o to, bym i ja tutaj zostałem.

Och, nie! Chodź ze mną jeszcze kawałek, prosił Oko Nocy w duchu. Głośno jednak powiedział:

- Musi więc chyba być jakieś przejście dalej?

Marco uważnie przesuwiał wzrok po kamiennych ścianach porośniętych skąpym mchem, po podłodze pokrytej leżącymi luźno kamieniami i po suficie wysoko nad głowami.

- Tak, jest, tylko gdzie?

- Mar, który niósł przed Shirą pochodnię, stał na podium, i kiedy pochodnia oświetliła dziewczynę, jej cień padł na ścianę. Tam dostrzegli kontury jakiegoś otworu w skale i tamtędy Shira przeszła. Tylko że nie widzę nigdzie żadnego podium, w ogóle niczego tu nie widzę!

- Nie przypuszczam, że powinniśmy tak kurczowo trzymać się doświadczeń Shiry, drogi przyjacielu. Tego nie można porównywać z twoim zadaniem. W jaki sposób zdołałbyś otworzyć górską ścianę?

O co mu chodzi, myślał Oko Nocy zdesperowany. Jak to otworzyć górską ścianę?

- To chyba nie jest ta grota - powiedział głośno. - Wychodzimy!

- Nie, nie, to tutaj. W dolinie nie ma żadnej innej groty.

Po chwili zastanowienia Oko Nocy rzekł:

- Jako Indianin chciałbym... nie, to niemożliwe!

- Sądzisz, że zostałeś wybranym przez przypadek? Że przypadkiem urodziłeś się ze znakiem Słońca na czole? - zapytał Marco spokojnie. - Właśnie ty, Indianin, jesteś właściwym człowiekiem!

- No, dobrze - westchnął Oko Nocy. W jego westchnieniu wyczuwało się ulgę. - Jako Indianin chciałbym wezwać na pomoc mego boga, Wakan Tanka, duchy moich przodków oraz moje zwierzę, czyli niedźwiedzia. Mogę ich wezwać za pomocą tego małego szamańskiego bębenka, który zabrałem ze sobą w drogę. Tylko że bębenek jest pewnie teraz kompletnie przemoczony.

- Spróbuj!

Usiedli pod ścianą, tuż przy wejściu. Marco odłożył cztery małe puste plastikowe woreczki, które zabrali ze sobą pełni nadziei. Bo to właśnie w woreczkach mieli przenieść jasną wodę. Potrzebowali jej bardzo dużo, a te woreczki potrafią się powiększać do pożądanego rozmiaru. We czwórkę byli w stanie dźwigać pełne worki nawet bardzo daleko, pytanie tylko, jak przeniesie je sam Oko Nocy, zanim ponownie spotka przyjaciół.

No, ale tym będzie się martwić później. Tym bardziej że w tej chwili droga do źródła zdawała się nieodwracalnie zamknięta.

Bębenek Oka Nocy okazał się rzeczywiście bardzo mały, przypominał raczej zabawkę niż szamański instrument, wyglądał dość prymitywnie, ale Marco uważał, że w takich przypadkach decyduje szczerota modlitwy.

Oko Nocy skoncentrował się i zaczął cichutko nucić w takt monotonnego rytmu wybijanego na bębnie. Trwało to nie dłużej niż minutę, a Marco zawołał z podziwem:

- Zaprawdę, mój przyjacielu, jesteś bardzo utalentowanym szamanem!

Oko Nocy oczywiście żadnym szamanem nie zamierzał zostać, był po prostu kandydatem na wodza, ale słowa Marca zaciekały go do tego stopnia, że uniósł głowę.

W litej skale otworzył się niski portal.

- Czy to ja sprawiłem? - wykrztusił.

- Jesteś wybranym, mój chłopcze. A, jak powiedziałem, wybrano cię z pewnością dlatego, że urodziłeś się Indianinem. My, biali, żyjemy dla was wielki szacunek. Zawsze żyliście w ścisłej więzi ze światem duchów i z naturą. Nie przypuszczam jednak, by każdy Indianin czy szaman dokonał takiej sztuki. Ty naprawdę jesteś wybranym!

Marco wstał i Oko Nocy natychmiast poszedł jego śladem.

- Proszę bardzo, bierz te cztery pojemniki i wszystko, czego potrzebujesz! Sznur elfów chyba masz?

- Dostałem nawet trzy. Wszyscy byli tacy uczynni, wielu dało mi bardzo pożyteczne i przydatne rzeczy.

- Znakomicie, w takim razie jestem spokojny. Pamiętaj jednak, że choć masz wiele różnych pomocy, to każdego przedmiotu możesz użyć tylko jeden jedyny raz. Shama bardzo

wyraźnie to podkreślał. Tak więc bębenek możesz zostawić u mnie, unikniesz noszenia. Poza tym składaj wszystkie wykorzystane rzeczy w jedno miejsce, żeby ci się nie myliło.

- To bardzo rozsądna rada. No ale, jak mówię, mam trzy sznury elfów.

- Możesz używać tylko jednego na raz i pod warunkiem, że to absolutnie konieczne. Tylko nigdy więcej niż raz ten sam sznur.

- Jasne!

- Chętnie bym z tobą poszedł, ale to po prostu niemożliwe. Gdybym spróbował, to prawdopodobnie górskie ściany zamknęłyby się wokół mnie i uwięziły mnie w kamieniu na wieki. Ruszaj zatem, a ja będę tu na ciebie czekał.

Pospiesznie uściskał przyjaciela. Zrobił to naprawdę bardzo szybko, bo żaden z nich nie miał ochoty na niezbyt męskie okazywanie uczuć.

Mimo wszystko Oko Nocy odwrócił się jeszcze w bramie i długo patrzył w ślad za Markiem. Towarzystwo Marca we wszystkich budziło błogosławione poczucie bezpieczeństwa, on potrafił dać sobie radę w każdej sytuacji.

To on powinien pokonywać tę drogę, myślał Oko Nocy zgnębiony, wiedział jednak, że nigdy do czegoś takiego nie mogłoby dojść. Tę trudną wędrówkę musiał odbyć ktoś z krwi i kości, najnormalniejszy człowiek.

Shirę przygotowywano od chwili narodzin, poza tym ona miała wsparcie czterech żywiołów. A co ma on? Nie minęło wiele czasu, od kiedy dowiedział się o swoim powołaniu. Po tym najmądrzejsi z indiańskiego plemienia pracowali z nim niemal bez wytchnienia, ćwiczyli go pod względem fizycznym i psychicznym, on sam wciąż kierował pytania do Wakan Tanka oraz do swoich przodków i duchów plemiennych, w transie nawiązywał kontakt ze swoim zwierzęciem opiekuńczym, niedźwiedziem. Pobierał nauki u Shiry i Mara oraz u trzech wielkich duchowych przywódców Królestwa Światła; Móriego, Marca i Dolga.

To wszystko okazało się nieludzko wyczerpujące, dano mu bowiem naprawdę zbyt krótki czas.

No i oto nadeszła pora działania.

Oko Nocy przekroczył otwór w skale i znalazł się po drugiej stronie.

Oko Nocy gwałtownie przystanął.

Nie... to chyba nie może tak być.

Naprawdę może tak wyglądać... wewnątrz góry?

Chłopiec spodziewał się zobaczyć niezwykle rzeczy, a tymczasem tutaj nie było właściwie nic.

Zdumiewało go, jak tu jasno. Zresztą, jasno... Panowało tu to samo mroczne światło co wszędzie w Górach Czarnych. Stwierdził ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, że znowu znajduje się na świeżym powietrzu.

A brama za jego plecami na powrót zlała się w jedno ze skałą. Odwrót został uniemożliwiony.

Skądś dochodził jakiś głośny, potężny huk. W pierwszej chwili przyszła mu na myśl grotą z obracającymi się kamieniami młyńskimi, przez którą musiała przejść Shira, ale ta grotą to była jej trzecia próba, a nie pierwsza, poza tym Oko Nocy miał nie porównywać swojej wyprawy z wędrowką Shiry przez grotę. Jego jedynym zadaniem było odnalezienie źródła. Fizyczne zadanie, jak to określił Shama. Nie można więc było mówić o próbach, raczej o przeszkodach. Czekало go tyle samo przeszkód, ile Shira przeszła prób, tak powiedział Shama.

W takim razie Oko Nocy stanął wobec drugiej przeszkody.

Chociaż nie poddawano próbie jego sił duchowych, musiał i tak posługiwać się rozsądkiem i myśleć logicznie, o tym też uprzedził go władca życia i śmierci.

Oko Nocy postąpił parę kroków naprzód i stanął przerażony. Znajdował się teraz na bardzo małej skalnej półce, dosłownie przylepionej do górskiej ściany, a ów huk, który słyszał już wcześniej, dochodził z otchłani, której krawędzi dotykał stopami.

Cóż to jest...? Przecież się stąd nie ruszę!

Miał do dyspozycji nie więcej niż cztery metry kwadratowe, wodospad rozbijał się o skały jakieś sto metrów pod nim. Przeciwny brzeg rzeki był co najmniej tak samo wysoki i tak samo stromy.

Czy chodzi o to, żeby rzucił się w dół i zniknął w spienionym nurcie?

Niemożliwe, wszystko jest tam najeżone ostrymi kamieniami, sterczą tak gęsto, że nie ma między nimi dosłownie żadnej większej płaszczyzny wody.

Czyżby wędrowka miała skończyć się już teraz?

I wtedy zobaczył, że na wysokim brzegu po drugiej stronie pojawiło się jasne światelko.

Shama. A zatem Oko Nocy musi dostać się właśnie tam.

Tylko jak ktokolwiek mógłby...?

Nie, nikt nie potrafi pokonać takiej przeszkody. Nawet ktoś wyposażony w sznur elfów.

Oko Nocy posługiwał się tym cudownym przedmiotem zaledwie raz czy dwa, wtedy wyzwanie było co najmniej kilka razy łatwiejsze niż to tutaj.

Bezradny patrzył na niepozorny kawałek sznurka, który wyjął z kieszeni. Wiedział jednak, że akurat teraz bezradność jest śmiertelnie groźna. Nie wahając się więc, wziął zamach, by przerzucić trzymaną w ręce linkę na drugi brzeg.

Okazało się, że wszystko działa! Linka przeleciała ponad przepaścią i precyzyjnie trafiła nad wysoki, spiczasty kamień po tamtej stronie, zawinęła się wokół niego i wróciła prosto do rąk Oka Nocy. Tym sposobem mógł się posługiwać dwiema linkami, a to już pomoc nie do pogardzenia. Bardzo starannie owiązał linkami wysoki kamień po swojej stronie rzeki, wszystkie woreczki i cały swój bagaż przytroczył do pasa. Potem uchwycił mocno liny i zaczął się na rękach przesuwając ponad przepaścią. Głębia sprawiała, że doznawał zawrotów głowy.

Tylko nie spoglądać w dół! Gdyby miał skłonności do omdleń, cała wyprawa mogłaby się skończyć bardzo źle. Powiadają, że głębia wsysa, mogło się to teraz sprawdzić.

A może powinien posuwać się sposobem niedźwiedzia? Mógłby się posuwać szybciej i chyba lepiej rozkładać ciężar ciała.

Oko Nocy podjął próbę. Przez chwilę wisiał, trzymając się lin rękami i opierając nogami, ale zaraz zrezygnował, powrócił do poprzedniej pozycji.

Ramiona miał bardzo silne i posługując się nimi, posuwał się jednak dużo szybciej do przodu.

Gdyby tylko głębia nie wciągała go tak strasznie!

Huk wodospadu rozpraszał Oko Nocy, nie pozwalał się skoncentrować.

Nie spoglądaj w dół, bo będzie po tobie!

Już dawno temu nauczył się pewnej mądrości: Jeśli jakaś droga wydaje ci się bardzo trudna, to spoglądaj raczej za siebie. To bardziej dodaje otuchy niż wpatrywanie się przed siebie, bo świadomość, że tyle jeszcze przed tobą, przygnębia.

Przypomniał sobie o tym i obejrzał się. Popatrzył na wąską skalną półkę, na której dopiero co stał.

Nie powinien był jednak tego robić. Linka elfów przesunęła się ku górze kamienia i wyglądało na to, że zaraz się z niego zsunie. Modlił się więc do Wakan Tanka i do Świętego Słońca, by linka została na miejscu, żeby wytrzymała.

Dla Indianina oddawanie czci Słońcu nie było żadnym problemem. Słońce jest przecież częścią natury, co więcej - najważniejszą ze wszystkich. Całe jego plemię w Królestwie Światła uznawało Święte Słońce za obiekt kultu.

Fakt, że zajął myśli czym innym, okazał się zbawienny. Nagle chłopiec stwierdził, że jest już na miejscu, o mało tego nie przegapił i nie zderzył się ze ścianą.

Shama wrócił do czekającego w grocie Marca. Usiadł obok księcia, którego cenił niezwykle wysoko.

- Twój przyjaciel Indianin radzi sobie znakomicie. Pierwszą przeszkodę, jak sam widziałeś, pokonał śpiewająco, z drugą też da sobie radę. Ale też pomoce ma, niech mnie licho!

Opowiadał zdumiony o tym, jak Oko Nocy przeskoczył huczący w otchłani wodospad, a Marco wyjaśnił mu, dlaczego wszystko poszło tak dobrze:

- Mój najlepszy przyjaciel, Dolg Lanjelin, syn czarnoksiężnika, jedna z najniezwykleszych osobowości, jakie kiedykolwiek przebywały w Królestwie Światła, spędził dwieście pięćdziesiąt lat u elfów. Później w podzięcie oraz na znak szacunku otrzymał od nich tak zwaną linę lub sznur elfów. I właśnie jej kawałek ma ze sobą Oko Nocy.

- Dwieście pięćdziesiąt lat u elfów - powtórzył Shama zdumiony. - Domyślam się, że nawet ja nie byłbym w stanie przerwać jego życia?

- Nie, nie masz takiej władzy. I powinieneś być za to wdzięczny.

- Jestem. Tylko Shira wie, jaką samotność oznacza moje posłannictwo.

- Myślę, że my także rozumiemy.

Shama wstał. Podnosił się niczym młody człowiek, bez wysiłku, bez trzeszczenia w stawach. Już samo to było wielkim osiągnięciem.

- On znowu mnie potrzebuje. Zobaczymy się niedługo, przyjacielu!

Indianin bezpiecznie wylądował na drugim brzegu. Zsunął z kamienia linę elfów, która natychmiast znowu się skurczyła do poprzednich rozmiarów. Z łatwością schował ją do worka z już używanymi pomocami. Zresztą znalazła się tam jako pierwsza, bo przecież bębenek został u Marca.

Miło było wiedzieć, że księżę Czarnych Sal czuwa w pobliżu, w przeciwnym razie

Oko Nocy czułby się bardzo samotny.

Shira i Mar także czekali, tyle tylko że nieco dalej. Za to z Shamą jako sojusznikiem. A jeszcze dalej byli wszyscy oczekujący na pokładzie J2. Naprawdę nie był tutaj sam!

Ale radzić musiał sobie na własną rękę.

Chociaż może niezupełnie. Przecież dopiero co Shama pomógł, zapalając światełko, mgnienie cudzej obecności dla pocieszenia samotnej duszy.

Oko Nocy zdawał sobie z tego sprawę, ale jednak tylko on stał na wysokim brzegu i zastanawiał się, jak pójdzie dalej.

Oj, serce zabiło mu mocniej w piersiach. Przecież nie chciał, żeby mu cokolwiek zostało oszczędzone.

Z tego miejsca, w którym się znajdował, wiodła tylko jedna dróżka, a i ona ginęła w białej niczym mleko i tak gęstej mgle, że nic nie było widać. Sama droga będzie z pewnością trudna do przebycia.

Zresztą określenie „droga” to już przesada, gdy mowa o bardzo wąskiej górskiej grani. Po jednej stronie głębia z huczącym wodospadem, po drugiej wszystko kryje mgła, która unosi się też wysoko ponad szczytami i nie pozwala zobaczyć, co się znajduje przed wędrowcem. Oko Nocy wziął jakiś kamień i cisnął go w morze mgły po swojej prawej stronie. Usłyszał uderzenia w skałę poniżej, raz po raz, długo, echo zwielokrotniało odgłosy, ale poniżej wodospadu też jeszcze musiała być przepaść.

Najgorszy jednak był ten grzbiet, przez który trzeba się przedostać, szeroki zaledwie na stopę i tak zwietrzały, że mógł się rozsypać przy pierwszym kroku.

Oko Nocy kilkakrotnie głęboko odetchnął. Tak; to by się zgadzało, mówiono przecież, że wędrownica Shiry zwrócona była do wnętrza, była zatem wędrowaniem w jej własnej duszy. Jego zaś ma się kierować na zewnątrz, nie powinien więc tyle myśleć, czy prowadził właściwe życie czy nie, tak jak to musiała czynić jego poprzedniczka. Jej wędrownica była, rzecz jasna, tysiąc razy trudniejsza! Tym razem chodzi jedynie o odwagę, siłę, inteligencję i zdolność do logicznego myślenia. Dlatego starszyzna plemienna zmuszała go do trenowania tych wszystkich dyscyplin i umiejętności, które Indianinowi były niezbędnie potrzebne, zanim przybyli biali i splądrowali ich kraj, wprowadzili wiele nowych rzeczy służących urbanizacji, w żaden natomiast sposób nie służących więzi z naturą i poszanowaniu starszych.

Oko Nocy był wychowywany na dobrego Indianina w najbardziej tradycyjnym rozumieniu tego słowa, tak chciało jego plemię i wszyscy mieszkańcy Królestwa Światła. Krewni Oka Nocy byli za to władcom Królestwa wdzięczni.

Ale oto stał całkiem bezradny.

Chyba żeby...?

Uśmiechnął się pod nosem. Niebywale uzdolnieni Madragowie Tich i Chor dali mu „klajster”, czyli, mówiąc poprawnie, klej. Coś, co skleja najbardziej kruche i porozbijane przedmioty.

Może powinien go teraz użyć?

Będzie to z pewnością bardzo mozolna praca. Musiał wymacywać, gdzie grunt jest najmocniejszy. Nim zrobił krok po tym pogruchotanym podłożu, sklejał je starannie. Na szczęście klej okazał się wyjątkowy, wystarczyła jedna kropelka, żeby skleić dwa wielkie kamienie. Zdarzało się jednak, że kamienie usuwały mu się spod rąk i spadały niżej, gdzie nie mógł ich dosięgnąć, i wtedy siedział przerażony, dopóki nie upewnił się, że nie wszystko runęło. Próbował po prostu odgarnąć warstwę rumowiska i iść po mniej zniszczonym podłożu, ale okazało się to niewykonalne. Ostra grań wyglądała na zwietrzałą aż do dna, takie w każdym razie odnosił wrażenie.

Wobec tego nadal budował ten jakiś dziwaczny most w nadziei, że Madragowie wiedzieli, co robią, wyposażając go w klej.

Na wszelki wypadek siedział na grani okrakiem, nie polegał na własnym poczuciu równowagi do tego stopnia, żeby stać, a już w żadnym razie nie odważyłby się wyprostować.

Coraz więcej kamieni staczało się w dół. Kiedy się w pewnym momencie odwrócił i obejrzał za siebie, zobaczył, że to co skleił naprawdę tworzy rodzaj mostu. Wszystko, co znajdowało się poniżej, zniknęło. Oko Nocy był tak spięty, że pot lał mu się z czoła strumieniami. Starał się nie tracić nadziei, że kleju w pudełku wystarczy do końca grani. Oszczędzał go jak tylko mógł, ale grań wyglądała na bardzo długą.

Nagle wszystko przed Okiem Nocy się zakołysało. Kurczowo uchwycił się skały, o mało nie wypuścił z rąk pudełka z klejem, to by przecież była potworna katastrofa! Wkrótce jednak wszystko wróciło do normy. Oko Nocy odetchnął parę razy z drżeniem i z wolna zaczął dokładać nowe kamienie do swego mostu.

Daleko przed sobą dostrzegł ziejącą przepaść, widział wyraźnie, że nie starczy mu kamieni, by zbudować nad nią pomost. Co robić?

Kontynuował jednak męczącą pracę i starał się już więcej przed siebie nie patrzeć. Kiedy nareszcie dotarł do przepaści, rozejrzał się dokoła.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu odkrył, że z mlecznobiałej mgły wyłonił się teraz przeciwległy brzeg.

Las? Czy w tym świecie może istnieć żywy las?

Najwyraźniej istnieje tu wszystko. Świat po drugiej stronie wrót został stworzony

wyłącznie dla tego, kto szuka ukrytego źródła. Na śmiałka czekają tylko strasznie trudne próby czy raczej przeszkody. Nie chodziło przecież o to, by ktoś miał je pokonać. Źródło jasnej wody zostało nieodwołalnie zamknięte. Tam, w zewnętrznym świecie, ludziom stawiano warunki: tylko osoba o czystym sercu mogła dotrzeć do celu. Tutaj miało to być po prostu w ogóle niemożliwe.

No i teraz on, Oko Nocy, zwyczajny człowiek, waży się na taki czyn.

Jedno go tylko uspokajało, a mianowicie, że te wszystkie pomocnicze środki, w które go wyposażono, nie zostaną uznane za oszustwo czy łamanie reguł. Ta świadomość sprawiała mu ulgę, Oko Nocy bowiem chciał grać honorowo.

Jakkolwiek było, siedział na skale, a między nim i lasem ziała przepaść. Nagle jednak uwagę Oka Nocy przyciągnęła jasna gwiazdka, świecąca w lesie. To Shama!

A poza tym las oznacza drzewa, w takim razie Oko Nocy będzie miał o co zaczepić kolejną linkę elfów. Westchnął zmartwiony, bo po pokonaniu tej przeszkody zostanie mu już tylko jedna linka. A przecież nie wiadomo, co go jeszcze czeka.

Pudełko z klejem powędrowało do worka, gdzie znajdowała się już pierwsza linka. Teraz Oko Nocy zaczął wypatrywać w lesie po drugiej stronie jakiegoś mocnego drzewa. Niestety, w miejscu, w którym siedział, nie znajdował żadnego punktu zaczepienia dla linki, musiał się więc zabawić w Tarzana i trzymając linę w rękach, przeskoczyć na porośnięty lasem płaskowyż. Ten Tarzan nie wydaje dzikich okrzyków, uśmiechnął się sam do siebie.

Skacząc, przygotowany był na bolesne zderzenie się z czymś twardym, ale nie! Cudowna linka wydłużyła się dokładnie na tyle, ile było trzeba, doskonale zdawała się wiedzieć, czego Oko Nocy chce, wylądował więc miękko na mchu w pobliżu drzewa.

Podziękował z całego serca i odłożył linkę do worka. Liczba zużytych pomocy wyraźnie się powiększała.

Wciąż jednak miał spory zapas nie używanych.

- Jaki to mądry chłopak - powiedział Shama do Marca. - Pokonuje wszelkie trudności.
- Znakomicie - uśmiechnął się Marco.
- Ale, jak już mówiłem, ma tyle wspaniałych pomocy!
- Owszem. Obawiam się, że w przeciwnym razie nie poszłoby mu tak dobrze.
- W przeciwnym razie nie przeszedłby przez górę - stwierdził Shama stanowczo. - Nikt nie jest przygotowany, żeby pokonać taką drogę. Ale on jest wybrany, prawda? Tak mówiliście?

- Tak jest. I trzeba przyznać, że to dobry wybór.

Marco milczał przez chwilę. Myślał o fatalnie wychowanym smarkaczu z Nowej Atlantydy, którego zadowoleni z siebie władcy tego kraju chcieli im wmówić jako wybranego. Ten chłopak tutaj to by dopiero była katastrofa, nie przeżyłby nawet pięciu sekund. Jeśliby w ogóle dotarł aż tu, co jest więcej niż wątpliwe.

Mieszkańcy Królestwa Światła znaleźli jednak właściwego chłopca.

- Oko Nocy jest taki spokojny - rzekł po chwili. - Taki mądry i rozsądny, nie brak mu też wiary w siebie.

- To bardzo dobrze. Bo niedługo zostanie postawiony przed bardzo skomplikowaną decyzją. Jeśli wybór będzie zły...

Shama zrobił wymowny gest, przeciągnął mianowicie ręką po gardle.

- Poświecę mu teraz, a potem wrócę do moich przyjaciół, Mara i Shiry.

- Dobrze. A gdzie oni są?

- Ukryci pod wielkim nawisem skalnym, gdzie żadne przeklęte ptaszyska ich nie wypatrzą. Do zobaczenia!

Marco uniósł dłoń w geście serdecznego pozdrowienia.

Shama zniknął.

Marca ogarnęły czarne myśli.

Ach, ta straszna samotność! Samotność, która jest jego przekleństwem, ale równocześnie stanowi jego siłę. Ku niemu kierują się spojrzenia wszystkich. Od niego oczekuje się cudów. A czy ktoś się w ogóle domyśla, jaki on jest samotny? Czy ktoś rozumie, co to znaczy być nieśmiertelnym?

I nigdy nie móc się z nikim związać?

Z tego punktu widzenia było logiczne, że wszelka ziemską miłość jest dla niego czymś obcym. Jakże musiałby cierpieć, patrząc, jak umiera ukochana osoba, podczas gdy on będzie musiał samotnie żyć przez tysiące lat.

To dlatego schronił się w Królestwie Światła, gdzie wszyscy żyją o tyle dłużej niż na ziemi. Dzięki temu może cieszyć się obecnością przyjaciół.

Ale, oczywiście, i tutaj bywa mu ciężko. Kiedy na przykład obserwuje Indrę i Rama, ich niezwykłą miłość. Ech, żeby tak mieć kogoś, komu można by się zwierzyć ze wszystkiego. Od bardzo dawna za tym tęsknił.

Dolg jest wspanały. Tylko Dolg potrafi naprawdę zrozumieć Marca, ponieważ obaj mają takie same problemy. Obaj żyją jakby poza granicą społeczności Królestwa Światła.

Ale Dolg prowadzi własne życie. Ma liczną rodzinę, do której zawsze może się zwrócić. Marco nie ma nikogo takiego.

Samotność jest niekiedy zbyt ciężka do udźwignięcia!

Skulił się, bo ziąb po kąpieli w lodowatej wodzie wciąż tkwił tuż pod skórą, zresztą ubranie nadal było mokre. Zastanawiał się, co teraz odczuwa Oko Nocy. Czy marznie tak samo jak jego wyczekujący przyjaciel.

Nie, zimno nie było największym zmartwieniem Oka Nocy. Prawie go nie zauważał, jego zmysły i myśli bowiem pochłonięte były teraz ważniejszymi sprawami.

Dręczył go na przykład lęk, że droga się nieoczekiwanie skończy. Albo że on wpadnie do jakiejś niewidzialnej dziury. Albo że czegoś nie zauważy w porę.

Mnóstwo zagrożeń podsycalo jego lęk.

Oko Nocy rozglądał się po pograżonym w ciszy lesie. Mgła również tutaj zalegała gęsto, ale w mroku lśniły światełka bóstwa śmierci. Niewielkie i matowe, ale dla Oka Nocy bezcenne.

Wspaniale! Dzięki ci, Shamo, mój nowy przyjacielu!

Skradał się ostrożnie, by nie wpaść w mokradła lub jakąś inną zdradziecką pułapkę.

Pojawiły się natomiast jakieś dziwaczne dźwięki, takie przerażające, że Oko Nocy poszedł za głosem instynktu i chwycił nóż. Ów wielki nóż, który ojciec dał mu właśnie po to, by czuł się bezpieczny podczas wykonywania swego wielkiego zadania.

To chyba jakieś drapieżniki! Chrypliwe, mlaszczące dźwięki od czasu do czasu przechodziły w groźny ryk. W dodatku rozlegały się z różnych stron! Oko Nocy stanął pod drzewem i zastygł bez ruchu.

Nagle je zobaczył. Zbliżały się we mgle, węsząc i tropiąc...

O, fuj, a cóż to za bestie! Coś takiego nie istniało na ziemi, zresztą w Ciemności i w Górach Czarnych też nie. Wielkie, o ciężkich łbach, przypominały killer dogs, psy przeznaczone do walki i zabijania, ale to nie były psy. Może ogromne tygrysy syberyjskie? Także nie, choć z pewnością budziły taką samą groźbę.

Oko Nocy naliczył co najmniej cztery potwory. Jeden poszedł dość blisko, wciąż wietrzył, odwracając łeb to w tę, to w drugą stronę. Bez wątpienia był to samiec, pozostałe zachowywały się zupełnie inaczej. Teraz również i one podeszły do drzewa, pod którym stał Indianin. Nagle Oko Nocy doznał szoku. One są ślepe! Wszystkie miały szarobiałe, niewidzące oczy. A szukały właśnie jego.

Oko Nocy spojrział w górę, drzewo było gładkie, żadnych konarów, po których można by się wspinać. Czy nie mógł być wybrać innego?

Przywarł plecami do pnia i bezszelestnie zaczął się cofać. Zdawało się jednak, że bestie są wszędzie. Ich groźne głosy docierały ze wszystkich stron.

Jeden ryk różnił się wyraźnie od pozostałych. Było w nim coś żalosego, śmiertelnie

przeróżającego.

Światło! Światelko Shamy, nareszcie!

Tym razem Oko Nocy wykorzystywał własne umiejętności, a nie pomoce ofiarowane mu przez innych. Miał, rzecz jasna, nóż, chciał go jednak użyć tylko w największej potrzebie. Skradał się tak cicho, jak go nauczyli plemienni mędracy, ani razu nie nadepnął na żadną suchą gałązkę, nie wpadł do żadnej pułapki.

Mimo to mało brakowało, a wszystko poszłoby źle. Było oczywiste, że bestie go zwierzyły, bo nagle jeden drapieżnik rzucił się do ataku. Indianin odskoczył w ostatniej sekundzie, o mało nie utracił broni, przycisnął ją mocno do siebie i zmykał co sił. Zgubił po drodze kieszonkową latarkę, nie odważył się jednak zatrzymać, żeby ją podnieść.

Słyszał za sobą pełen rozczarowania ryk, takie same ryki rozlegały się z lewa i prawa. Przed nim chyba bestii nie było.

Za to znajdowało się tam światelko!

Ratunek, myślał, biegnąc prosto na nie.

Za wcześniej się jednak ucieszył.

Droga wiodła teraz przez śmiertelnie niebezpieczne bagniska, a była wążutka jak sznurek. Zanim jednak mógł na nią wkroczyć, musiał przejść obok dwóch ogromnych potworów, strzegących przejścia. Tkwiły każdy po swojej stronie, zwrócone do siebie pyskami, które niemal się stykały.

Wyglądało na to, że drapieżniki postępujące za nim dały za wygraną, teraz chodziło o przechytrzenie tych dwóch po bokach. Po drugiej stronie mostu wciąż przyjaźnie migotało światelko...

Oko Nocy myślał gorączkowo. Pod jego stopami rosły krzewinki bażyny. Bażyna jest bardzo odporna, wydziela silny, przyjemny zapach. Nie zastanawiając się wiele, Indianin rzucił z siebie ubranie. Zbierał jagody i rozcierał je sobie na skórze, zwłaszcza pod kolanami, pod pachami i w pachwinach. Potem z podchodzącym do gardła sercem zwrócił się w kierunku ścigających go drapieżników.

Poruszał się cicho, jak najciszej, żeby go nie usłyszały. Starał się odprężyć, żeby nie emanował z niego strach.

Prześadowcy stali teraz blisko siebie. Przemykał się między nimi, niosąc ubranie i wyposażenie w uniesionych wysoko rękach.

Czuł na plecach gorące oddechy, ssalo go w żołądku. Potwory węszyły i prychały. Widocznie zapach bażyny nie sprawiał im przyjemności.

Oko Nocy spoglądał w ich niewidome ślepie. Żadnej reakcji. Tylko niepewność.

Chyba nie miały pojęcia, co to za śmiałek wtargnął do tej krainy.

Udało się! Teraz trzeba tylko przejść przez mostek!

Och, nie, nie tylko! Znowu usłyszał za sobą te przerażające ryki i znowu z mgły wyłonił się las. Oko Nocy znajdował się pośrodku mostu, gdy dostrzegł zwieszającą się z gałęzi byle jak zamaskowaną sieć, a w niej jednego z tych ogromnych drapieżników, które widział przedtem.

Młody Indianin przystanął.

Widział zwrócony w swoją stronę łeb potwora z niewidzącymi oczyma. Chłopak powoli zszedł z mostu, a potem się zatrzymał.

Drapieżnik węszył, wyczuwał jego bliskość, bo raz po raz wydawał z siebie ryk wściekłości, a może ostrzeżenia.

Ten potwór, samiec, bez wątpienia by zaatakował, gdyby tylko mógł się wyplątać z sieci.

Kiedy jednak Oko Nocy zwrócił lekko głowę tak, że spojrział wprost na potwora, wydało mu się, że widzi swoje zwierzę opiekuńcze. Cofnął głowę do poprzedniej pozycji - potwór. Jeszcze raz spojrział wprost na bestię - niedźwiedź. Powtórzył ruch - drapieżnik.

Kolejny, ostrzegawczy ryk.

Oku Nocy dostał od Rama małe słońce. Zostało ulokowane w kieszonkowej latarce, cieniutkiej niczym ołówek.

Czy wolno mi teraz go użyć? zastanawiał się przestraszony chłopak. Może będę go później bardziej potrzebował? Może moje życie będzie od tego zależeć?

Nie, muszę spróbować, nie mogę na to patrzeć, nie jestem w stanie.

Skierował latarkę na oczy zwierza. Najpierw na jedno, potem na drugie i z powrotem...

Przez oczy drapieżnika przebiegł błysk, ożyły, poruszyły się i zdumione spoczęły na dziwnym człowieku.

Jeszcze jeden ostrzegawczy chrypliwy dźwięk.

Ale Oko Nocy dokonał już wyboru. Wyjął imponujących rozmiarów nóż z wieloma tajemniczymi rytami na rękojeści, który dostał od swego władczego ojca jako wyposażenie na trudną wędrowkę. Zamachnął się, rozciął sieć w kilku miejscach i uwolnił zwierzę. Stańło przed nim - widzące, ryczące, groźne,

Chłopak wciąż trzymał nóż w ręce, ale użyłby go przeciw żywej istocie jedynie w najwyższej potrzebie.

Jeszcze jeden ryk, choć teraz, w odmiennej tonacji. Człowiek i drapieżnik stali

naprzeciwko siebie, oko w oko, żaden nie chciał odwrócić wzroku, żaden się nie poruszył.

Na ryk odpowiedziało wiele głosów. Z głębi lasu wyszło z dziesięć przerażających bestii i noga za nogą wlokły się przez most. Otoczyły Indianina kołem. Trwały tak, wyczekujące, ciche, nie będąc w stanie dokładnie go zlokalizować.

Nóż został wsunięty do pochwy, a w rękach Indianina pojawiło się raz jeszcze słońce od Rama. Oko Nocy kierował je po kolei na stojące przed nim drapieżniki. Zabrało to, oczywiście, mnóstwo czasu, w końcu jednak wszystkie zwierzęta odzyskały wzrok. Wszystkie nie mogły się nachwalić obcego mężczyzny.

Ten uratowany z sieci polizał rękę Oka Nocy, pozostałe uczyniły to samo. Jęzory miały szorstkie, kiedy ruszał w dalszą drogę, dłoń miał oblepioną kleistą śliną. Zwierzęta stanowiły jego eskortę, pilnowały, żeby nie zabłądził, wspierały go na różne sposoby.

W końcu dotarli do górskiej ściany, gdzie płonęło światelko Shamy. Tam drapieżniki pożegnały swego wybawiciela. Po chwili zniknęły w lesie.

Oko Nocy odłożył małe słońce do worka z używanymi już pomocami, nóż jednak zachował. Nóż był jego własnością, a poza tym jeszcze go nie używał, ani do obrony, ani do ataku.

Shama dotrzymywał towarzystwa Shirze i Marowi.

- No, to po prostu niewiarygodne - powiedział zdumiony. - Ten wasz młody Indianin pokonał jedną z najtrudniejszych przeszkód. Miała ona świadczyć o jego odwadze i jego zdolności współczucia innym. Poradził sobie z tym wspaniale, zrobił nawet więcej, niż od niego oczekiwano. A posługiwał się przede wszystkim własnym rozumem, umiejętnościami i wewnętrznym ciepłem. Bo trzeba wam wiedzieć, że gdyby nie uwolnił schwytanego, inne drapieżniki rzuciłyby się na niego i rozszarpały go na strzępy.

- Bardzo bym chciał, żeby krewni Oka Nocy w Królestwie Światła dowiedzieli się o jego dokonaniach - rzekł Mar, kiedy Shama im o tym opowiedział.

- Tak, powinniśmy sobie tego życzyć - przytaknął Shama.

- Jak daleko już zaszedł?

- Wkrótce będzie w połowie drogi. Teraz jednak czeka go jeszcze jedna bardzo trudna przeszkoda. Musicie pamiętać o tym, że te przeszkody ustanawiano z myślą, że nikt nigdy ich nie sforsuje. Jasne źródło dobra miało być niedostępne na wieczny czas, Oko Nocy zaś zrobił coś, czego nikt nie uważał za możliwe. No, wprawdzie z pomocą różnych środków - dodał duch śmierci rozbawiony. - Ale wtedy, u zarania dziejów, kiedy powstawało źródło i tereny wokół niego, nikt tych środków nie znał.

- Zastanawiam się, co teraz mówią władcy z Góry Zła? - rzekła Shira rozmarzonym, łagodnym głosem.

W gardle Shamy zagulgotał złośliwy śmiech.

- Oni nawet nie wiedzą, że Shama ma dostęp do rejonu, gdzie znajduje się źródło jasnej wody. Tymczasem ja przenoszę się tutaj bez najmniejszej trudności jestem przecież bogiem nagłej śmierci i moim obowiązkiem jest powstrzymywać śmiałków, którzy mieliby odwagę wdrzeć się na zakazane terytorium. Ale tym razem tego nie zrobię.

Shira i Mar zwrócili uwagę, że Shama nazywa siebie bogiem, zamiast używać określenia „bóstwo” lub „duch”, co by było bardziej właściwe.

Shira zapytała:

- A przy okazji powiedz mi, gdzie są teraz nasze bóstwa? Co się stało z siedmioma bóstwami, które spotkałam koło źródła na Górze Czterech Wiatrów?

Shama wyglądał na przygnębionego.

- Ach, nie ma ich, przepadły! Myślę zresztą, że ani ty, ani Mar nie wierzyliście w nie zbyt żarliwie.

Oboje ogarnęło poczucie winy.

- Chyba nie - przyznał Mar. - Szczerze mówiąc, w ogóle o nich zapomnieliśmy. Wierzyliśmy w ciebie, bo ciebie spotykaliśmy często, rozmawialiśmy z tobą. W ciebie i w... A właśnie, gdzie są tamte cztery duchy? Żywioty! Powietrze, woda, ziemia i ogień?

Shama siedzący pod ciemnym nawisem zastanawiał się.

- Cóż, po prostu nie wiem. Opuściłem przecież zewnętrzny świat w ślad za wami. Chciałem być jak najbliżej ludzi, którzy znali starą wiarę waszego ludu. Oczywiście w świecie zewnętrznym spotykałem żywioty od czasu do czasu, ale potem...? Często sam się nad tym zastanawiałem.

Uśmiechnął się, po czym dodał:

- Ale myślę to samo, co ty, moja odnaleziona Shiro: Co też mówią źli władcy tutejszej krainy?

- Byłoby zabawne zobaczyć teraz ich reakcję - przyznał Mar patrząc gdzieś w dal.

No właśnie, co mówili wysoko postawieni władcy w swoich urzędzonych z przepychem salach?

Ten „najpiękniejszy”, To we Własnej Osobie, siedział, rzecz jasna, w swojej dolinie, w ogromnym pałacu, puszył się, nadymał i wierzył, że wszystko jest w najlepszym porządku, a wróg został pobity, bo nikt nie miał odwagi stawić się przed nim ze złymi wiadomościami. Nikt przecież nie chciał umierać, a złe wiadomości Temu we Własnej Osobie nigdy nie odpowiadały.

Natomiast w wieży na szczycie Góry Zła zanosilo się na panikę.

- Co się z nimi stało? - wrzeszczał jeden ze szlachetnych do Nardagusa, jakby to on był za wszystko osobiście odpowiedzialny. - I gdzie się podziewa Niezwyciężony?

- Z pewnością ich wszystkich zabił, unicestwił - stękał Nardagus niepewnie, trzęsąc się ze strachu.

- Nie, nie, nie, nie! - wrzeszczał jego pan. - Czekam na jakąś rozsądną odpowiedź! I pozytywną! Bo jak nie, to posiekam cię na żarcie dla kotów!

Przecież nie jestem rybą, pomyślał Nardagus ze złością, ale się przestraszył.

- Nie rozumiem tego, o najpotężniejszy! - jękał, udręczony tym, że nieustannie musiał się bronić przed złośliwym panem. - Wasze wspaniałe ptaki szukają wszędzie jak szalone. Ale jak dotychczas nie znalazły nic, najmniejszego śladu.

- Jeśli chodzi o Niezwyciężonego, to nie ma się czemu dziwić, bo on wędruje jak chce po terenie, który został mu przydzielony. Ale tamtych czworo? Powinni byli stać się czarnymi kwiatami w jego ogrodzie w chwili, kiedy się do nich zbliżył. Powiadasz jednak, że ptaki nie widzą ani kwiatów, ani ludzi?

- Nic nie widzą.

- My naprawdę nie rozumiemy - wtrącił inny z władców. - I to jest twoja wina, Nardagusie. Załatwiłeś tę sprawę poniżej wszelkiej krytyki. No bo chyba tych czworo nie przedarło się do źródła jasnej wody? A może się mylę, co?

- To niemożliwe, panie! Nikt nie przechodzi przez górę - roześmiał się Nardagus, zarazem pewny siebie i przerażony.

Spojrzał na stół uginający się pod ciężarem smakowicie pachnących dań, różnorodnych pyszności i napojów. Wiedział jednak, że nie spróbuje ani odrobiny w tego, bo wszystko jest zarezerwowane dla tych rozleniwionych żarłoków, którzy całą robotę zwalają

na niego i nie odpowiadają nawet za swoje słowa.

- Tylko jest tak - tłumaczył dalej - że ptaki nie mogą latać nad wewnętrznym terytorium. Zostało ono zamknięte dla wszystkich, nawet dla nich.

- Głupiś!

- Tak, ale to nie ma żadnego znaczenia, bo nędznicy, jak powiedziałem, nie dojdą do źródła.

- Poproś ptaki, żeby szukały nadal.

- Robią to cały czas!

- Znakomicie! To naprawdę dobrze, że jest jeszcze ktoś, z kogo można mieć pożytek.

Ach, my, wodzowie, musimy się zmagać z tak wieloma przeciwnościami! Możesz odejść. I nie wracaj tutaj ze złymi wiadomościami! Zakazuję ci!

Mówiący zwrócił się do pozostałych z wymuszonym uśmiechem.

- Wszędzie taka nieudolność! Cośmy takiego zrobili, żeby nas karać takimi okropnymi poddanymi?

- No, ale są przynajmniej wierni.

- O, jeszcze by tego brakowało, żeby byli niewierni! Mają przecież z kogo brać przykład!

Nardagus wymamrotał coś bez najmniejszego szacunku dla władców i wyszedł.

Kiedy zamknął drzwi, władcy spoglądali po sobie ukradkiem. Za nic by się do tego nie przyznali, ale nie czuli się pewni siebie, byli poruszeni, nie kontrolowali już sytuacji w Górach Czarnych. Chyba pewnego dnia trzeba będzie spojrzeć prawdzie w oczy?

I co by na to powiedział „najpiękniejszy”? To przerażało ich najbardziej.

Oko Nocy stał przed skalną ścianą i przyglądał się jej z desperacją. Ściana sięgała od ziemi do nieba. Znajdował się w niej otwór, jedyny, jaki mógł znaleźć, ale stanowił właściwie poziomą szczelnię, tak wąską, że chyba tylko elfowa panienska Dolga, Fivrelde, mogłaby się przez nią przecisnąć. Ale maleńki płomyk światła Shamy migotał właśnie w tej niemożliwej szczelinie. Po drugiej stronie też majaczyło coś jasnego, sprawiało bardzo przyjemne wrażenie, zdawało się przyzywać, wabić, tylko on... nie miał pojęcia, jak się tam dostać.

Czyżby chodziło o to, by wyrąbał większy otwór? Musiałby pewnie pracować kilka tygodni, nim otwór stałby się wystarczająco duży dla niego, kilka tygodni pod warunkiem, że miałby jakieś narzędzie. A przecież nie miał.

Najpewniej jednak nikomu nie chodziło o to, by Oko Nocy przeszedł na drugą stronę. Raczej wprost przeciwnie. Tylko on jeden tego pragnął. I kilkoro jego oczekujących

przyjaciół.

Oko Nocy znowu doznał dobrze już znanego uczucia, że ktoś stoi za jego plecami. Z otwartą paszczą, żądny krwi. Wiedział jednak, że kimkolwiek są te groźne istoty, które napęlniają go obezwładniającym strachem, to go nie dopadną. Zadbają o to drapieżniki, jego nowi, pełni wdzięczności przyjaciele.

Oko Nocy starał się uwolnić od nieprzyjemnego uczucia i koncentrował się na czekającym go zadaniu.

Jakich pomocy mógłby użyć tym razem?

Zapas przydatnych narzędzi zaczynał się kurczyć. Chyba zbyt często ich nadużywał.

Nie, nie powinno się tego nazywać nadużyciem. Żaden normalny człowiek nie dałby sobie rady w tych warunkach i gdyby środki pomocnicze były zabronione, przypuszczalnie dano by mu to odczuć. Dotkliwie. Z pewnością przypłaciłby to życiem.

Zamyślony sięgnął po pomoc, którą dostał od Móriego. Czarownik dał mu to w ostatniej chwili, gdy opuszczali Królestwo Światła.

Była to odrobina kleistej masy, która otwiera zamki. Móri wytłumaczył mu też, jak należy się posługiwać niezbędnym w takim wypadku zaklęciem. Obrzydliwe słowa, ale Oko Nocy je zapamiętał. „To pomaga przy wszystkich drzwiach, które nie chcą się otworzyć” - przekonywał Móri, ojciec Dolga. Czy tę szczelinę można nazwać drzwiami?

Chyba nie. Ale jakieś wejście to jest. Jedyne, jakie istnieje, żeby dostać się do miejsca następnej próby. A może to właśnie jest próba? „Przeszkoda” - powiedział Shama. Oczywiście, to przeszkoda, nawet bardzo solidna. Świetnie, będzie ich przecież ubywać. I to nawet szybko.

Tyle samo przeszkód, ile Shira miała prób... A przez ile tak naprawdę ona przeszła? Jedenaście, jeśli nie liczyć spotkania z bogami przy źródle, bo to nie była próba. Ale Oko Nocy liczył również początek - wejście w górę - jako pierwszą próbę czy też przeszkodę. Bo przecież z trudem ją pokonał.

W takim razie... ta przeszkoda... powinna być piątą. Wejście do wnętrza góry, przejście przez wodospad, balansowanie na grani, las z drapieżnikami... To cztery. No i ta teraz. Numer pięć.

Tylko że tej jeszcze nie pokonał.

Światło, światło, ciało i dusza rwały się do światelka. Te przekłete, wieczne ciemności w Górach Czarnych dawały się Oku Nocy mocno we znaki. Światło znajdowało się tam, po drugiej stronie tej diabelskiej, wąskiej szczeliny, musi się tam dostać, wydawało mu się, że dłużej nie ścierpi już tego mroku...

Tam światło było intensywne, cudowne, musi przejść przez szczelinę!

Oko Nocy już przygotował pudeleczek z otwierającą zamki pastą. Wypatrzył odpowiednie miejsce na skale i nabrawszy odrobinę pasty na palec wskazujący, pociągnął wzdłuż szczeliny od góry i od spodu, mamrocząc wyuczone zaklęcie.

Nic się nie stało.

Ale Oko Nocy nie należał do tych, którzy zatrzymują się w pół drogi. Ponownie zagłębił palec w kleju, po czym posmarował krawędzie szczeliny grubszą warstwą. Od góry i od dołu. Smugi pasty łączyły się ze sobą. Znowu wymamrotał zaklęcie.

Klej się skończył. Na dole było go chyba trochę za mało, ale nic nie mógł na to poradzić.

Nagle obie części skały zaczęły się od siebie bezgłośnie oddalać, akurat na tyle, by można się było przecisnąć przez powstały otwór.

Oko Nocy odetchnął z ulgą.

Dzięki ci, Móri!

Dzięki wszystkim, którzy mi pomogli!

Sam nigdy bym tu nie dotarł, nie pokonałbym nawet połowy drogi.

Rozejrzał się uważnie, czy nie zostawił gdzieś swoich rzeczy, następnie prześlizgnął się przez szeroką teraz szczelinę. Zamknęła się za nim zatrważająco szybko.

Ciekawe, jak się potem wydostanę z tego labiryntu, myślał przestraszony.

Niech tam, każde zmartwienie ma swój czas. Rób, co powinieneś, Oko Nocy, nie zastanawiaj się nad przyszłością.

Światło, światło, cudowne światło!

Niedługo się jednak cieszył.

Został oślepiiony przez bardzo intensywny blask, wszystko wokół niego kręciło się i wirowało z piekielnym szumem i świstem. W końcu oczy przywykły do światła i mógł się rozejrzeć.

Owady! Miliardy większych i mniejszych skrzydlatych stworzeń rozmaitych rodzajów i gatunków. Wszystkie krążyły jak szalone po jasno oświetlonej grocie. I wcale nie wyglądały przyjemnie.

Po drugiej stronie grotu mignęło mu światełko Shamy. Strasznie odległe, przerażająco dalekie. Powinien sobie jednak z tym poradzić. Potrafił szybko biegać, ćwiczył sprinty i biegi od wczesnego dzieciństwa, nikt nie mógł się z nim pod tym względem równać. Trzeba tylko uważać, żeby kierować się wprost na światełko Shamy.

Nie zdążył zrobić wiele kroków, gdy owady odkryły intruza i wyczuły łakomą

zdobycz. Oko Nocy poczuł ukłucie w kark, zamierzył się na napastnika, ale ten był już daleko. Wiele innych żądeł wysuwało się ku skórze Indianina.

On pospiesznie wycofał się pod ścianę i oparł o nią plecami. Któżby jednak dał sobie radę z tysiącami owadów? Bronił się jak mógł, bo kark bolał go okropnie. Wielu takich ukłuć, czy raczej ukąszeń, nie znieś.

Znowu poczuł użądlenie, w nogę tuż ponad krawędzią mokasy. I drugie w rękę, nad nadgarstkiem. Nie, długo tak nie można, jeśli dobrze rozumiał sytuację, to znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Z bólem serca wyjął ziarenko ofiarowane przez Tsi. Zamierzał je oszczędzać jak długo to możliwe, niewidzialność bowiem, którą ziarno wywołuje, trwa bardzo krótko, jak ostrzegła Siska. Ziarenko było już używane. Jedną ręką oganiał się od atakujących owadów, drugą starał się znaleźć ziarno w skórzanej torbie z frędzlami, która była taka ładna na początku wyprawy. Teraz wyglądała dość żałośnie.

Tak, to musi być ziarno. Taką miał nadzieję, ale pewien nie był.

Za nic nie może go teraz upuścić, bo byłby stracony. Ostrożnie położył je na języku, poczuł, że się rozpląwa.

Wstrzymał oddech.

Owady wirowały nad jego głową, jakby nagle oślepy, ataki ustały, napastnicy utracili cel, zdobycz zniknęła.

Oko Nocy jak strzała pognał przed siebie. Starał się wykorzystać moment, nim małe monstra się zorientują i ruszą za nim wiedzione zapachem krwi. Nigdy jeszcze nie biegł tak szybko, zgarniał z siebie resztki owadów, otrzepywał ubranie. Jeszcze jednego ukłucia w czoło nie zdołał jednak uniknąć. Przeklęte insekty!

Jeśli to jest kolejna przeszkoda, to ja nie wyjdę z tej groty, to ja...

Ale i tym razem poradził sobie z łatwością. Otwór był wystarczająco duży na niego, żadne owady go nie ściagały. Tylko miejsca ukąszeń zrobiły się czerwone, spuchły i pulsowały niepokojąco.

Oko Nocy przyjrzał się swemu nadgarstkowi i stwierdził, że oto pokonał największą przeszkodę. Wyglądało na to, że jad owadów jest bardzo trujący.

W tym momencie uświadomił sobie własną małość i bezradność. Samotność zwała się na niego niczym lodowaty, bezlitosny wichur.

Shama równo rozdzielał sympatię między swoich faworytów. Znowu zaszedł do Marca. Potrząsał głową, a na jego twarzy malował się podziw pomieszany z rezygnacją.

- Co z was za dziwny naród, wy, mieszkańcy Królestwa Światła - powiedział. - Ileż on dostał różnych rzeczy do pomocy i jakie to wszystko przydatne! Nigdy nie widziałem niczego podobnego!

- Z tego, co mówisz, wnoszę, że Oko Nocy jakoś sobie radzi - rzekł Marco uspokojony.

- I to jeszcze jak! Zresztą akurat teraz jest niewidzialny. W jaki sposób będę mógł mu pomóc?

Marco, który ucieszył się z wizyty, westchnął.

- No właśnie, to jest problem. Przypadkiem wiem jednak, że ziarno, którym się posłużył, już raz było używane, żeby doprowadzić naszych ludzi do Juggernauta, więc niewidzialność naszego wybranego długo nie potrwa. Gdybyś jednak chciał, to mogę ci pomóc go zobaczyć.

- Owszem, dziękuję ci, szlachetny książę. Głupio mi, że się tak na niczym nie znam. A możesz mi wierzyć, że nie jest to uczucie, do którego przywykłem.

Marco uśmiechnął się i położył swoje piękne, ciemne dłonie na oczach Shamy, czarnych z zielonymi płomykami. Trwał tak przez chwilę, a Shama rozkoszował się promieniowaniem płynącym z rąk księcia Czarnych Sal.

- No, dość - rzekł w końcu Marco. - Teraz zobaczysz niewidzialnego.

- Dziękuję ci, drogi przyjacielu! Chyba wolno mi tak się do ciebie zwracać?

- Naturalnie!

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że w świecie ziemskim żywiłem wielki szacunek dla twego szanownego ojca. Boga, który tyle musiał wycierpieć z powodu zarozumiałstwa ojców Kościoła.

Również i tym razem Marco nie sprostował, nie powiedział, że jego ojciec nie jest bogiem, tylko czarnym aniołem. Zresztą nie tak znowu „tylko”, bo jest również potężnym byłym aniołem jasności.

- Teraz spieszę wesprzeć naszego dzielnego chłopca, wskażę mu drogę światłem - oznajmił Shama.

- Serdecznie ci dziękuję za to, że jesteś - powiedział wzruszony Marco. - Dziękuję za

wszystko, co robisz dla tego chłopca!

Szczerze mówiąc, wszyscy popełniali błąd, nazywając Oko Nocy chłopcem. Był młodzieńcem, to prawda, ale bardziej już mężczyzną niż chłopcem. Zawsze jednak tak o nim mówiono. Widocznie z przyzwyczajenia.

Marco z wdzięcznością uściśnął dużą rękę Shamy, ale uśmiech, jaki mu posłał, świadczył, że on sam również miał swój udział w dokonaniach Indianina.

- Ależ ty masz lodowate dłonie, księżę. I ubranie też ci nie wyszło w tej zimnej grocie. Poczekaj, ja zaraz...

Shama był duchem kamieni, o czym często zapominano. Zgarnął trochę suchej trawy i chrustu, uderzył dłonią w skałę, strzelił snop iskier i zapłonęło ognisko.

Zaraz potem zniknął, a Marco usiadł wygodnie, oparł się o ścianę i rozkoszował ciepłem ognia. Zrzucił buty i ustawił je przy ogniu do suszenia, zdjął też wierzchnie ubranie i powiesił nad paleniskiem.

Powoli sam zaczynał tajać, robiło mu się przyjemnie, brakowało mu tylko towarzystwa Shamy.

Ślady po użądleniach bolały okropnie. Ten przy nadgarstku spuchł paskudnie, na czole swędziało do szaleństwa, a noga była ciężka jak kłoda.

Oko Nocy zaczynał się poważnie obawiać o swoje zdrowie.

Tu, gdzie się teraz znajdował, panował okropny upał. Słyszał jakieś słabe, syczące i bulgoczące dźwięki.

I ciemności, nieprzeniknione, czarne jak smoła, nigdzie nawet promyka światła, a dar od Rama, małe słońce w latarce, został już jednak wykorzystany. Własną latarkę zgubił w lesie drapieżników.

Ale przecież nie bez powodu miał na imię Oko Nocy! Otrzymał je dzięki zdolności widzenia w mroku. Tyle tylko że nikt pewnie nie myślał o ciemnościach jako o kompletnie czarnej gęstej ścianie...

Och! Oto w oddali jak maleńka, migotliwa gwiazdka na beznadziejnie czarnym horyzoncie nocnego nieba błysnęło światełko Shamy. Niewyraźne, chwiejne, jakby je wciąż przesłaniały przepływające obłoki.

Oko Nocy był tak osłabiony gorączką po ukąszeniach, że musiał usiąść i chwilę odpocząć. To się nie może dobrze skończyć, myślał. Muszę dostać lekarstwo przeciwko tej infekcji. Ale jak, skoro nie wiem, gdzie jestem, nie widzę nawet własnej ręki ani tego, co trzymam przed oczyma.

Zaczęły go też ogarniać mdłości, widocznie trucizna rozprzestrzeniła się szybko po organizmie.

Pociemniało mu w oczach, może na skutek zatrucia, a może za bardzo natężył wzrok, żeby zasłużyć na miano widzącego w mroku.

Nie, to wszystko na nic, musi się stąd jak najszybciej wydostać, wyjść na światło. Maleńka gwiazdka Shamy...

Pomagała mu skoncentrować wzrok. Dzięki temu powróciła jego słynna zdolność widzenia w nocy. Może nie do końca, lecz mimo wszystko zdołał zauważyć, że chmury czy jakieś opary przesłaniają raz po raz tamto migotliwe światełko dodające mu otuchy, ale przy kolejnym rozbłysku zobaczył pod nim lśniąca podłogę.

No, to już jest coś!

Oko Nocy wstał i ruszył ku światłu, ale poślizgnął się już przy pierwszym kroku, potknął i upadł na kolana na beznadziejnie gładki kamień. A owa podłoga okazała się wodą, na dodatek wokół kamienia była bardzo gorąca. Poparzył sobie stopy, ręce i kolana.

Powoli odzyskał równowagę na tyle, że był w stanie myśleć rozsądnie. Od gorączki pulsowało mu w skroniach, miejsca po użądleniach piekły niemiłosiernie, ale teraz najważniejsze było światło. Musi mieć światło! Tylko że Shama ostrzegął go z naciskiem: „Nie używaj nigdy dwa razy tej samej pomocy, bo wszystko przepadnie! I naprawdę mam na myśli wszystko, łącznie z twoim życiem!”

Trudno, trzeba to zrozumieć. Tutejsi władcy raz mogą znieść jakiś środek pomocniczy, choć i to wydaje się wątpliwe, ale żadnego rozpasania! Wtedy dobra wola się wyczerpie.

Jakie jeszcze środki pomocnicze mu zostały?

Niewiele. Miał problemy z zebraniem myśli, był coraz bardziej oszołomiony. Ukąszona noga zeszytywniała tak, że prawie nie mógł nią poruszać, nie mówiąc już o chodzeniu, i to martwiło go do tego stopnia, że wszystko inne uważał za nieważne.

Co jeszcze zostało, co jeszcze zostało, niech no zbiorę myśli.

Może powinien posłużyć się teraz darem Farona?

„Posmaruj sobie ręce tą maścią, a zobaczysz, co się stanie” - powiedział mu ów wysoko postawiony Obcy z dziwnym uśmiechem. „Maść była przez długi czas naświetlana promieniami Świętego Słońca”.

Czy stać go na to, by marnować taki cenny dar, kiedy nie jest pewien czy to absolutnie konieczne? Faron powinien był powiedzieć, do czego maść może być stosowana, może w ogóle nie nadaje się w tej sytuacji.

Trudno, wóz albo przewóz. Oko Nocy nie miał nic innego, czego mógłby użyć właśnie tutaj.

Balansując na śliskim kamieniu, ujął pudełeczko z maścią w swoje poparzone dłonie. Torba z zapasami stawała się coraz bardziej pusta. Zostało już tylko parę darów.

O mało nie stracił równowagi, wyjmowanie maści zabrało mu mnóstwo czasu. Kark miał zupełnie sztywny, nogą prawie nie mógł poruszać, taka była opuchnięta. Nie ulegało wątpliwości, że w rękę wdało się zakażenie krwi; w głowie czuł potworne pulsowanie. Gorączka trawiła całe ciało, dygotał jak w febrze.

W końcu udało mu się posmarować poparzone dłonie, był bliski utraty świadomości, ale jakoś jednak sobie poradził.

W głębi duszy odezwał się czyjś głos. Czyżby to jego duch opiekuńczy? A może po prostu własna intuicja? Zresztą często to jedno i to samo. „Nie odkładaj jeszcze maści!”

Maść cudownie chłodziła ręce.

Och, ależ ja jestem tym wszystkim wysmarowany, pomyślał oszołomiony. A to klej, a to maść, to jeszcze jakieś smarowidło, no i płyn przeciwko tym potworkom. Ciekawe, czy to nie właśnie dzięki niemu uniknąłem kompletnego pożarcia przez owady? To możliwe.

Nie, nie wolno wdawać się w niepotrzebne rozmyślenia, trzeba się koncentrować!

Maść chłodziła...

Ostrożnie dotknął miejsca ukąszenia na nadgarstku. Maść łagodziła pieczenie, rana wyglądała jednak okropnie. Starał się dotknąć również karku, ale wtedy zauważył coś całkiem innego:

Jego ręce zaczęły świecić! Takim samym wewnętrznym światłem, jakie roztaczał wokół siebie Faron. I jakie emanowało pewnego razu z Mirandy, kiedy zbyt długo trzymała w dłoniach małe święte słoneczko.

Oko Nocy zaczął teraz lepiej widzieć. Otoczenie wyglądało jak ziemia o brzasku.

Pospiesznie nasmarował maścią nogę w kostce oraz czoło. Za każdym razem pojawiał się ten sam rozkoszny chłód.

A już zupełnie inna sprawa to to, że i noga, i ramię zaczęły świecić. Prawdopodobnie kark i czoło również, tylko że tego nie mógł widzieć.

Widział natomiast co innego! W grocie, w której się znajdował, zapanowało teraz światło, jakie się widuje w księżycową noc. I mógł stwierdzić, że poszedł nie tak jak trzeba. Jeszcze jeden krok, a byłby wpadł do owej wrzącej i silnie parującej wody i w tym samym momencie zostałby ugotowany. Od kamienia, na którym stał, nie prowadziła żadna droga, nie było możliwości przejścia. Tylko ta straszna woda.

Musiał się znowu wycofać pod skalną ścianę. Tam stanął na pewnym gruncie, ale co dalej?

Wszędzie w grocie gotowało się i bulgotało niczym u wylotu gorącego źródła. To tu, to tam z wrzątku, jak z kotła czarownicy, wylatywały w górę kamienie. Zauważył też, rzecz jasna, spokojniejsze miejsca, ale nie było jak się tam dostać. Nigdzie kawałka wystającego kamienia, żeby na nim stanąć.

Dokąd więc miał iść, skoro nie istniała żadna droga? Na co mu w takim razie światło?

Przemknąć pod ścianami też nie mógł, były bardzo strome i na ogół pozbawione występów. Właściwie widział tylko dwa takie występy, ten, na którym sam się znajdował, i ten, na którym widział światełko Shamy.

Miejsca po ukąszeniach przestały boleć. Noga, ramię i reszta wróciły do normy, opuchlizna zaczęła schodzić. Gorączkowe dreszcze ustały.

Dziękuję, Faronie!

A więc ta maść ma podwójne działanie! Może mogłaby też działać na inne przypadłości?

Niestety, nie będzie miał okazji się o tym przekonać, bo utracił już prawo do dalszych działań. Raz użył maści, teraz czas minął. Z gorzkim westchnieniem odłożył pudełeczko do torby. Jak ból w sercu odczuwał samotność. Intensywnie myślał o bliskich w Królestwie Światła, ale to nie pomagało. Znajdowali się po prostu za daleko, a on sam wpadł w pułapkę, z której nie widział wyjścia. Droga do źródła była zamknięta, droga odwrotu tak samo. Szalona wyprawa krzyżowa Oka Nocy dobiegła końca.

Zaczął myśleć o Małym Ptaszku, dziewczynie, która czeka na niego w domu i marzy, żeby wyjść za niego za męża. Jej milczące, pełne bólu rozczarowanie faktem, że w jego życiu istnieje jeszcze Berengaria, przyjaciółka z dzieciństwa, która wyrosła na wspaniałą, piękną kobietę i która też chciałaby z nim być.

Oko Nocy znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Jego obowiązkiem wobec plemienia było małżeństwo z Małym Ptaszką, ale czy ułożył swoje sprawy z Berengarią? Słyszał, jak koledzy żartują, że zakochała się w Armasie. To jednak niosłoby za sobą komplikacje, podobnie jak jej związek z Okiem Nocy.

Kiedy się o tym dowiedział, poczuł bolesne ukłucie w sercu, teraz też bardzo nie lubił myśli, że Armas i Berengaria mogliby się połączyć. W gruncie rzeczy jednak sam nie był pewien, jakie żywi uczucia do tej dziewczyny, Musi ją znowu zobaczyć, żeby sobie na to odpowiedzieć.

A Mały Ptaszek? Oko Nocy miał dla niej tyle czułości. To taka dobra, śliczna

dziewczyna, pokorna, spokojna, przy tym zadowolona i pracowita... Ale czy czułość wystarczy? Na całe życie?

Czasami myślał sobie, że może dobrze byłoby pójść z Berengarią do łóżka i że wtedy łatwiej by mu było wyrzucić ją z serca. Ale takie zachowanie to nie w jego stylu.

Nagle drgnął. Co to takiego wyłoniło się z wody tam dalej?

Widział to już przedtem, jakiś czas temu. Daleko stąd zobaczył płaski, prawie prostokątny kamień, który powoli zanurzał się w wodzie. Teraz się znowu wyłaniał, nie, to nie ten sam, nawet nie bardzo podobny do pierwszego. Tym razem jednak znajdował się wyraźnie bliżej niego, mógłby przysiąc. Prawie. Całkiem pewien nie był, ale wyglądało na to, że wyłonił się w innym miejscu i że chyba był to również inny kamień.

Usiadł wygodnie. To przypomina jedną z prób Shiry. Tę w grocie z młyńskimi kamieniami. Musi zatem chodzić o logiczne myślenie.

I o cierpliwość.

W tym momencie ognek Shamy zgasł.

Shama zaszczyił wizytą Shirę i Mara.

Tych dwoje nie musiało się właściwie ukrywać przed strasznymi ptakami, mogli się po prostu stać niewidzialni. Nie przyszli jednak tutaj, żeby spacerować po pustkowiach, byli tu ze względu na Oko Nocy, stanowili jego eskortę.

- Teraz pokonywanie przeszkody zajmie sporo czasu - rzekł Shama z westchnieniem i usiadł obok przyjaciół.

- Oko Nocy działa?

- Tak. Znalazł się mniej więcej w takiej samej sytuacji, w jakiej i ty byłeś, jeśli pamiętasz próbę, która zajęła ci tak strasznie dużo czasu.

- Pamiętam wiele prób - mruknęła Shira z goryczą.

Shama znowu westchnął, ale w tym westchnieniu czaił się śmiech.

- Jestem taki szczęśliwy! Myślę, że w całym moim wiecznym życiu jeszcze nie byłem taki szczęśliwy.

- Miło to słyszeć - uśmiechnął się Mar.

Nagle Shama się zaniepokoił.

- Ale chyba wasza propozycja jest aktualna? Ta, że mogę z wami zamieszkać w Królestwie Światła?

- Tak jest, w mieście duchów - potwierdziła Shira. - My nie cofamy takich obietnic.

- I pomyśleć, że spotyka mnie tyle szczęścia! Kto by w to uwierzył?

- Na to szczęście, jak powiadasz, sam sobie zasłużyłeś - rzekła Shira ciepło. - Ale co z Okiem Nocy? Zostawiłeś go własnemu losowi?

- Akurat teraz mnie nie potrzebuje. Potrzebna mu jest tylko jego własna zdolność logicznego myślenia.

- A którą to z moich prób miałeś na myśli?

- Grote z młyńskimi kamieniami.

- O, Święte Słońce!

Shira ze smutkiem wspominała tamten okropny dzień, kiedy musiała siedzieć w grocie i czekać. Owe ogromne, okrągłe kamienne bloki, przetaczające się jeden wokół drugiego, tak że nie było mowy, żeby się między nimi przecisnąć, i to w jednym okamgnieniu, kiedy migąło jej z oddali światelko pochodni Mara. Swoją rozpacz, swój lęk, że jeśli mimo wszystko podejmie próbę przejścia, to zostanie zmiądzona. Tak by się niewątpliwie stało,

gdyby podjęła jakieś pochopne działania. W końcu jednak, po trwających strasznie długo obserwacjach, udało jej się ustalić rytm, schemat, według którego kamienie się przetaczają. Otóż raz na jakiś czas, w wielogodzinnych odstępach, nadarzała się możliwość przejścia przez tę grootę. Jeden głaz otwierał drogę, następnie drugi jej dalszy ciąg i tak dalej, powstawała cała seria połączonych ze sobą pasaży, których z oddali nie było widać, a które natychmiast i w tej samej kolejności się zamykały. Shira zrozumiała, że jeśli będzie szybko przeskakiwać kolejne pasáže i trafiać w nie precyzyjnie, zdoła przejść na drugą stronę. Siedziała bardzo długo i obserwowała ruch kamieni, wielokrotnie prześledziła cały cykl ich obrotów, w końcu uznała, że to jedyna możliwość i powinna spróbować. Po głębokim namyśle podjęła próbę. Znalazła się najpierw jakby w centrum małej grotki, zaraz potem pod jej sklepieniem, skąd szybko zjechała w dół. Przerzucana na boki, posuwała się zgodnie z obrotami kamieni. Raz widocznie zastanawiała się odrobinę zbyt długo, bo jej ubranie zostało pochwycone w kamienne tryby, straciła część odzieży, ale wydostała się na zewnątrz.

Cóż to była za potworna męczarnia!

A teraz to samo przeżywa Oko Nocy!

- Czy on też znajduje się w takiej okropnej grocie?

- Nie, nie, on musi się przedostać ponad gotującą się wodą, ponad którą nie ma widzialnego przejścia. Ale dokładnie tak jak ty musi odkryć schemat.

- I to zajmie mu bardzo dużo czasu?

- Co najmniej dzień, jak sądzę. Ale już wie, że istnieje schemat, i domyśla się go.

- Czy nie powinieneś być przy nim i dodawać mu otuchy? - zapytał Mar.

- Owszem, właśnie się tam wybieram, a potem zamierzam odwiedzić księcia Marca. A wam tu dobrze?

- Znakomicie! Właśnie zamierzaliśmy coś zjeść. Czy Oko Nocy ma pod dostatkiem jedzenia? - zaniepokoiła się Shira. - Pamiętam, że ja musiałam zjadać lód z jakiejś zacienionej skalnej szczeliny.

- Oko Nocy ma wszystko, czego mu potrzeba. Żegnajcie, do następnego razu!

Wymknął się z kryjówki, najpierw jednak sprawdził, czy nie ma gdzieś w pobliżu czarnych ptaków. Nie tyle ze względu na siebie, bo on mógł przenikać przez skały, jeśli tylko chciał, był przecież duchem kamienia. Nie chciał po prostu zwracać uwagi ptaków na kryjówkę pod skałą.

Oko Nocy otrzymał sygnał, że Shama nadal się nim opiekuje. Spoza kłębiących się oparów majaczyło mdłe światelko i serce Indianina zabiło z nową siłą. Nie został sam.

Shama tymczasem podążał do swego nowego idola, księcia Czarnych Sal.

Złożył raport w sprawie kolejnej przeszkody, którą miał pokonać Oko Nocy, dodając, że wybrany będzie na to potrzebował sporo czasu. Potem usiadł przy ognisku, które nadal płonęło, Marco bowiem wciąż dokładał a to gałęzi, a to chrustu, zbieranego przed grotą.

Shama siedział zamyślony.

- Kogóż to macie w swoim orszaku, kto jest obdarzony taką siłą, że może dawać światło w krainie, w której światła nie ma? - zapytał w końcu. - I kto potrafi leczyć śmiertelne rany? Byłem prawie pewien, że młody Indianin jest stracony. Ale nie, z każdej opresji wychodzi obronną ręką. Kto pomógł mu tym razem?

Marco nie bardzo wiedział, ile tak naprawdę może Shامية wyjawić.

- To bardzo wielka siła, masz rację - rzekł. - Ale nie wiem o nim zbyt wiele. Jego imię brzmi Faron. Pochodzi z Obcych.

Shama sprawiał wrażenie, że czeka na dokładniejsze informacje, lecz Marco milczał.

- Powiedz coś więcej. Kim jest Obcy? Dlaczego tak o nim mówisz?

Płomienie ogniska rzuciły straszne cienie na dziwną twarz Shamy. Marco kiedyś, jeszcze w zewnętrznym świetle, oglądał pewien film ze starym bohaterem westernów, niezwykłym aktorem Woody Strodem. Teraz uznał, że Shama jest do niego podobny. Przynajmniej z rysów twarzy.

- Obcy... - zaczął wolno. - Obcy... oni mieszkają w Królestwie Światła, w jego najbardziej na północ wysuniętej części, ale żyją właściwie w zamknięciu, wszyscy pozostali mieszkańcy mają surowy zakaz pokazywania się w tamtych okolicach. W Królestwie żyje wielu mieszańców. Obcych z Lemuryjczykami, czego przykładem jest choćby nasz znamienity wódz, Ram. Obcych z ludźmi, jak młody Armas, ale też przodkowie zarówno Rama, jak i Armasa pochodzili z rasy mieszanej. Inny Obcy, Talornin, też miał w żyłach mieszaną krew. Faron to, szczerze mówiąc, pierwszy Obcy czystej krwi, jakiego poznaliśmy. Niewiele o nim wiem.

- No, a jak oni wyglądają?

Marco wahał się długo, a potem powiedział:

- Mogę ci zwizualizować Farona.

- Tak, zrób to!

Marco skupił się i powoli wywołał obraz Farona. Jego bardzo wysoką, liczącą ponad dwa i pół metra sylwetkę, graniaste palce, dziwną twarz z opadającymi na czoło jedwabistymi włosami, głęboko osadzone oczy i policzki przypominające płytki. Jasnożółtą skórę...

Kiedy obraz Farona ukazał się wyraźnie, Marco popatrzył na twarz bóstwa kamienia i

nagłej śmierci. Shama podskoczył, cofnął się aż do samej skały, a jego czarne oczy otwierały się w przerażeniu.

Po chwili Marco zakończył seans.

Shama oparł się bez sił o skałę.

- On nie jest jednym z nas.

- Wiem. W Królestwie Światła mieszka wielu takich. Na przykład elfy, Madragowie, Lemuryjczycy i wielu, wielu innych.

- Nie to miałem na myśli. On jest... Drogi przyjacielu, on mnie przeraża!

- Faron podczas tej wyprawy stał się naszym prawdziwym przyjacielem i służył nam zawsze nieocenioną pomocą.

- Wam? - roześmiał się Shama złośliwie. - Należy raczej zapytać, czy to nie wy jemu służyliście wielką pomocą! Czy macie w Królestwie wielu tych Obcych?

- Nie wiem, ilu dokładnie. Jak powiedziałem, żyją na zamkniętym terytorium.

Shama nie odezwał się więcej. Ale Marco źle się czuł, kiedy tamten posyłał mu dziwne spojrzenia, przeciągłe, sceptyczne...

- Zaczekaj z ocenami, dopóki nie poznasz Farona - skwitował lekko. - To nie jest żaden zarozumialec ani nic takiego.

- Nigdy tak nie myślałem - odparł Shama.

Ogień natrafił na sporą kępę suchej trawy i płomienie znowu strzeliły w górę, rzucając groteskowe cienie na ściany groty.

Szczególnie dziwaczny był cień Shamy.

Daleko od nich, w innej grocie, siedział bez ruchu Oko Nocy.

Zdażył już poznać schemat. Widział wiele kamieni, które opadały pod wodę i wyłaniały się z niej. Kolejny pojawiał się zawsze dokładnie w tym momencie, gdy inny znikał - i to znakomicie, inaczej bowiem Oko Nocy bardzo by się poparzył, starając się na nich stanąć.

Ale na razie nie miał zamiaru tego robić. Po prostu nie mógł. Kamienny most, jeśli tak można powiedzieć o pojawiających się i znikających kamieniach, wiódł do niego od akurat teraz niewidocznego światełka Shamy. Oko Nocy gotów był postawić stopę na pierwszym kamieniu, który znajdzie się przed nim.

Przychodziła mu jednak do głowy przerażająca myśl, że może w ogóle nie będzie w stanie nadążyć za ruchem kamieni. Że ich naprzemienne pojawianie się i znikanie zawsze zaczyna się po tamtej stronie. W takim razie nigdy nie przedostanie się na drugi brzeg, bo nie

ma takiej fizycznej możliwości.

Odczuwał też głód. Do tej pory był taki spięty, że nie odbierał żadnych sygnałów organizmu. Teraz burczało mu głośno w brzuchu.

To, że zaczynał być zmęczony i senny, to rzecz naturalna. Od jak dawna jest już na nogach? Nie był w stanie tego określić, zresztą wcale też nie chciał, ale jego ostatni odpoczynek to był chyba ten dziwny, przypominający narkotyczne oszołomienie płytki sen, bardzo niebezpieczny, kiedy wszyscy czterej wysłannicy odpoczywali na stoku górskiej przełęczy. Z żółtozielonego mchu wydobywały się trujące opary, które ich całkowicie znieczuliły.

W każdym razie był to bardzo długi sen i po nim Indianin mógł czuwać przez wiele dni i nocy.

Zastanawiał się, ile ich mogło minąć, w końcu jednak uznał, że lepiej tego nie wiedzieć.

Wyjął swoją żelazną porcję prowiantu. Jedzenie nie było specjalnie smaczne, ale zdrowe i pożywne. Zarówno mięśnie, jak i mózg otrzymały nowy zastrzyk energii.

Znowu pojawił się kamień, tym razem zaledwie dwa „przystanki” od Oka Nocy. Równocześnie w oddali inny zniknął pod wodą. Następnym razem...

Czy odważy się wskoczyć na kamień, kiedy ten pojawi się tuż obok? A co będzie, jeśli kolejny ukaże się znowu po tamtej stronie? Oznaczałoby to sytuację bez wyjścia. Nie, oczywiście, że nie, Oko Nocy może przecież błyskawicznie przeskoczyć na miejsce, gdzie dotychczas czekał... No tak, ale co dalej?

Odległości między kamieniami były spore. Za każdym razem będzie musiał wykonać solidny skok, a wtedy najważniejsze, żeby nie stracić równowagi. Problemem mogły się też okazać podeszwy mokasynów. Kamienie wylaniają się przecież z gorącej wody, z wrzątku. Nie będzie przyjemnie po nich stąpać. Pospiesznie wyjął swoją pelerynę od deszczu, rozdarł na dwie części i starannie owinął mokasyny.

Ach, mokasyny i jego piękne skórzane ubranie! Shira go przestrzegła. Nie ubieraj się za ładnie, mówiła. Ona sama wzięła najładniejsze rzeczy ze skóry i wszystko, niestety, straciła. Oko Nocy jednak był pewien, że nic takiego go nie spotka, że wszędzie będzie sucho i pięknie. No i co? Jeszcze nie doszedł do celu, a ubranie było zniszczone. Podarte, brudne, tu i ówdzie skóra się skurczyła, wiele rzeczy zgubił. Ale oddychał swobodnie.

W grocie panowało nieznośne gorąco. Pot i skraplająca się para spływały mu po twarzy, czuł się brudny i lepki. Gorąco jednak miało też i dobrą stronę: ubranie Indianina wyschło. Potem co prawda znowu wchłaniało parę, ale już tylko po wierzchu. I było mu

ciepło. Może nawet trochę za bardzo.

Wstał. Właśnie w pobliżu ukazywał się kamień. Nadszedł czas, żeby wykonać skok, zanim wyłoni się następny.

Sprawdził, czy pakunki są dobrze zamocowane, musiał przecież zabrać ze sobą wszystko. Wszystko, co mu zostało, chociaż właściwie tak wiele nie stracił. Tylko kieszonkową latarkę i parę sztuk ubrania plus kilka drobiazgów. Shira dotarła przecież do źródła kompletnie naga. Z nim będzie inaczej.

Nerwy miał po prostu w strzępach. No, chodźże nareszcie! Widział kamień pod powierzchnią, podchodził w górę, owszem, ale, uff, jak to daleko. Czy zdoła tam skoczyć? Z trudem.

Shamo, wypełnij swój obowiązek, gdzie się podziewasz? Wyszedłeś się przejść? Poświęć mi wreszcie! Wiedział jednak bardzo dobrze, że Shama nie ma żadnych obowiązków. Jeśli mu pomagał, robił to dla Shiry i Mara oraz dla samego siebie. Oko Nocy nic dla niego nie znaczy.

Nie, to są myśli negatywne. W najwyższej mierze zakazane.

Minuty wlokły się w ślimaczym tempie. Kamień znalazł się wprawdzie ponad powierzchnią wody, ale wciąż był za głęboko. Gdyby teraz spróbował, okropnie by się poparzył.

I... nareszcie! Oko Nocy skupił się i skoczył.

Uff! Dygotał na całym ciele, kamień był potwornie gorący, parzył w stopy przez mokasyny i dodatkową ochronę, trudno było Indianinowi zachować równowagę, długo kiwał się w tył i w przód, zanim w końcu stanął prosto. Za każdym kolejnym razem będzie lepiej, pocieszał się. Pierwszy skok to tylko ćwiczenie. Starał się wykrzesać z siebie cały optymizm, na jaki tylko było go stać.

Och, światełko Shamy! Teraz będzie lepiej!

Nadszedł moment krytyczny. Czy kamień, który się właśnie pogрузzył, wypłynie blisko, tak jak Oko Nocy liczył, czy też pojawi się daleko, pod gwiazdką Shamy? Gdyby do tego doszło, Oko Nocy może się pożegnać z życiem.

W grocie było coraz goręcej i okropnie parno, teraz, kiedy znajdował się na wodzie, z trudem oddychał. Nie miał już osłony chłodnej skały.

No i... po chwili, która wydawała mu się godziną, poczuł, że kamień pod nim zaczyna się z wolna zanurzać. Teraz się okaże. Oko Nocy był napięty niczym łuk, nieustannie wpatrywał się w wodę, tam gdzie powinien się wyłonić kolejny fragment niezwykłego mostu.

Nie widział nic, rozpacz zaczynała go dławić w gardle. Jeszcze jedno pospieszne

spojrzenie w stronę światełka Shamy. Tam też nic się nie wynurzyło. Czy to powinno mu dodać otuchy?

Kamień pod Okiem Nocy zanurzał się coraz bardziej. Na wszystkie świętości, co robić? Powinien skakać, ale przed nim nie było niczego. Nic nie wyłoniło się spod powierzchni wody, ani tu, ani tam, po prostu nigdzie nic.

Rozpacz bliska szaleństwa. Potwornie gorąca woda dosięgała już stóp Indianina, nie mógł dłużej czekać. Było oczywiste, że żaden kamień się nie pojawi. Oko Nocy musiał się więc odwrócić i skoczyć ponownie na swoje dawne miejsce pod ścianą, wrzątek parzył mu już stopy.

Opadł na skalną półkę, płacz dławił go w piersi.

- Shamy coś długo nie ma - powiedziała do męża Shira, siedząca pod osłoną skalnej półki.

- Owszem, pewnie rozmawia z Markiem. Albo, co bardziej prawdopodobne, Oko Nocy potrzebuje jego wsparcia.

- Nie sądzę, żeby Shama mógł mu bezpośrednio pomagać - rzekła Shira w zamyśleniu.
- Ale samo to, że chłopak widzi światełko, musi być dla niego ogromnie ważne. Uff, dobrze wiem, jak się teraz Oko Nocy czuje, wciąż w myślach przeżywam moją wędrówkę. Potrafię więc wyobrazić sobie jego sytuację z najdrobniejszymi detalami.

Umilkła, Mar zauważył, że drży jak w febrze.

- Czy ja też tak długo tam byłam? - zapytała w końcu.

- Dłużej! Chociaż teraz mam wrażenie, że on również przechodzi najdłuższą próbę.

- Masz rację.

W aparacie, który leżał przy nich, odezwał się sygnał.

- Ja odbiorę - powiedział Mar, który bardzo lubił wszystkie nowoczesne wynalazki.

Dzwonił Cię ze skały ponad złą doliną, żeby się dowiedzieć, jak im idzie.

- Dawno nie mieliśmy od was wiadomości - narzekał. - Powiedzcie, co słyhać.

- U nas wszystko na ogół dobrze - tłumaczył Mar. - My z Shirą siedzimy i czekamy. Marco dyżuruje w grocie w pobliżu źródeł, przy tajnej drodze do źródła dobra, a Oko Nocy pokonał już połowę trasy.

- To brzmi wspaniale, ale powiedzcie, jak sobie poradziliście z Niezwyciężonym. Musieliście go tam spotkać.

- I spotkaliśmy. To Śmierć we własnej osobie.

Cień na moment zaniemówił.

- Śmierć! - potwierdził krótko. - Wiemy o tym. I mimo to przeżyliście? No, wy tak, ale Oko Nocy? On jest przecież śmiertelny!

- To jest Shama!

- Co takiego? Wasz Shama z Taran-gai?

- Otóż to. Jest po naszej stronie i pomaga Oku Nocy, zapala mu światełko w najtrudniejszych momentach, wskazując drogę, a potem informuje nas o wszystkim.

Cień był kompletnie oszołomiony.

- Niemożliwe! To brzmi zbyt cudownie, żeby mogło być prawdą!

- Ale tak właśnie jest - śmiał się Mar, a jego straszna twarz stawała się przy tym prawie piękna. W każdym razie bardzo pociągająca, co Shira odkryła już bardzo dawno temu.

- Musieliśmy mu tylko obiecać, że potem będzie mógł zamieszkać w Królestwie Światła.

Cień mamrotał pod nosem:

- Ciekawe, co Rada na to powie?

Mar zaś ciągnął dalej:

- Właśnie w tej chwili Oko Nocy znajduje się w bardzo skomplikowanej sytuacji, ale dotychczas ogromną pomocą były dla niego podarunki, które dostał na drogę. Pozdrów wszystkich i powiedz im o tym!

- Oczywiście, dziękuję. Znajduje się, powiadasz, w skomplikowanej sytuacji?

- Już pół doby siedzi wciąż w tej samej grocie. Ale Shira uważa, że to nic dziwnego. Ona i Shama nazywają to próbą cierpliwości, chociaż Shama trochę się denerwuje. Najwyraźniej nie jest pewien, czy Oko Nocy zdoła pokonać tę przeszkodę, bo nie ma żadnego środka pomocniczego, którym mógłby się posłużyć.

- Przeszkodę?

- Oko Nocy nie przechodzi prób tak jak Shira. On tylko natrafia na przeszkody. Wiele z nich rzeczywiście jest nie do pokonania dla normalnego śmiertelnika, ale on sobie dotychczas znakomicie] radził. I właśnie dlatego dziękujemy wam za pomoc, bo pozwolono mu korzystać z waszych darów, choć jest to obwarowane bardzo surowymi restrykcjami.

- Kto to tak postanowił?

Mar na moment umilkł.

- Pytasz o więcej, niż jestem w stanie ci powiedzieć!

- Bardzo mnie to cieszy - zagulgotał po swojemu Cień. - Rozumiem, że nie wiecie, co się teraz z Okiem Nocy dzieje?

- Nie, i to martwi nas bardziej, niż byśmy chcieli. Ale powiedz, co słyhać u was?

- Nic specjalnego. Indra i Siska omal nie chodzą po ścianach, bo rozpiera je chęć walki i dręczy beczynność. Wiemy, że czerwonoocy są w okolicy J2, ale najwyraźniej specjalnie się nami nie przejmują. My jesteśmy jedynie statystami.

Po głosie Cienia jednak poznawali, że on w żadnym razie statystą się nie czuje.

Opowiedział jeszcze o ekspedycji ratunkowej, jaką odbyli Faron, Indra i Freki, i że teraz na pokładzie J2 zrobiło się bardzo ciasno, ponieważ skrajnie wycieńczeni jeńcy z Królestwa Światła potrzebują wiele miejsca i opieki.

Cień bardzo chciał rozmawiać z Markiem, ale nie mógł się z nim połączyć. Dlatego prosił, żeby Shama przekazał mu pozdrowienia. Wszyscy wiedzieli, że Marca najbardziej

ucieszy wiadomość o uratowaniu członków dawnych ekspedycji.

Na tym rozmowa się skończyła, ale Shira i Mar poczuli się znacznie lepiej, kiedy po długiej izolacji dotarł do nich ten znak życia ze świata, z którym czuli się związani.

Bliski rozpaczy Oko Nocy nagle podskoczył.

Co to się stało?

Wpatrywał się w parującą wodę. Wydawało mu się, że widzi najbliższy kamień głęboko pod powierzchnią. Czy się wynurza?

W takim razie... chyba się pomylił. Sądził, że ten kamień jest końcowym fragmentem „mostu”. Co jednak będzie, jeśli ostatnią częścią kamiennego mostu wynurzającego się w ten szczególny sposób jest półka, na której on sam stoi? Byłoby w tej sytuacji rzeczą logiczną, że kamień znowu się wynurza.

- Chodź, chodź, drogi kamieniu, chodź, błagam cię!

Tak jest! Wynurza się!

Oko Nocy oddychał ciężko. Wprost nie miał odwagi myśleć, że spotyka go takie szczęście. Wydawało mu się to podejrzane.

A ja już rozważałem, czy nie popełnić samobójstwa, myślał zawstydzony.

Skąd mu się wzięły takie czarne myśli? Musiał być naprawdę bliski rozpaczy, najwyraźniej osiągnął granicę własnej wytrzymałości!

Indianin popełniający samobójstwo przypieczętowuje tym samym swój los w życiu pozagrobowym. Ono zaś pod wieloma względami przypomina tę egzystencję, jaką Indianie prowadzili w Ameryce. Nikt jednak, kto popełnił samobójstwo, nie ma prawa spacerować po Wiszącej Drodze, jak Indianie nazywają Drogę Mleczną, ani żyć w Wysokiej Krainie Wielkiego Mędrca. Istnieje bowiem również Niska Kraina Wielkiego Mędrca. Nie jest jednak zamieszkiwana przez zło i pod żadnym względem nie przypomina piekła, w które w ziemskim świecie wierzyli biali. Jest to, można powiedzieć, siła panująca równolegle z Wielkim Mędrcom zasiadającym w górze. A ponad wszystkim i wszystkimi postawiony jest nieskończony bóg Wakan Tanka.

W świecie pozagrobowym nie ma przemocy ani terroru, nikt nie czeka sądnego dnia ani zmięzchu bogów. I wstępu do takiej to krainy miałby się pozbawić w wyniku samobójstwa?

Oko Nocy tak się wczuł w dawne obyczaje i wierzenia swoich przodków, że prawie zapomniał, iż jest niemal nieśmiertelny, skoro całe swoje dotychczasowe życie spędził pod błogosławnymi promieniami Świętego Słońca. Wódz plemienia surowo wymagał

kultywowania dawnych zwyczajów. To sprawiało, że Oko Nocy, który dorastał w towarzystwie szalonej Berengarii i jej nie mniej szalonych towarzyszy, często popadał w konflikty. Chciał być wierny swoim przodkom, nierzadko jednak uważał, że jego plemię jest bardzo zacofane.

Ocknął się z zamyślenia. Nad czym ja się zastanawiam w takiej chwili, pomyślał zirytowany sam na siebie. Czy naprawdę nie potrafię znieść odrobiny oporu i zaraz bym robił ze wszystkim koniec? Nie! Samobójstwo? Może jako ostateczność, ale do tego chyba daleko. Ale co by było, gdybym pod wpływem rozpaczy dopuścił się takiego czynu? Bez powodu, tylko dlatego, że nie potrafię znieść tutejszej samotności?

Kamień się wyłaniał, szło to nieskończenie wolno, ale teraz widać go już było wyraźnie pod powierzchnią wody.

Jeszcze parę minut, długich niczym wieczność... I oto jest. Nie skacz za wcześnie, Oko Nocy, bo poparzysz stopy!

Nieznośne czekanie!

Dygotał na całym ciele, trzeba się uspokoić za wszelką cenę, musi działać na zimno.

Teraz!

Tym razem skok udał się znacznie lepiej, widocznie trening zrobił swoje. Oto znowu stał na kamieniu, wiedząc, że wszystko zależy od tego, czy pojawi się następny. Jeśli tak, to zwycięstwo jest pewne, uda mu się przejść na drugą stronę.

Czas mijał.

Jego kamień zaczynał się z wolna pograżać. Oko Nocy ogarniała panika. Dlaczego nie pojawia się kolejny?

Kiedy jednak ten nieoczekiwanie zmaćcił taflę wody, Indianin zrozumiał, dlaczego go przedtem nie widział. Po prostu woda w tym miejscu jest znacznie ciemniejsza, a opary gęstsze. Oko Nocy czekał dokładnie tak długo, jak trzeba, i skoczył.

Kamień był nieprzyjemnie śliski. Chłopak zachwiał się, stopy rozjeżdżały się, ale jakoś udało mu się nie stracić równowagi. Stał wyprostowany.

Pozostawało czekać następnego kamienia.

Parę godzin później miał za sobą połowę drogi. Czuł się jak ugotowany, był poparzony, skóra poodcierana, wszystko przemoczone do suchej nitki. Upał w grocie przekraczał granice ludzkiej wytrzymałości.

Oko Nocy zaśmiał się histerycznie sam do siebie. Parowa kąpiel dobrze robi na urodę, pomyślał. Bardzo mi się przyda.

Jako dziecko był niezwykle urodziwy. Ładne, szlachetne rysy, śliczny profil... Potem nadszedł okres dojrzewania, który kształtuje twarz na dalsze życie. Rysy chłopca stały się wyraźniejsze, grubsze, od tamtej pory miał typowo indiańską urodę, poważną, jakby przerysowaną twarz. Dla dziewcząt nie miało to najwyraźniej żadnego znaczenia, ale pamiętał, jaki sam był rozczarowany, kiedy po raz pierwszy uświadomił sobie, co się stało. Młodzieńcze zarozumiałstwo, rzecz jasna. Teraz miał około dwudziestu pięciu lat, nie był do końca pewien, mógł być trochę młodszy, trudno bowiem precyzyjnie przeliczać lata według rachuby stosowanej w Królestwie Światła. Zwłaszcza komuś takiemu jak on, kto przeważnie żyje na łonie natury i nie zawsze odróżnia dzień od nocy.

Podobnie jak inni uczestnicy wyprawy, Oko Nocy zastanawiał się często, jaki wpływ wywiera na nich ta podróż. Trudno nawet stwierdzić, czy żyją w czasie obowiązującym w Królestwie Światła czy też w czasie Ciemności, identycznym z tym, jaki stosuje świat zewnętrzny. Jedna doba w Królestwie Światła to dwanaście w Ciemności. Czy więc teraz starzeją się szybciej?

Oko Nocy nie wiedział, że tego właśnie bardzo się boi Siska, a wraz z nią Indra. Bo jeśli tak właśnie jest, to jak by to mogło wpłynąć na ciężę Siski? Skomplikowana sprawa, obie dziewczyny pragnęły jak najszybciej wrócić do domu. Zwłaszcza że nie wiedziały, jak długo trwa ciąża u kobiet elfów.

Oko Nocy kontynuował swoją w najwyższym stopniu męczącą „wędrowkę” ponad wrzącą wodą, w lepszym nastroju zawsze, kiedy widział światelko Shamy. Pojawiało się ono wielokrotnie, zwłaszcza pośrodku grotu dodawało mu otuchy. Parę razy mało brakowało, a dławiące opary doprowadziłyby go do utraty przytomności. Nie mógł się też rozebrać, ekwipunek bowiem pozwalał mu przy skokach utrzymać chwiejną równowagę. Lepiej, że nie musiał nieść ubrania w węzélku trzymanym wysoko w górze, a pozbyć się go nie chciał. Może później będzie mu ono bardzo potrzebne? Na zewnątrz panuje przecież chłód, poza tym żał mu było po prostu. Nosił je przecież od tylu lat, miał je na sobie podczas tylu przygód i ważnych wydarzeń swego życia. Bardzo dobrze rozumiał Shire, która serdecznie żałowała swojej pięknej kurtki uszytej z artystycznie ułożonych kawałków skóry. Straciła ją podczas wędrowki przez grotę.

Tak więc Oko Nocy wciąż miał na sobie kurtkę, choć, kompletnie przemoczona, zrobiła się bardzo ciężka.

Ostatni kamień...

Teraz widać już było wyjście. Okrągły otwór w górskiej ścianie. Dość wysoko, ale chłopak był już tak wyćwiczony, że taka wysokość wydawała mu się bagatelką.

Czekanie na ostatni kamień szarpało mu nerwy. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien skoczyć od razu na skalną półkę, na to jednak musiałby być mistrzem olimpijskim w skoku w dal. W dodatku potrzebowałby rozbiegu, a tutaj brakowało miejsca.

Tak więc należało czekać.

Kamień się wynurzy, czekaj cierpliwie, Oko Nocy, nie rób głupstw w ostatniej minucie!

Minucie?

Między pojawieniem się kolejnych kamieni mijało co najmniej pół godziny, a kamieni było dwanaście. To wymaga czasu. Myśl o czekających towarzyszach budziła w Indianinie poczucie winy. Jakże muszą się niepokoić...

Teraz... Tak jest bezpiecznie. Postaraj się tylko nie ześlizgnąć! Oko Nocy wykonał coś w rodzaju podwójnego skoku, zrobił dwa bardzo długie kroki, bo po co miał dłużej stać na ostatnim kamieniu?

Odległość między kamieniem a półką skalną była większa, niż się spodziewał, tylko dzięki bardzo skomplikowanym manewrom zdołał uniknąć katastrofy i na zakończenie śmiertelnie meczącej wędrówki nie wpaść do okropnej zawartości tej piekielnej sadzawki.

Odetchnął głęboko, skoczył w stronę wyjścia, zdołał złapać krawędź półki, przerzucił całe ciało w górę i wydostał się na bezpieczną skałę.

Ani razu nie obejrzał się za siebie. Grota nie nastrajała do czułych ani sentymentalnych pożegnań. Chciał jak najprędzej stąd wyjść.

Owionął go lodowaty wiatr i Oko Nocy bardzo się przestraszył. Taka zmiana po długotrwałej łaźni parowej nie jest dobra dla zdrowia. Ale pomyślał, że skoro mieszkający na północy Finowie mogą się zanurzać w bardzo zimnej wodzie po wyjściu z sauny i nic im nie jest, to on też jakoś to przeżyje!

Oprócz zimna panowała tu jeszcze zgniła wilgoć.

Znalazł się teraz w jakiejś wąskiej dolinie, a raczej w rozległym jarze. Drogę zagradzały mu kamienne bloki, ale wyglądało na to, że musi przejść przez dolinę, bo innej drogi nie widział. Spojrzał w górę. Krawędzie jaru były wysokie i teraz zrozumiał też, skąd się wzięły te wszystkie kamienie na jego dnie.

Górskie ściany były tutaj bardzo zwietrzałe, nieustannie w dół spadały większe i mniejsze odłamki.

Między ścianami brzmiała niezwykła muzyka. Smutna, przygnębiająca, w tonacji moll. Sprawiała wrażenie rytmicznej, choć poszczególne frazy trwały bardzo długo. Cztery ponure, żałobne takty i łoskot spadającego kamienia. Ostatni, niski ton zlewał się z nim w jedno.

Nigdy się jednak nie wiedziało, kiedy kamień upadnie. A zwłaszcza gdzie oderwie się kolejny.

Cóż to za żałobna dolina, zastanawiał się Oko Nocy. I jak się przez nią przedostać?

W pierwszej chwili chciał wzywać Shame, ducha kamieni, i prosić, by żaden głaz nie spadł mu na głowę.

To by jednak było oszustwo. Shama i tak zachowuje się bardzo uprzejmie, że wskazuje mu drogę, nie mówiąc już o tym, że go nie atakuje. O więcej Oko Nocy prosić nie mógł. Nie można nadużywać dopiero co zawartej przyjaźni.

Próbował też ustalić, czy kamienie padają według jakiegoś porządku lub schematu, szybko jednak musiał zrezygnować. Żeby nie wiem jak długo siedział i medytował, żadnego schematu się nie dopatrzy. Trzeba więc liczyć na szczęście i mieć nadzieję, że uda mu się wyjść cało z opresji.

Nagle zeszło w dół olbrzymie rumowisko, trwało to wiele minut. Jak ostrzeżenie dla śmiałka: Nie próbuj niemożliwego! Możesz to przyplacić życiem!

Jedna rzecz go zdumiewała: dno doliny było właściwie puste, między poszczególnymi głazami leżała czysta ziemia. A przecież przy tej częstotliwości spadania kolejnych kamieni

dolina powinna być od dawna zasypana po brzegi.

To umocniło go w przekonaniu, które od dawna żywił. Wciąż jednak nie miał czasu, żeby się nad tym gruntowniej zastanowić. Teraz też znajdował się w śmiertelnie niebezpiecznym miejscu, trzeba znaleźć jakąś pomoc. Na własną rękę nigdy się stąd nie wydostanie.

Jak wygląda jego zapas środków pomocniczych? Przejrzał je w mroku. Uff, jakże nienawidził tej przekłetej szarówki, tego nie-światła. Bardziej niż kiedykolwiek zatęsknił za jasnością. Maść Farona przestała działać, Oko Nocy już nie świecił, wszystko wokół było znowu mroczne i nieskończenie przygnębiające. Ciężkie tony rozbrzmiewały ponad doliną. Kolejne osypisko kamieni. Oko Nocy skrzywił się bez szacunku. Miał dość tej całej wędrówki, był strasznie zmęczony, znowu zrobił się głodny, ubranie przemoczone do suchej nitki, a tu jeszcze ten lodowaty wichur przenikający do szpiku kości. Najgorsza jednak była samotność. Lęk, że już nigdy nie wydostanie się z tego piekła.

No, ale wracajmy do rzeczywistości. Co z zapasem środków pomocniczych?

Kiepsko. Co jeszcze zostało? Ostatni kawałek sznura elfów. Tutaj kompletnie nieprzydatny. Jeszcze jakiś przedmiot. I...

Dar Dolga...

Dar Dolga?

Małeńki flecik. Dolg dostał go od elfów. „Zagraj na nim, Oko Nocy, a uzyskasz zdolność poruszania się sposobem elfów. Musisz jednak mieć konia, inaczej nic z tego”.

Ze smutkiem odłożył flet na miejsce. Koń? Tutaj... Żeby nie wiem jaki wspaniały był ów dar, to nie zda się na nic wobec takiej przeszkody.

A to byłoby znakomite wyjście, pokonać jar sposobem elfów.

Piekły go stopy. Mimo ostrożności poparzył je sobie na gorących kamieniach, wszystko trwało zbyt długo, by mógł tego uniknąć. Ze zmęczenia kręciło mu się w głowie, wiedział, że powinien się przespać, ale nie miał na to czasu, chciał jak najszybciej skończyć. Kto miałby ochotę siedzieć bez potrzeby w takim koszmarnym jarze?

Zauważył coś kącikiem oka. Coś, czego jeszcze przed chwilą tu nie było.

Oko Nocy odwrócił się i aż podskoczył z wrażenia.

Za nim stał ogromny niedźwiedź i przyglądał mu się uważnie.

Och, nie, dość już drapieźników, więcej nie zniosę, a nie chcę zabijać...

Nagle zastanowił się. Niedźwiedź? Moje zwierzę opiekuńcze?

- Czy to ty? - zapytał niepewnie. - Moje zwierzę opiekuńcze?

Niedźwiedź ani drgnął. Nie wyglądał agresywnie. Ale przyjaźnie też nie.

Głazy dudniły w dolinie. Niezwykła muzyka wiatru zawodzącego pośród skał, nieustanna, żałobna pieśń.

Oko Nocy podszedł do niedźwiedzia i pogłaskał go ostrożnie po głowie. Szorstkie, jasnobrązowe futro, ciemniejsze na grzbiecie. Delikatnie przesunął ręką po pysku zwierzęcia, tuż przy chrapach, tak jak się pieści szczeniaki, bo właśnie tych miejsc matka dotyka językiem, więc sprawia im to przyjemność i daje poczucie bezpieczeństwa.

Może niedźwiedzice tak nie postępują wobec swoich małych? Skoro jednak niedźwiedź najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, Oko Nocy kontynuował pieszczotę, przemawiając przy tym:

- Ja wiem, że już przedtem towarzyszyłeś mi w niebezpiecznych wędrówkach. Dziękuję ci za wsparcie, jakie mi okazywałeś. Czy zechciałbyś teraz zostać moim wierzchowcem?

Niedźwiedź zwrócił ku chłopcu swój ciężki łeb i spojrzał mu w oczy. Gęsta grzywa poruszyła się. Zwierzę nie jest młode, zauważył Oko Nocy. Niedźwiedź przesyłał mu swoje myśli.

Oko Nocy, który miał przy sobie cudowny aparacik Madragów, zapytał zdumiony:

- Jeśli w zamian za to dam ci wody? Ależ oczywiście, mój najlepszy przyjacielu, no wiesz, to naprawdę drobiazg!

Chciał wyjąć butelkę, ale niedźwiedź potrząsnął łbem tak gwałtownie, że kurz uniósł się nad doliną.

- Ach, tej wody! - domyślił się Indianin. - Naturalnie, dostaniesz. Jeśli tylko uda mi się ją zdobyć! W takim razie do dzieła! Jesteś gotów?

Wdrapał się grzbiet ogromnego zwierzęcia, usiadł na nim okrakiem, nie bez zdenerwowania, trzeba przyznać, po czym zagrał na flecie.

Oko Nocy nigdy przedtem nie poruszał się sposobem elfów. Ale towarzyszył Faronowi, kiedy ten stosował tempo Obcych, i, jak się okazuje, było prawie tak samo, tylko dużo szybciej.

Widział, jak ziemia umyka im spod stóp w szalonym pędzie, muzykę słyszał teraz jako jeden przeciągły dźwięk, mknęli przez dolinę niczym rakieta. Kamienie nadal leciały w dół, ale w nic nie trafiały, nie spadały, Oko Nocy widział je zawieszane w powietrzu jak szaroczarne znaki. Niedźwiedź zręcznie omijał te, które już leżały na ziemi, albo je po prostu przeskakiwał. Nie trwało długo i opuścili dolinę.

Zwierzę opiekuńcze zatrzymało się, Oko Nocy zeskoczył na ziemię. Gorąco podziękował za wspólną drogę i zapewnił, że spełni obietnicę najlepiej jak potrafi. Ale jego

towarzysz miał coś jeszcze do powiedzenia:

- Dojdiesz niebawem do rzeki, ale to nie będzie przeszkoda, zbyt łatwa jest do pokonania, po prostu musisz ją przepłynąć. Umiesz pływać, prawda?

- Oczywiście!

- Powinieneś się przez nią przedostać, żeby dojść do kolejnej trudnej przeprawy.

Oko Nocy musiał z całych sił stłumić w sobie pragnienie, by zawołać: Zostań ze mną, dopóki nie pokonam tych wszystkich diabelskich przeszkód! Uśmiechnął się tylko blado i skinął głową.

Potem niedźwiedź po prostu zniknął. Rozpłynął się w powietrzu.

- Uff! - odetchnął Shama siedzący obok Marca. - Nawet nie zdążyłem zapalić przed nim światełka.

- Tak, ale należało mu się takie przyspieszenie po długich godzinach, jakie spędził nad tym potwornym wrzątkiem - uśmiechnął się Marco.

- Jasne, jasne, ależ on jest sprytny! Po prostu fenomenalny!

To ze strony Shamy wielka pochwała.

- Ale zdołał przejść? Dotarł do właściwego punktu?

- Tak jest - odparł Shama nieoczekiwanie sucho. - Teraz znajduje się we właściwym punkcie. Jak sobie z tym poradzi... Idę go wspierać. Mam nadzieję, że tym razem zdążę mu zapalić światełko. Byłoby okropne, gdyby teraz zabłądził i gdzieś nam się zgubił.

Marco zadrżał na myśl o czymś takim.

Shama poszedł.

Grota wydała się nagle pusta i nieprzytulna. Oczekiwanie przeciągało się w nieskończoność. Shiry i Mara nie dręczyło zmęczenie, są przecież duchami i nie potrzebują snu. Marco również obywatł się bez snu bardzo długo, ale teraz „bardzo długo” dobiegało końca.

Umościł się wygodnie i myśląc z troską o tym, jak też Oko Nocy, będący tylko zwyczajnym człowiekiem, radzi sobie bez wypoczynku, zasnął.

Nie zauważył, że do groty weszły jakieś milczące istoty.

Przyglądały się niezmiernie urodziwemu mężczyźnie o leciutko połyskliwej skórze...

Potem popatrzyły po sobie i skinęły bez słowa.

Rzeka wyglądała dość zwyczajnie. Płynęła przed nim powoli i spokojnie, prawie niezauważalnie. Żadnych problemów, niezbyt szeroko.

Nic dziwnego, skoro przeprawa ma stanowić przejście do innej, poważniejszej przeszkody. Po prostu oddziela jedną od drugiej.

Oko Nocy skoczył w nurt i zaczął płynąć.

Ledwie pokonał parę metrów, a w jego głowie pojawiły się myśli o najrozmaitszych plemiennych wierzeniach.

Duchy wody, na przykład!

Jakże mógł o nich zapomnieć? Było ich wiele, miały różne imiona, jedne potrafią wzmacniać ciało i duszę pływaka, inne są straszne i śmiertelnie niebezpieczne! Oko Nocy o mało nie zawrócił.

Ale co tam, czyżby się bał potworków i upiorów? On, mieszkaniec Królestwa Światła, zaprzyjaźniony z Ludźmi Lodu i rodziną Czarnoksiężnika? A na dodatek kształcony przez swoją starszyzną plemienną.

Wśród jego przyjaciół wielu to duchy. Niektórzy chcieliby ich wprawdzie nazywać upiorami, ale to błąd, on tak nie czyni, bo dobrze zna różnicę między duchem a upiorem.

Teraz istoty z zaświatów nie dawały mu jednak spokoju. Uczynił jeszcze kilka zamasztych ruchów i...

Nieprawda, oczywiście, że się boi upiorów! Cały zeszywniał w wodzie i nie był w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą. Z niezwykłą wyrazistością przypominał sobie upiory ze skamieniałej doliny. Jeden z nich wdarł się do jego ciała i przejął jego tożsamość.

A oto teraz on płynie sobie, jakby duchy wody w ogóle nie istniały.

Zawracaj, Oko Nocy, zawracaj! Ale... Czyż obok niego nie płynie jakieś kosmate zwierzę?

W końcu zdołał odzyskać kontrolę nad napiętymi do ostateczności nerwami i płynął dalej. Trudno powiedzieć, że spokojnie i w sposób opanowany, woda dosłownie pieniała się pod uderzeniami jego ramion, mimo wszystko jednak posuwał się naprzód i we właściwym kierunku.

Kiedy znalazł się przy brzegu, błyskawicznie wyskoczył.

Dysząc ze zmęczenia i strachu, stał długo i czekał, aż woda z niego ścieknie. Dlaczego nie włożył na siebie najzwyczajniejszego, bardziej prostego ubrania? Musiał popełnić ten sam

błąd co Shira, mimo że ona go tyle razy przestrzegała? Czuł skórzane spodnie i kurtkę lepiące mu się do ciała, kłępujące ruchy, chyba zrobiły się za małe na dorosłego mężczyznę, musiał wyglądać jak wyrośnięte dziecko.

To, oczywiście, nieprawda, wyczerpanie sprawiało jednak, że wszystko widział w czarnych barwach.

I dokąd to teraz dotarł?

Daleko, daleko stąd lśniło małe światełko Shamy.

Zawsze jakieś wyjście.

Ale gdy wyszedł ze stosunkowo jasnego jaru znowu ogarnęły go nieprzeniknione ciemności. Jar ciągnął się również po tej stronie rzeki, choć spadających kamiennych bloków tutaj nie było, za to krawędzie skał w górze niemal się ze sobą stykały, wyglądało to jak skalny korytarz we wnętrzu góry, gdzie panowały głębokie ciemności, a skalne ściany przesłaniała mgła.

Oko Nocy zaczynał mieć dość tej wiecznej nocy. Jak można walczyć, skoro człowiek nic nie widzi?

Widocznie jednak o to właśnie chodziło. Nikt nigdy nie miał mieć szansy trafienia do źródła jasnej wody.

Ale on powinien! Właśnie w tej chwili myślał tylko o tym i aż się palił, żeby osiągnąć to jak najszybciej.

Przez chwilę stał bez ruchu. Ogarnęło go przemożne uczucie, że nie jest sam.

W głębi skalnego korytarza znajdowało się coś naprawdę nieprzyjemnego.

Na ścianach coś siedziało. Wszędzie siedziało coś, co nie spuszczało zeń wzroku. Poczuł chłód na plecach, miał ochotę wrzeszczeć i wzywać pomocy. Tylko kto by go usłyszał?

Nie wiedział, co to jest, ale absolutnie nie chciał mieć z tym do czynienia. Wyczuwał, że to owo nieznane czai się na niego.

Gargulce? Groteskowe figury, zwane również rzygaczami, służące do odprowadzania deszczowej wody z wież gotyckich kościołów? Przerazające diabelskie postacie... Nie, te złowieszcze, na pół niewidzialne istoty wysoko na skałach się poruszają.

Czy to kobieta, zamierzająca go uwieść? Troll? A może zły duch? Nie mógł się zorientować, co to, wszystko było niewyraźne i zmienne.

Najlepiej nie patrzeć w tamtą stronę. Patrz przed siebie, Oko Nocy, niczym się nie przejmuj, bo to pewnie i tak tylko przywidzenie.

Radził sobie nieźle, przeszedł spory kawałek, a nic się nie stało. Dolina rozszerzała się

powoli, w końcu miał przed sobą otwartą równinę. To znaczy myślał, że ma przed sobą równinę, bo widział jedynie gęstą, nieprzeniknioną mgłę.

Czyżby tak łatwo poradził sobie z tą ostatnią przeszkodą?

Nie, nie, coś się tu nie zgadza. Światełko Shamy nadal mruga daleko stąd, a kiedy Oko Nocy spogląda w dół, to nie widzi już ziemi. I to mimo że na równinie było jaśniej niż między skałami. Szedł po jakimś podłożu, ale nie miał pojęcia, co to jest.

I nagle rozpętało się piekło.

Z ciemnej jamy za nim rozległ się straszny ryk. Nie oglądaj się, powiedział sobie Oko Nocy w duchu i przyspieszył kroku. Biec nie chciał, to by oznaczało utratę twarzy. Indianin nigdy tego nie robi, chyba że już naprawdę nie ma innego wyjścia.

Pewnie niedługo skończą się te próby? Po strasznym ryku zaległa przytłaczająca, pełna oczekiwania cisza, podczas której Oko Nocy zaczął się zastanawiać, chciał policzyć, ile ma już za sobą tych prób. Umysł miał jednak skrajnie wyczerpany, odczuwał skutki niewyspania i w ogóle długi brak odpoczynku i nieustannej aktywności fizycznej; doznania psychiczne również bardzo dawały mu się we znaki, zupełnie nie mógł się skupić. Czuł się pusty w środku, dokuczał mu głód, ale prowiant skończył się już jakiś czas temu.

Ileż tego było? Wejście do wnętrza góry, przejście ponad wodospadem, balansowanie na pokruszonej grani, którą trzeba było kleić, drapieźniki w lesie, przeciskanie się przez wąską szczelinę, grotta z owadami, grotta z wrzącą wodą, wypełniona gorącymi oparami, jar, w którym głazy nieustannie spadały ze ścian... A zatem jedna, dwie, trzy... przeszkody. No i w końcu ta, w której nie wiadomo, o co chodzi, czyli dziewiąta. Jeśli i z tą sobie poradzi, to czekać go będą jeszcze dwie.

Tylko z czym tu sobie radzić? Tu chyba nie ma żadnych trudności?

Oko Nocy czuł zmęczenie niczym ołowianą pelerynę ciężącą na plecach. Wiedział, że powinien się przespać, no ale przecież nie tutaj, i jak najprędzej musi zdobyć coś do jedzenia, a przede wszystkim nie wolno mu zapominać o czekających na zewnątrz. Może im się znudziło? W każdym razie długo już tego nie zniosą, powinien się spieszyć, jest tak strasznie zmęczony, i gdzie się w ogóle znajduje...?

Wtedy usłyszał za sobą jakieś człapiące kroki, jakby zbliżało się wiele istot. Zerwał się na równe nogi.

Widocznie ci, którzy obserwowali go w ciasnym pasażu, teraz wyruszyli na polowanie.

Obejrzał się gwałtownie. Nie zamierzał uciekać. Kiedy jednak zobaczył, kto idzie za nim w gęstej mgłę, przemknął go lodowaty strach. Najpierw nie bardzo wiedział, co to

takiego, mgła skutecznie ograniczała widoczność. Majaczyły mu tylko jakieś szybko się za nim posuwające figury. Co to?

I oto ujrzał.

Demony! Indiańscy przodkowie nazywaliby je pewnie złymi duchami, lecz Oko Nocy przez całe swoje życie mnóstwo czasu spędzał wśród białych. Dla niego były to demony, a że mają złe zamiary, nie ulegało wątpliwości. Zanim zdążyły się na niego rzucić, uniósł rękę.

- Stać! Czy nie widzicie, kim jestem?

Zatrzymały się i z niepokojem wbijały wzrok w przedmiot, który trzymał w ręce.

To dar od Marca.

„Używaj go tylko w najwyższej potrzebie - ostrzegął książę Czarnych Sal - To oznaka godności, jaką piastuję w królestwie mego ojca, jest bardzo dobrze znany w licznych kręgach, z którymi się raczej nie widzimy. I po wszystkim muszę go dostać z powrotem”.

Wtedy Oko Nocy nie zrozumiał słów Marca. A ów przedmiot to była gwiazda o bardzo długich, ostrych ramionach. Oprócz trzeciego kawałka sznura elfów ostatnia rzecz w jego torbie, ostatnie wsparcie.

Miał tylko szczerą nadzieję, że dobrze rozumie znaczenie gwiazdy.

Demony, których widok nie należał do przyjemności, stały nieporuszone, jakby skamieniały na widok gwiazdy. Oko Nocy z łatwością nadał jej kształt Lucyferowej Gwiazdy Porannej.

Dla pewności dodał jeszcze zasadniczym tonem:

- Jestem przyjacielem islandzkich czarnoksiężników, tak biegłych w czarnej sztuce, że moglibyście im zazdrościć. Do moich najbliższych towarzyszy należą też Ludzie Lodu.

Tego było demonom aż nadto. Nie ulegało wątpliwości, z jakimi zamiarami tu przyszły, co chciały mu zrobić, po tej przemowie jednak ugięły przed nim kolana.

W tej sytuacji mógł sobie pozwolić na pytanie:

- A co tacy jak wy robią tak blisko źródła dobrej wody?

Odezwał się jeden, mówił głosem tak chrypliwym, jakby w ogóle nie miał strun.

- A jak myślicie, Wysoki Mistrzu? Przecież nie możemy dopuścić, żeby ktoś się do tego przeklętego źródła przedostał. Stróżujemy przy nim, ponieważ go nienawidzimy. Jego woda nie może się rozprzestrzenić po świecie i zniszczyć rezultatów naszej pracy w umysłach ludzi. Wy jednak pochodzicie z wysokiego rodu, Mistrzu, demony z rodu Ludzi Lodu znamy bardzo dobrze. Rozumiemy, że zamierzasz zniszczyć to nienawidzone źródło, więc życzymy ci szczęścia w drodze.

Wszystkie pochyliły się głęboko i wycofały do skalnego wąwozu.

Oko Nocy odetchnął. Nie wyprowadził ich z błędu, ale też nie potwierdził ich przypuszczeń. Pewnie nie uradowałyby ich jego plany, ale to już trudno. Dość pospiesznie opuścił nieprzyjemne miejsce.

Światło Shamy prowadziło go we właściwym kierunku.

Teraz został mu już do pomocy tylko trzeci sznur elfów.

Ale próby czekają go jeszcze dwie. Ciekawe, jak sobie poradzi?

Jeszcze jedna grotą?

Oko Nocy westchnął. Miał szczerą nadzieję, że to ostatnia, zaczynał już dostawać idiosynkrazji, czyli gwałtownej niechęci do grot. Stał bez ruchu przed otworem wejściowym.

Kompletne ciemności. Jedyne, co widział, to światełko Shamy na drugim końcu. A Oko Nocy naprawdę nie miał już sobie czym poświecić. Nagle w jakimś miejscu zaczęło się bardzo głośne bicie w bębny i młody Indianin przypomniał sobie wędrówkę Shiry.

Grotę Shamy, w której Shira walczyła o życie przez całą noc i pół dnia, bez wsparcia Mara.

Oko Nocy z drzeniem wciągał powietrze. Jeśli posłaniec Śmierci dotrzymuje obietnicy, to powinien tę grotę przebyć bez najmniejszych kłopotów.

Trzeba zaufać Shamie.

Przestraszony, ale zdecydowany odnieść sukces wkroczył na kamienną podłogę i niepewnym krokiem podązał przed siebie.

Niczego tej podłodze nie brakowało, była bardzo gładka i szło się po niej lekko. Dotarł do środka, a skoro nic mu nie przeszkadzało, ruszył dalej, teraz już pewniejszym krokiem.

Ale oddech wciąż wstrzymywał. Przez całą drogę, aż do światełka Shamy.

Wtedy odetchnął. Bóg kamieni i naglej śmierci dotrzymał słowa.

Shama opadł na ziemię obok Marca.

- No, to zdaje się, że ja zrobiłem swoje. Od tej chwili musi sobie radzić sam.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Pomogłem mu przebyć moją grotę. Teraz została mu już tylko jedna przeszkoda. A ta... Och, nie! Zapomniałem, muszę mu jeszcze raz zapalić gwiazdę przewodnią, ale to już naprawdę będzie ostatnia. - Rozejrzał się po grocie, sprawiał wrażenie, jakby węszył. - Ktoś cię tu odwiedzał?

- Mnie? - zdziwił się Marco. - Nie, ja przez cały czas spałem, ocknąłem się krótko przed twoim przyjściem.

Shama bąknął tylko:

- Hm. - A potem dodał szybko: - Muszę już lecieć. Potem pójde na chwilę do Shiry i Mara. Zobaczymy się wkrótce, mam nadzieję.

Marco chciał zapytać Shamę o tyle rzeczy, ale jego wizyty mijały bardzo szybko. I,

naturalnie, znacznie ważniejsze jest, żeby Shama pokazywał drogę Oku Nocy, niż siedział tu i gwarzył sobie. Sen ulotnił się na dobre, Marco usiadł więc i zaczął się zastanawiać nad tym, co Shama powiedział.

Czy rzeczywiście miał jakąś wizytę? W czasie snu?

Tylko kto w ogóle mógłby go odwiedzać? Nikt przecież nie może przebywać na tym terenie, nawet Shira i Mar.

Nie, naprawdę nikogo nie mogło być. Wstał i uważnie badał grotę.

Żadnych śladów na ziemi, ani w środku, ani na zewnątrz. W każdym razie żadnych innych niż jego i Oka Nocy. Shama nie zostawia śladów. Ptaszyska? One też nie pojawiają się w pobliżu źródeł.

Głupstwo, coś mu się zdawało.

Marco podjął swoje samotne czuwanie w wielkiej ciszy.

No, oczywiście, pomyślał Oko Nocy ze złością. Znowu będę się musiał wspinać!

Musiał odchyłać głowę do tyłu, żeby móc patrzeć w górę. Widział tam światełko Shamy na jakimś występie, bardzo, bardzo wysoko. Takie widoczki pokazują w telewizji alpinieści, wiszą sobie pod skalnym występem i zachowują się tak swobodnie, że człowiekowi robi się niedobrze, łążą po skale niczym muchy.

Dla mnie to bagatelka, pomyślał Oko Nocy, wyjmując ostatni kawałek sznura elfów. Różnych środków pomocniczych było, jak się okazuje, dokładnie tyle ile trzeba. Zwłaszcza że w grocie Shamy nie musiał korzystać z żadnej pomocy, dzięki samemu Shamie, oczywiście. Trzeba pamiętać, żeby mu podziękować kiedy - lub jeśli - się spotkamy.

Ostatnia przeszkoda...

Koniec sznura elfów sterczał ponad krawędzią występu wysoko w górze i szukał jakiegoś punktu oparcia. Oko Nocy natychmiast wspiął się po linie, tego rodzaju ćwiczenia gimnastyczne wykonywał od bardzo dawna.

Na samej górze przeczołgał się na krawędź, potem usadowił się na szerokiej półce i... wszelka odwaga go opuściła.

Zbyt pośpiesznie użył ostatniego kawałka sznura elfów, albo inaczej: wspiął się na nim za nisko.

Góra przed jego oczyma ciągnęła się bowiem wyżej, zdawało się w nieskończoność, bo szczyt ginął w gęstej mgłę. Po prostu znowu nic nie widział.

Z wyjątkiem jednego: Po raz ostatni z tego morza mgły mrugało do niego światełko Shamy, pomrukało, pomrukało i zniknęło. Nie miał nigdy więcej go zobaczyć. Oko Nocy

koncentrował się całą siłą woli. Był śmiertelnie zmęczony, poza tym doznał rozmaitych obrażeń na całym ciele. Choć maść Farona uleczyła ślady po ukąszeniach i wcześniejsze oparzenia, to i tak zostało wiele innych ran, które pojawiły się podczas długiej wędrówki. Był głodny i zniechęcony, i w takim stanie miał rozpoczynać kolejną wspinaczkę w nieznaną, i to bez żadnego sprzętu alpinistycznego.

Rozumiał tylko tyle, że wspinaczka jest sama w sobie przeszkodą. Nie musiał się obawiać żadnego ataku, mógł się wspinać w spokoju.

Dlaczego, dlaczego nie zachował jednego sznura elfów? W każdym razie ostatniego.

Trzeba było zaczynać, nie ma na co czekać, to tylko strata czasu i sił.

Ale jak wchodzi się na taką górę?

Bardzo uważnie studiował skalną ścianę, żeby znaleźć jakiś punkt oparcia. Jeśli w ogóle coś takiego tu było.

W końcu wyznaczył sobie najłatwiejszą, jak mu się zdawało, drogę i ruszył. Ściana była prawie pionowa, ale na szczęście nie miała wielu występów i nawisów, przynajmniej w zasięgu jego wzroku. Wczepiał się palcami w niemal niewidoczne szczeliny, a potem przesuwiał stopy w te same miejsca. Mokasyny schował do torby, skórzaną kurtkę również. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zostawić na dole większości bagażu, ale ponieważ nie wiedział, którędy przyjdzie mu wracać, nie chciał ryzykować, że wszystko straci.

Przez jakiś czas szło mu dość dobrze. Rozsądnie, zastanawiając się nad każdym ruchem, posuwał się w górę. Trzy razy mało brakowało, a byłby spadł, krzyknął przerażony, ale zawsze jakoś zdołał się utrzymać. Nerwy miał napięte, pokaleczone palce krwawiły, mięśnie ramion bolały nieznośnie z wysiłku. W końcu jednak stwierdził, że już się nie ruszy, bez pomocy dalej nie pójdzie.

- No i jak idzie? - zapytał Shama swoich przyjaciół, Shirę i Mara.

- U nas dobrze - odparła Shira. - Pytanie natomiast, jak sobie radzi Oko Nocy.

- Atakuje teraz ostatnią przeszkodę, ale to powinien zrobić na własną rękę. Ja zakończyłem usługi, a jego zbiór środków pomocniczych też się wyczerpał. Musi polegać wyłącznie na własnej wytrzymałości.

- Na tym etapie podróży ja byłam taka zmęczona, że wyglądałam jak przekłuty balon - westchnęła Shira.

- On też się do takiego stanu zbliża - Shama się uśmiechał, ale na jego twarzy malowała się troska. - Na sam koniec zostawili przeszkody chyba najbardziej męczące, wymagające siły i hartu. Jeśli więc zostało mu jeszcze choć trochę, to...

- No właśnie! - wykrzyknęła Shira. - Znam to bardzo dobrze.

Shama zagryzał wargi.

- Jedno mnie niepokoi...

- Jedno? - przerwał mu Mar. - Mamy chyba mnóstwo zmartwień!

- To prawda, ale moje zmartwienie nie dotyczy Oka Nocy. Otóż Marco miał odwiedzin. Spał i powiada, że niczego nie zauważył, ale ja wszystkimi zmysłami wyczuwam w jego grocie coś niepokojącego.

- Kto by to mógł być?

- Pojęcia nie mam.

Umilkli. To było całkiem nowe zagrożenie i zupełnie niepojęte.

Czy powinienem zejść na dół? zastanawiał się Oko Nocy zgnębiony. Ale to by była straszliwa porażka. Równoznaczna z całkowitym poddaniem się, bo najwyraźniej nie istniała inna droga w górę.

Spojrzał w dół. Znajdował się już tak wysoko, że skalna półka, na której przedtem siedział, wyglądała teraz bardzo niepozornie. Potwornie bolały go mięśnie, każdy najmniejszy muskuł w jego ciele drżał tak, że trudno to było wytrzymać.

Oko Nocy za nic nie chciał schodzić!

Ale teraz jest pozostawiony samemu sobie. Nikt nie może mu pomóc.

Przypomniał sobie starą indiańską legendę. Kiedy niedawno przepływał rzekę, myślał o duchach wody, tych niebezpiecznych, które mogłyby mu wyrządzić krzywdę. Istnieje jednak ktoś, kto może uratować Indianina, który dostał się w szpony złych duchów wody i zaczyna tonąć. To Orzeł Burzy.

Czyż ojciec Oka Nocy nie nazywa się Ptak Burzy? Jak często w czasie tej wyprawy przyzywał na pomoc indiańskie bóstwa?

Naprawdę bez przesady. Jeśli o to chodzi, to zachowywał się bardzo powściągliwie.

Co prawda szamański bębenek pomógł mu przejść przez skalną ścianę, niedźwiedź, jego zwierzę opiekuńcze, też mu pomagał, choć go wcale nie wzywał. Czy więc nie powinien teraz...?

Zrozpaczony, gdy z bólu pot zalewał mu twarz, zaczął przyzywać duchy przodków i wielkiego boga Wakan Tanka.

Prawie nie miał oparcia dla stóp. Tylko jedną wsunął w bardzo płytką szczelinę, czy oparł na jakimś niewielkim występie, sam nie wiedział, palce zsuwały się po gładkiej powierzchni, trzeba wybierać: próbować iść w górę czy w dół, bo i to, i to było tak samo trudne.

W powietrzu zaszumiało. Coś jakby ciężkie skrzydła. Oko Nocy bał się spojrzeć w tamtą stronę, poczuł natomiast, że ostre szpony wczepiają się w kurtkę na barkach. Ciemnobrązowe skrzydła trzepotały nad jego głową, Oko Nocy odetchnął i zrozumiał, że jest podtrzymywany i że wolno unosi się w górę.

Czy zasłużyłem sobie na tyle szczęścia? zastanawiał się. Zasłużyłem, uznał.

Orzeł wiódł go po absolutnie gładkiej ścianie, do której nikt ani nic nie zdołałoby się przyczepić. Tutaj bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu znajdował potwierdzenie, że

źródło dobrej wody nigdy nie miało zostać przez nikogo odkryte.

Przez moment pomyślał o gondoli lub innej latającej maszynie. Ale nie, nikt by się też nie dostał w okolice źródła z powietrza. W każdym razie żaden człowiek. Wiedział, że to terytorium otacza niewidzialny mur.

Nieoczekiwanie został posadzony na niewielkim płaskowyżu. Nawet nie zdążył podziękować orłowi, ptak zniknął we mgle.

Gdzie się teraz znajduje? Na szczycie?

Nie, nie wierzył w to. Zdawało mu się, że nieco dalej na płaskowyżu widział stromą górską ścianę. Już miał wyruszyć w tamtą stronę, kiedy z tumanu mgły wyszły cztery postaci i skierowały się ku niemu. Oko Nocy stanął jak oniemiały. Kolejna przeszkoda? Czego te cztery postaci od niego chcą?

Zatrzymały się w pewnej odległości. Jakby dawały mu czas, żeby się im przyjrzał.

Powoli zaczęło docierać do jego świadomości, że je zna. Wszystkie. Wie, kim są.

Jedna z postaci była przezroczysta i niebieskawa jak powietrze. Inna miała na sobie brunatnoziemistą pelerynę. Trzecia mieniła się zielenią i błękitem niczym morze, a ostatnia była jak płomień, czerwonożółta.

To przecież cztery żywioły Shiry: Duch Powietrza, Ziemi, Ognia i Wody.

Mimo woli przyklęknął z szacunkiem. Przybyli uprzejmie odpowiedzieli na jego ukłon.

- Domyślaliśmy się, że ty też będziesz chciał tu przybyć - rzekł Ogień z humorem. - Kim jesteś, młody poszukiwaczu przygód, mający tak dobrych pomocników?

Oko Nocy wstał. Powiedział z godnością:

- Jestem Oko Nocy, pochodzę z Indian północnoamerykańskich. Jestem Siuksem z plemienia Oglala. Tutaj przybyłem z Królestwa Światła, żeby pomóc w zdobyciu czegoś, co uratuje ziemię przed zagładą. Potrzebujemy składnika do eliksiru, który jest do tego niezbędny. Ten składnik to jasna woda ze źródła dobra.

Teraz zabrał głos Duch Wody:

- To bardzo szlachetny cel. Ale takiej podróży nie mogłeś odbyć sam. Szliśmy za tobą i widzieliśmy, że bez trudu wydobywałeś się z największych opresji. Pomagały ci a to niedźwiedź, a to orzeł. Najwyraźniej posługujesz się jakimś znakiem, który jest wysoko ceniony w obu obozach, i dobra, i zła.

Słowa Ducha Powietrza brzmiały jak szept letniego wiatru:

- Bawiliśmy się znakomicie, obserwując twoje kręte ścieżki i patrząc, jak usuwasz wszelkie trudności.

Czy moja droga była kręta? No tak, chyba tak, w przeciwnym razie musiałbym przebyć nieprawdopodobną odległość, znajdowałbym się dziesiątki kilometrów od moich przyjaciół.

- Nawet Shama stoi po twojej stronie - powiedziała Ziemia. - Za to powinienesz dziękować naszej wychowance, Shirze.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł Oko Nocy uprzejmie. - I Shama rzeczywiście zrobił dla mnie bardzo dużo. To nieoceniona pomoc.

- Świetnie, że dla odmiany mógł się okazać choć trochę pożyteczny - rzekł Ogień cierpko. - Ale wszystkie te środki, którymi się posługiwałeś... czasami to było straszne. Jednak wolno ci było i nigdy nie przekroczyłeś swoich praw.

Duch Powietrza ostrzegawczo uniósł palec.

- Tylko raz mało brakowało, a byłbyś się potknął.

- Wiem. Przy spotkaniu z demonami. Znalazłem się na krawędzi kłamstwa.

- Właśnie. Ale jej nie przekroczyłeś.

- Powiedz mi - zapytał Duch Wody. - Jak jest tam u was, w Królestwie Światła? Czy rzeczywiście tak wielu potrafi tworzyć takie cuda jak te, którymi się posługiwałeś?

- Tak. Naprawdę wielu. Mamy nawet jednego ducha wody. Nazywa się pani Woda.

- To moja siostra! - zawołał tamten radośnie. To ona u was mieszka?

- Tak jest. A razem z nią pani Powietrze - wyjaśnił Oko Nocy uprzejmie.

- To z kolei moja siostra - wtrąciła władczyni powietrza.

Teraz wszystkie żywioty rozmawiały przez chwilę między sobą, mówiły przyciszonymi głosami.

Potem Ziemia zwróciła się znowu do Indianina:

- Ale ty sam też musisz pochodzić z potężnego rodu?

- Nigdy nie rozumiałem dobrze, co to znaczy potężny ród. Ale teraz jestem bardziej niż kiedykolwiek dumny ze swojego pochodzenia.

- Znak na twoim czole wskazuje, że jesteś wybranym - stwierdził Ogień. - Tak jak niegdyś Shira. Tylko że Shirę to my wybraliśmy.

- Czy pozwolicie na jedno pytanie?

Wszyscy czworo skinęli głowami.

- Mam taką teorię... Spadające kamienie, demony, drapieżniki, owady, te wszystkie przeszkody... one nie są trwałym elementem tutejszego świata, prawda? Pojawiają się tylko czasami.

- Masz rację. To wszystko dzieje się tylko wówczas, kiedy ludzie podejmują

wędrówkę przez grotę. Ty jesteś pierwszy.

Oko Nocy pozwolił sobie na leciutki uśmiech.

Duchy żywiołów podeszły bliżej. Oko Nocy chciał dokładniej wypytać o teren, na którym się znajdują, ale nie miał odwagi. Był niemal oślepiiony ich wspaniałością.

Duch Wody trzymał w dłoniach pięknie zdobione kryształowe naczynie. Podał je Oku Nocy.

- Chcielibyśmy, żebyś je dla nas napełnił.

- Bardzo chętnie, tylko jak ja to wszystko udźwignę?

Uśmiechnęli się.

- Kiedy znajdziesz się koło źródła, powinieneś zdjąć ubranie i zostawić je razem z całym bagażem. Koncentruj się wyłącznie na tym, by nabrać jak najwięcej wody, bo wasza szlachetna ekspedycja będzie jej potrzebować bardzo dużo. Pamiętaj, że Shira po zakończeniu wyprawy odzyskała swoje rzeczy.

- Tak, rzeczywiście - przyznał Oko Nocy uradowany. - W takim razie proszę bardzo, zabiorę waszą butelkę. Ale czy później jeszcze was spotkam?

Duch Wody uśmiechnął się tajemniczo.

- To nie nam jest ona potrzebna. To dla twojego pięknego przyjaciela, który czeka w grocie. Jemu ją oddaj. A my odwiedzimy go, żeby wyjaśnić, co ma z nią zrobić.

Oko Nocy głęboko wciągnął powietrze.

- No i najważniejsze dla mnie pytanie: Jeśli już dojdę do źródła i napełnię pojemniki... to jak stąd wyjdę? Czy będę musiał znowu pokonać całą trasę, tylko w odwrotnym kierunku?

Wiedział, że nie starczyłoby mu na to sił. Już teraz ledwo się trzyma na nogach. Sama myśl, że miałby pokonać jeszcze raz te same przeszkody, mogła go załamać. Demony... Przejście ponad wrzącą wodą...

- To, jak wrócisz, powinno być dla ciebie najmniejszym zmartwieniem - uśmiechnął się Duch Ziemi. - Przypomnij sobie, w jaki sposób wróciła Shira, i kieruj się własną intuicją! Mieliśmy okazję się przekonać, że rozwinąłeś ją znakomicie.

- Dziękuję bardzo. W takim razie nie mam więcej pytań.

Ogień unióś rękę, płomienna peleryna spływała z jego ramion.

- Jeszcze tylko jedno: Zrobimy wiele dla twojego urodziwego przyjaciela, przyglądaliśmy mu się jakiś czas temu, kiedy spał. Chcielibyśmy, żeby w podziękę za naszą pomoc pozwolono nam przenieść się do Królestwa Światła.

O rany, przestraszył się Oko Nocy. Ja przecież nie mam prawa składać takich obietnic! Ale... Shamie już obiecano... a ci tutaj z pewnością nie są od niego gorsi. Raczej

przeciwnie.

- Użyję jako wybrany wszelkich moich wpływów, żebyście uzyskali pozwolenie. Sądzę, że nie będzie problemów.

Duchy żywiołów dziękowały. Potem poprosiły, by poszedł z nimi, i cały orszak skierował się ku górze, która Oku Nocy majaczyła w oddali przed tym doniosłym spotkaniem.

Tam duchy wskazały mu wejście, życzyły powodzenia, po czym się pożegnały.

Wokół Oka Nocy robiło się coraz ciemniej, im dłużej szedł krętą drogą, tym było gorzej. Jak ja tu znajdę to źródło, zastanawiał się z niepokojem. W tych ciemnościach?

Ledwo jednak zdążył pomyśleć, a mrok zaczął się rozjaśniać. Najpierw pojawił się mdły blask tuż nad podłogą skalnego korytarza, w miarę upływu czasu światło stawało się coraz bardziej intensywne. Gdzieś w pobliżu słychać było szum wodospadu.

Serce Oka Nocy zaczęło bić mocniej. Jakby do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, czego dokonał, ani że znajduje się u celu. Właściwie chyba nigdy tak naprawdę w siebie nie wierzył, ani w to, że kiedykolwiek zobaczy źródło.

No i oto jest tutaj. Zaraz się wszystko rozstrzygnie.

Ostatnie duchy zapewniały go, że nie musi się obawiać picia wody ze źródła, bo nie ma już żadnych zadań do spełnienia tak, jak to było w przypadku Shiry. A przecież Mar kusił ją, żeby się mimo wszystko napiła i przez to nie mogła wypełnić drugiego wyznaczonego jej zadania, mianowicie zniszczenia naczynia Tengela Złego, zawierającego wodę zła. Bo jasna woda uczyniłaby ją za bardzo ludzką.

Oko Nocy zawsze uważał, że ta historia jest okropnie skomplikowana i brak w niej konsekwencji, ale jeśli patrzeć na sprawę w pełnym kontekście, to wszystko się zgadzało.

Tak sądził.

Korytarz zakręcał.

I oto... Oko Nocy, wstrzymując oddech, stanął przed małym źródłem, wytryskującym ze skały. Prawie niewidoczne światło rozjaśniało całą tę podziemną sklepioną nawę, w której Indianin się znajdował.

Światło mieniło się fantastycznymi barwami niczym tysiące drobniutkich kropelek wody. Falowało, tańczyło, oświetlało podziemne pomieszczenie, oślepiało Oko Nocy, który patrzył z uroczystą miną i czuł pod powiekami łzy wzruszenia.

Ale w tym pomieszczeniu było coś jeszcze; jakaś niewielka rzeczka, nie mająca połączenia ani ze źródłem, ani z wytryskującą z niego wodą, ginącą w przypominającym misę zagłębieniu w skale.

Źródłana woda była krystalicznie czysta, woda w rzeczce bardziej mętna. Oko Nocy

zjął z siebie ubranie, zostawiając jedynie krótkie szorty, i ułożył wszystko na brzegu rzeczki. Tam też złożył całe swoje wyposażenie z wyjątkiem pojemników na wodę. Potem zaczął je po kolei napełniać. Pozwalał im się powiększać do takich rozmiarów, by mógł je potem udźwignąć. Na koniec napełnił butelkę duchów i zatkał ją korkiem.

Był bardzo spragniony i głodny. Wahał się przez moment, potem jednak pochylił głowę i nabrał pełne usta wody.

Oko Nocy wiedział, że to może sprawiać ból, czytał o tym w opowieściach o Shirze i o Tengelu Złym. Nie przypuszczał jednak, że mogłoby to być takie potworne.

Nie przewidział też tego, co będzie potem.

Kiedy ból ustał na tyle, że Oko Nocy mógł się wyprostować, przeżył bardzo intensywną wizję. Najpierw widział piękną twarz Berengarii, która jednak zaraz się rozplynęła, a na jej miejsce ukazała się twarz Małego Ptaszka i wtedy poczuł, że kocha tę dziewczynę czystą i prawdziwą miłością. Że tęskni za nią, by móc jej jak najprędzej powiedzieć, że nigdy nie będzie miała powodu wątpić weń i że jest mu droga bardziej niż własne życie. Było to gwałtowne, wszechogarniające uczucie i cudowna, wyzwalająca pewność.

Potem zarzucił sobie napełnione bukłaki na plecy, zanurzył się w lodowatej wodzie rzeczki, zabierając ze sobą ubranie i wszystko, co miał.

Jeszcze raz się odwrócił, żeby na zawsze utrwalić w pamięci obraz groty i źródła. Jest przecież jedynym człowiekiem, jaki je kiedykolwiek widział.

Oko Nocy starał się nie czuć lodowatego uścisku wody, od którego zeszywniał. Poruszał się z najwyższym trudem. Pozwolił się więc unosić prądowi, nie stawiał oporu.

Utrzymanie się na powierzchni wody nie zawsze jest takie łatwe. Pojemniki ciężły mu nieznośnie, ale przyciskał je rozpaczliwie do siebie. Nie mógł pozwolić na to, by utonęły i zostały tutaj, skoro już zdobył cudowną wodę. Za to ze swoimi rzeczami i wyposażeniem dawno stracił kontakt.

Nie, temu z pewnością nie podołam, myślał, zachłystując się raz po raz. Jeśli całą drogę powrotną mam przebyć w ten sposób, to w końcu utonę jak kamień.

Za nic jednak nie chciał się poddać. Wykonał przecież swoje nieludzko trudne zadanie i dotarł do źródła. Bardzo był z tego dumny. Czy więc wszystko miałoby pójść na marne tylko dlatego, że nie jest w stanie utrzymać nosa nad powierzchnią rzeki?

Najzupełniej na to nieprzygotowany znalazł się na świeżym powietrzu. Znowu w tej szaroburej ciemności, której tak serdecznie nienawidził.

Gdzie ja jestem? zdążył pomyśleć, zanim rzeka dość brutalnie wyrzuciła go na brzeg. Leżał tam i długo dyszał, w końcu był w stanie przynajmniej podnieść się na rękach. I wtedy zobaczył, że wyposażenie posuwa się w ślad za nim, a rzeka wypływa z siebie wszystko po kolei, chlup, chlup, chlup! Dziękuję, dziękuję, żeby tylko woda w rzece nie była taka lodowata!

Powtórzył znowu to samo pytanie: gdzie jestem?

Tam... Czyż to nie jest grot, do której weszli obaj z Markiem i w której Marco miał na niego czekać? W takim razie ta nieznośnie zimna rzeka musi być tą samą, przez którą się z Markiem tak mozolnie przeprawiali, tak, jest też nad nią naturalne sklepienie. Nic dziwnego, że marznie, woda w rzece jest naprawdę nieprzyjemna.

Ale jak się tu dostał w tak krótkim czasie? Widocznie duchy mówiły prawdę, że idąc do źródła krążył, w swojej dręczącej podróży zataczał łuki i chodził w kółko po terenie bardziej ograniczonym, niż przypuszczał.

Dygocząc z zimna, naciągał na siebie skórzane indiańskie spodnie w frędzlami, co nie było prostą sprawą. On sam był mokry, spodnie były mokre, a w dodatku się skurczyły. Chciał jednak wyglądać jako tako przyzwoicie, kiedy spotka przyjaciela.

Jak to dobrze, że problem Berengaria - Mały Ptaszek został rozwiązany. W tym żalonym stanie, w jakim się teraz znajdował, to prawdziwa pociecha.

Marco witał go zaskoczony i uradowany, próbował trochę go ogrzać, dał mu suche ubranie i masował plecy. Oko Nocy dostał też odrobinę jedzenia i uznał, że to najlepsze, co

go dzisiaj spotkało. Akurat w tej chwili nie miał większych wymagań, był absolutnie wykończony, pragnął tylko położyć się byle gdzie i spać.

Marco oglądał pojemniki z wodą i nagle wykrzyknął:

- A ta piękna butelka skąd się wzięła?

Oko Nocy musiał opowiedzieć. O duchach i o tym, że butelka przeznaczona jest właśnie dla Marca. Książę słuchał z największą powagą.

- Niemal się czegoś podobnego spodziewałem. Faron i Dolg coś wspominali...

Żadnych dyrektyw?

- Wiem tyle samo co ty. One...

Nie zdążył dokończyć zdania, bo w wejściu ukazały się duchy. Twarze miały uroczyste, niemal surowe.

- Pozdrawiamy cię, książę Czarnych Sal - rzekł Ogień swoim trzeszczącym głosem.

Marco odwzajemnił pozdrowienie z wielkim szacunkiem.

- Rozumiem, że zostałem wyznaczony. Podporządkowuję się. Ale czy moi przyjaciele mogliby najpierw stąd wyjść?

- Naturalnie. Czy młody Oko Nocy przedłożył już naszą prośbę?

- Przedłożył. I jestem więcej niż pewien, że zostanie rozpatrzona pozytywnie.

- Dziękujemy. To życie w niewoli u władców zła nam nie odpowiada. Nasze miejsce jest w Królestwie Światła.

- W rzeczy samej - potwierdził Marco, dobierając słowa. - W takim razie jestem gotów. Sądziłem! tylko, że nikt...

- To jest bardziej proste, niż myślisz - powiedziała Ziemia. - Oko Nocy, dzielny chłopcze, biegnij teraz do swoich przyjaciół, Shiry i Mara. A potem wszyscy uciekajcie stąd tak szybko, jak tylko was nogi poniosą albo jeszcze szybciej.

Oko Nocy, który zrozumiał, na co się zanoszą, zawołał:

- Marco, nie!

- Wszystko będzie dobrze - uspokajał go przyjaciel. - A teraz spiesz się!

Indianin wahał się przez chwilę, potem uściskał Marca pospiesznie, lży dławiły go w gardle. Pożegnał duchy uprzejmie, po indiańsku. Wiedział, że jasna woda musi dotrzeć na pokład J2.

Zabrał wszystkie cztery pojemniki i wkroczył do rzeki, by spieszyć do oczekujących go przyjaciół.

Zobaczyli go z daleka, widzieli, jak wspina się po zboczu, zgięty pod ciężkimi bukłakami. Nie był w stanie dojść do skały, upadł na stoku. Wyczerpał siły do ostatka. Shira i

Mar przybiegli natychmiast, uwolnili go od ciężaru, ulokowali bezpiecznie pod skałą, nakarmili i napoili.

Z oczu Oka Nocy płynęły łzy, ale on się tego nie wstydził.

- Wypełniłem moją część zadania, ale nasze próby na tym się nie kończą - wykrztusił.

- Utraciliśmy Marca.

Opowiedział dokładnie, na co się zanosi.

- Będę z Markiem - postanowił Mar bez wahania.

- Nie, duchy ci na to nie pozwolą - zaprotestował Oko Nocy. - A poza tym Shira i ja potrzebujemy pomocy, żeby dostarczyć wodę na miejsce. One nas błagały, żeby opuścić tę okolicę jak najprędzej.

- Ale czy zdołamy stąd wyjść? - spytała Shira zaniepokojona. - Istnieje przecież tylko jedna droga, przez Górę Zła. I czyż tego terytorium nie otacza niewidzialny mur? Przez niego też się chyba nie przedrzemy.

Oko Nocy zaczynał się niecierpliwić.

- Duchy mi powiedziały, co mamy robić. Spieszcie się, póki jeszcze czas! A poza tym w każdej chwili mogą nadlecieć ptaszyska!

Mar wciąż niechętnie zbierał się do drogi. Nie chciał zostawiać Marca samego.

- Czas nagli, Mar - błagała Shira. - My sami nie udźwigniemy worków z wodą. Nie zdążymy uciec!

I właśnie w tej chwili Oko Nocy zobaczył coś dziwnego. Tuż przy nim stało jego zwierzę opiekuńcze.

- Jesteś, mój przyjacielu - ucieszył się. - Zastanawiałem się właśnie, gdzie cię szukać i jak zdołam spełnić obietnicę.

Shira i Mar nikogo nie widzieli.

- Z kim ty rozmawiasz, Oko Nocy?

Uśmiechnął się tylko w odpowiedzi. Zobaczyli jednak, że otwiera jeden pojemnik i nabiera garść wody. Niesłychanie ostrożnie poruszał ręką, bacząc, by ani jedna kropla drogiego płynu nie spadła na ziemię.

Wyglądało to tak, jakby woda została przez coś wessana. Przed oczyma Shiry i Mara ukazał się ogromny niedźwiedź.

- Moje zwierzę opiekuńcze - przedstawił Oko Nocy.

- Dziękuję, że uczyniłeś mnie żywym - powiedział niedźwiedź, to znaczy w milczeniu przesłał mu swoje myśli.

- A oto i Shama - oznajmiła Shira dość zaskoczona tą nieoczekiwaną aktywnością po

trzech dobach beznadziejnego oczekiwania.

Potężny duch śmierci przyglądał im się spod przymkniętych powiek.

- Chyba nie zapomnieliście o danej mi obietnicy?

- Nie, oczywiście, pojedziesz z nami do Królestwa Światła. Oko Nocy, domyślam się, że twój przyjaciel, niedźwiedź, też chciałby nam towarzyszyć.

Niedźwiedź skinął potężnym łbem i znowu zaczął do nich „przemawiać”, czyli przesyłać im myśli.

- Czas nagli! Wskakujcie na mój grzbiet, wszyscy troje!

- A Shama?

- Będę przy niewidzialnym murze przed wami. Poczekam tam na was.

- Znakomicie - stwierdził niedźwiedź. - Bardzo chętnie grzmotnę głową w coś niewidzialnego.

Roześmiali się. Żart w pełnej powagi chwili bardzo pomaga.

- Och, nie! Ptaszyska lecą! - zawołała Shira. - Nie zdążymy uciec!

- Zdążymy - zapewniał niedźwiedź, kiedy wdrapywali się na jego grzbiet. - Myślę, że masz jeszcze swój mały flecik, Oko Nocy?

- Mam, ale nie wolno mi go używać dwa razy.

- Teraz jesteś już poza źródłem - przypomniał niedźwiedź.

Oko Nocy pomyślał chwilę i uznał, że zwierzę ma rację. Trudna wędrówka się skończyła, cel został osiągnięty i teraz chodzi o to, żeby się jak najprędzej stąd wydostać.

Mar wciąż miał wątpliwości, chciał towarzyszyć Marcowi, Shira jednak powtarzała, że duchy na to nie pozwoliły i że to stwarzałoby tylko dodatkowe problemy dla wszystkich zainteresowanych. Może z wyjątkiem Marca, upierał się Mar. W końcu Shama zmusił go do zmiany stanowiska. Skoro jego, Shamy, szanowni koledzy wyznaczyli Marca, a nie Mara, to widocznie mieli w tym jakiś cel.

Oko Nocy upewnił się, czy wszyscy dobrze trzymają się niedźwiedziego futra, po czym zadął w flet.

Shama doznał szoku. Musiał się bardzo starać, żeby ich wyprzedzić.

Ale wygrał mimo wszystko. Triumfujący czekał na nich przed niewidzialnym murem.

W końcu nic dziwnego, poruszał się przecież z szybkością myśli, a w porównaniu z tym nawet sposób elfów był za mało skuteczny.

Oko Nocy poszedł za radą duchów i umoczył palce w jasnej wodzie. Pod ich dotknięciem mur się poruszył. Indianin wyczuwał, że powstaje duży otwór, przez który przeszli bez kłopotu.

Przedtem Oko Nocy zdjął swoją białą, teraz mocno przyszarzałą koszulę i powiesił ją na karłowatym drzewie tak, by duchy i Marco widzieli, gdzie jest wyjście z zamkniętego terytorium.

- Jesteś optymistą, jak widzę - rzekł Shama cierpko.

- Tak trzeba - odparł Oko Nocy z powagą. - Nie byłbym w stanie znieść myśli, że już nigdy nie zobaczymy Marca.

Shira obejrzała się gwałtownie.

- Ptaki - wykrztusiła. - Pędzą prosto do Góry Zła. Szybciej, nasz fantastyczny niedźwiedziu, szybciej, wybawicielu!

- Za to my bardzo zyskujemy na czasie - powiedział Mar. - Dzięki temu, że nie musimy pokonywać tej potwornej drogi poprzez Górę Zła.

Przesuwali się nad ziemią z szumem. Nikt nic nie mówił, musieli trzymać się mocno swego wierzchowca. Grzbiet niedźwiedzia to jednak nie jest najwygodniejsze siodło.

Ptaki krzyczały do kobiety w Górze Zła, jedynej znającej się na czarach istoty, która mogła je zrozumieć i przetłumaczyć ich komunikaty innym.

- Oni uciekają, uciekają - krzyczały. - Uciekają na jakimś olbrzymim kosmatym zwierzęciu. I Niezwyciężony też jest z nimi!

- Pewnie ich przepędza - rzekł Nardagus domyślnie, blady ze strachu.

- Nie, Niezwyciężony biegnie przed nimi. A jakie rozwijają niewiarygodne tempo! Ptaki mówią, że nie mogą za nimi nadążyć.

- Nie wydadzą się z naszego terytorium.

- Już są poza jego granicami. Pędzą do swojego żelaznego pojazdu.

Nardagus spoglądał na swoich władców. Bardzo nie lubił, kiedy ich twarze miały taki wyraz.

- Nie ma żadnego niebezpieczeństwa - próbował ich przekonywać. - Intruzi nie zdołali dotrzeć do źródła, to oczywiste.

Najwyższy władca syknął gniewnie:

- Mobilizacja! Niezależnie od tego, co zdołali zrobić!

Nardagus nie ustępował:

- Słyszycie przecież, że jest ich tylko troje. Czwarty widocznie starał się dostać do źródła i mu się nie udało. Więc troje pozostałych zmyka co tchu. Ciekawe tylko, jak przeszli przez mur?

Inny władca wtrącił:

- Powinno się powiadomić To we Własnej Osobie.

- Nie, nie - protestowali chórem jego koledzy z Nardagusem włącznie. - Sami damy sobie z tym radę.

Wszyscy bowiem śmiertelnie się bali reakcji „najpiękniejszego”.

Ktoś próbował ostudzić nastrój, to ta spragniona życia kobieta.

- Skoro tak - zaczęła przewlekle. - Skoro nawet zdobyli tę potworną wodę, to jest to ich problem, nie nasz. Nas to nic nie powinno obchodzić.

Zebrani w sali trochę się uspokoili. Niektórzy uważali wprawdzie, że to lekkomyślne podejście do sprawy, ale nie chcieli już tego roztrząsać

Najważniejszy oświadczył:

- Idziemy! Nie będziemy informować naszej niedostępnej wysokości. Ale mobilizację przeprowadzimy!

Z okropnym wojennym krzykiem wszyscy tworzący blokadę wojownicy rzucili się ku J2 i zagrodzili drogę nadchodzącym.

Niedźwiedź jednak działał bardzo szybko. A Mar, który uwielbiał telefonować, zdążył już ostrzec o przybyciu załogę J2, wyjaśniając, że mają ze sobą kilku nowych, dla których potrzeba sporo miejsca.

Faron westchnął:

- Jeszcze jacyś nowi? Musimy wynieść na zewnątrz tę starą, zniszczoną gondolę.

- Dotychczas nie mieliśmy odwagi otwierać drzwi - powiedział Ram. - Teraz jednak otworzymy, bo wracają nasi przyjaciele.

- Hurrra! - radowało się całe zgromadzenie.

Wszyscy silni mężczyźni zabrali się do wynoszenia gondoli, Indra otworzyła drzwi, żeby wypchnąć wrak.

- O rany! Patrzcie tylko na tę hordę - szepnęła przerażona.

- Zbliża się dziwny orszak! - zawołał Tich. - Nie zamykajcie! Widzę Mara wysoko na grzbiecie jakiegoś... jakiegoś... I kogo to oni jeszcze prowadzą?

Teraz także inni zauważyli tamtych, jak pędzą na złamanie karku, żeby zdążyć przed atakującymi, którzy nieoczekiwanie stanęli jak wryci. Ram zrobił miejsce w drzwiach, bo akurat miejsca potrzeba było dużo.

- Niedźwiedź? - jęknęła Indra. - Ogromny niedźwiedź!

Troje jeźdźców pochyliło się w przejściu i niedźwiedź wpadł do wielkiej sali zgromadzeń, gdzie właśnie stała gondola, zajmując całe pomieszczenie. Ale na zewnątrz atakujących wojowników powstrzymywała jakaś ogromna, budząca grozę postać, odwrócona plecami.

Wszyscy oczekujący na pokładzie J2 widzieli, że atak spalił na panewce. Wojownicy uciekali z krzykiem przestraszeni niczym stadko kur. A przestraszyła ich właśnie ta olbrzymia postać. Nikt więcej nie odważył się zaatakować pojazdu.

Olbrzym zaś musiał się zgiąć niemal wpół, żeby przejść przez próg, a w środku sięgał prawie do sufitu.

Indra i Cień zatrzasnęli drzwi.

Zaległa cisza.

- No, no, nieźle - powiedział w końcu Faron.

- Rzeczywiście wielkie entrée - szepnął Dolg.

Siska natomiast zauważyła najważniejsze:

- A gdzie Marco?

Cztery duchy zabrały go z sobą na płaskie wzniesienie, skąd można było spojrzeć na dół, w dymiący krater źródła zła.

Marco z obrzydzeniem spoglądał na to najwstrętniejsze na świecie miejsce.

- Byłem przekonany, że droga tutaj dostępna jest tylko ludziom złym do szpiku kości?

- I tak jest. To my sprawiliśmy, że mogłeś się tutaj znaleźć.

Przyglądał im się spod przymkniętych powiek, ale nikt nie zgłębiał tematu. Wobec tego Marco powiedział:

- Ktoś kiedyś przecież musiał tutaj zejść?

- Owszem - odparła Ziemia. - Podobnie jak to uczynił Tengel Zły na Ziemi, tak i tutaj znalazł się człowiek o duszy przeżartej złem, który zdołał dotrzeć do źródła złej wody. Ona weszła...

- Czy to znaczy, że jest kobietą? Najpiękniejszy... - przerwał Marco.

- Była - uściśliła Ziemia. - Teraz nie jest ani tym, ani tamtym. Uciekła z zewnętrznego świata z powodu prześladowań na długo przed czasami Tan-ghila. Próbowano ją zabić ze względu na jej zło, kiedyś przez przypadek wpadła do starego krateru i znalazła się tutaj, w Górach Czarnych.

- Które uczyniła jeszcze czarniejszymi - wtrącił Ogień ponuro. - Bez problemów dostała się do źródła i napiła złej wody.

- Co zresztą nadal czyni - dodał Duch Wody. - A razem z nią wielu innych. Nie, to nieprawda, nie tak wielu. Większość ma jedynie prawo wdychać opary.

- Ale to ona nakazała układać ten wodociąg prowadzący do źródła - mówił dalej Duch Wody. - Inni wykonali pracę, doprowadzili rury do strasznej doliny zła. No i właśnie teraz dochodzimy do twojego zadania, szlachetny książę.

- Jak rozumiem, miałbym zniszczyć tę dolinę?

- Nie tylko to. Chcielibyśmy również zniszczyć Górę Zła, mającą bezpośrednie połączenie z pałacem. Można tego dokonać równocześnie.

- No dobrze, ale jak?

Słyszając to pytanie, Duch Powietrza się uśmiechnął.

- Bardzo prosto, bardzo prosto! Wystarczy jasną wodę z butelki wlać do rury.

Marco gapił się na nich z otwartymi ustami. Potem wybuchnął śmiechem nad swoją

bezmyślnością i nad tym, że nie domyślił się czegoś tak oczywistego.

- Materiał, z którego została wykonana rura, jest bardzo twardy, niemal nie do przeborowania - ostrzegła Ziemia, kiedy już nareszcie przestali się śmiać. - Taki musiał być, żeby chronić wodę po wsze czasy. Ale mój przyjaciel, Ogień, zrobi dla ciebie w rurze otwór. Potem cię opuścimy, a ty wlejesz do rury jasną wodę.

- Tylko pamiętaj! - upomniał Duch Powietrza. - Bądź ostrożny! Musisz dopilnować, żeby wszystko spłynęło we właściwym kierunku, do doliny, a nie do źródła zła.

- Dlaczego?

- Nie kuś losu! - wykrzyknął Duch Powietrza, a jego towarzysze machali rękami, jakby chcieli odpędzić od siebie zło.

Marco oznajmił, że jest gotów.

- Tylko dlaczego musicie mnie opuścić? - zapytał.

- My nie powinniśmy podchodzić za blisko do ciemnego źródła, to nie jest dla nas dobre - wyjaśnił Duch Wody. - Poza tym jesteśmy duchami, ty zaś urodziłeś się jako człowiek. Mamy też inne zajęcia, nie cierpiące zwłoki. Ale chyba nadal ważne jest twoje słowo, że będziemy mogli pojechać z wami do Królestwa Światła?

- To oczywiste - obiecał Marco. - Ale co mam zrobić potem? Po wylaniu wody?

Ziemia podała mu podobny do cementu materiał, którym miał zatkać rurę wiodącą do źródła tak, by nie wyciekało z niej już więcej wody. Kiedy to wykona, powinien uciekać jak najprędzej z tego miejsca i starać się połączyć ze swymi przyjaciółmi.

Starać się? Nie brzmi to zbyt zachęcająco. Marco wiedział jednak, że powierzone mu zadanie jest niszczące, nie tylko dla pałacu i złej doliny, lecz także dla niego.

Podjął się tego z własnej woli, zresztą był jedyną istotą, zdolną je wypełnić i ująć z całej sprawy z życiem.

Może mu się to uda. Jest nieśmiertelny, ale może też zostać ciężko zraniony...

Ogień wyciągnął ręce w stronę rur, które odcinały się szaro na tle spowijającego wszystko mroku. Wokół panowała niczym nie zmacona cisza. Stali na szczycie, w miejscu, gdzie rury rozdzielały się: jedna schodziła w dół do krateru, druga w przeciwną stronę, ku złej dolinie i pałacowi. Pod oparami nad kraterem bulgotało i syczało, wiatr zawodził w suchej trawie na stokach. Z miejsca, w którym stał, Marco mógł widzieć wielkie przestrzenie Gór Czarnych. Zwłaszcza Górę Zła położoną najbliżej. Dalej zagłębienie wskazujące, że tam znajduje się dolina zła. Po drugiej stronie góry znajdowała się inna dolina, w której czeka J2, ale stąd nie było widać nic. Tylko góry w szarej, wiecznej nocy.

Marco drgnął, kiedy z rąk Ducha Ognia buchnęły czerwone płomienie. Ogień powoli

wypalał dziurę w wodociągu.

Wszystkie cztery duchy pospiesznie się oddaliły.

- Staraj się być tak daleko od złej wody, jak tylko potrafisz - ostrzegła Ziemia na odchodnym. - Zbliź się do otworu dopiero wtedy, kiedy będziesz trzymał w ręce przygotowaną butelkę z wodą. I jak najszybciej potem zatkaj otwór. Musisz mieć materiał w drugiej ręce!

- Tak jest - obiecał Marco.

Duchy zniknęły. Rozpłynęły się w powietrzu.

Został sam. Strasznie, boleśnie sam.

Faron próbował jakoś przyjąć to wszystko do wiadomości. Marco został gdzieś w tych mrocznych górach. W pojeździe znajduje się niedźwiedź i właśnie nawiązuje znajomość z Frekim. A na dodatek do tego wszystkiego przyszedł do nich sam bóg śmierci i bóg kamieni, Shama. Obiecano mu, że będzie mógł pojechać do Królestwa Światła.

Cóż można zrobić?

Niewiele. Po prostu udawać, że wszystko w porządku. Faron nie chciał być gorszy od innych, którzy wszystko przyjmowali z niezmiennym spokojem. Shama zresztą także zdawał się być usposobiony przyjaźnie...

Oko Nocy zasnął na własnym łóżku, które pozwolono mu zachować. Później przyjdzie czas na podziękowania i na opowieści o wyprawie. Teraz wszyscy byli zajęci lokowaniem pojemników z wodą w bezpiecznym miejscu i urządzaniem pojazdu tak, żeby dla wszystkich znalazło się miejsce leżące. Nie było to łatwe, skoro dwunastu wycieńczonych jeńców zajmowało znaczną część J2.

Siska była bardzo ożywiona. Dolg pomagał jej napić Tsi-Tsungę jasną wodą.

- Sisko, uspokój się, bo rozlejesz - upominał, ale sam też się bardzo denerwował. Podtrzymywał chorego w pozycji siedzącej tak, by można mu było przyłożyć naczynie do warg.

- Pij, Tsi, to cię uzdrowi.

Taką miał nadzieję. Wszystko inne zawiodło, to ich ostatnia szansa.

Nieszczęsny elf ziemi uśmiechał się dzielnie i z wysiłkiem próbował pić. Siska czekała zniecierpliwiona i Dolg znowu musiał ją upominać. W końcu Tsi zdołał wypić parę łyków.

- Odsuń naczynie! Szybko! - zawołał Dolg.

Siska odstawiła je na stolik. Przeżona patrzyła, jak twarz Tsi wykrzywia straszny

ból. Kulił się na łóżku i jęczał.

- Co myśmy zrobili, Dolg? - zapytała, wytrzeszczając oczy.

- Woda tak właśnie działa - wyjaśnił. - Nie czytałaś kronik Ludzi Lodu, to nie wiesz.

Wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

Sam jednak patrzył zaniepokojony na Tsi. Elf był przecież taki słaby po tym, jak przeklęte róże uszkodziły mu płuca.

Podtrzymywali go, nie wiedzieli, jak mu pomóc, okropne skurcze wstrząsały drobnym ciałem. Siska strasznie się bała, z całych sił walczyła z dławiącym ją płaczem.

Z wolna jednak spazmy zaczęły ustępować.

Tsi-Tsungga oddychał gwałtownie, jak po długim biegu.

Czekali niepewni, co będzie dalej.

Nagle Tsi popatrzył na nich. Promienny uśmiech pojawił się na jego elfowej twarzy.

- Księżniczko! Siska... I ty, Dolgu, ukochany przyjacielu! Czy mógłbym dostać coś do jedzenia?

Dolg śmiał się, a Siska wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Mimo iż znajdował się tuż obok dymiącego krateru, Marco dotkliwie marzł.

Samotność była nie do zniesienia, dławila go. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad stanem swoich uczuć, tutaj należało działać, i to bardzo szybko.

W jednej ręce trzymał otwartą butelkę, w drugiej ów tajemniczy cement. To znaczy nie cement, tylko coś naturalnego, dostał to przecież od samej Ziemi. Przyszło mu do głowy, że to może być ta sama substancja, z której jaskółki i inne ptaki budują gniazda, ale się mylił.

Marco nabrał powietrza w płuca i wylał znaczną część zawartości butelki do otworu w rurze, uważając bardzo, żeby popłynęła we właściwym kierunku.

Zostało mu jeszcze trochę wody, zamierzał ją wylać, gdyby pierwsza próba się nie powiodła.

Później jednak nie wypełnił co do joty poleceń duchów. Zamiast użyć materiału lepiącego, wypatrzył na ziemi okrągły kamień i wepchnął go do rury, odcinając tym sposobem drogę wodzie ze źródła zła. Było to prowizoryczne zamknięcie, miał zamiar później uszczelnić je tym materiałem, który dała mu Ziemia. Ale najpierw chciał zobaczyć działanie pierwszej porcji wody.

Wszystko dokonało się w dziesiątej części sekundy. Marco spojrzał w dół na dolinę.

Woda podziałała momentalnie.

W rurach rozległo się gwałtowne bulgotanie, Marco widział, że rury się trzęsą w

miarę, jak jasna woda spływa w dół. Wstrząsy były coraz gwałtowniejsze, tak protestowała czarna woda.

W końcu ziemia pod nim też zaczęła się trząść. Och, nie, co ja zrobiłem, myślał. Powiniennem natychmiast stąd uciekać!

Najpierw jednak trzeba uszczelnić zamknięcie, żeby już ani odrobina wody nie wypłynęła. Zauważył, że wewnątrz rury woda raczej cieknie, niż płynie. Właśnie tak cieknie woda z małego górskiego źródła. Nietrudno będzie ją powstrzymać.

Ponownie wyjął materiał uszczelniający, a ziemia drgała coraz silniej, widział, że wszystko aż do doliny się trzęsie i ogarnął go lęk. Chyba jednak lepiej się pospieszyć.

Ktoś z łoskotem dobijał się do drzwi Juggernauta.

Zgromadzeni w jego wnętrzu popatrzyli po sobie. Shira podbiegła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

- Duchy, to są duchy - powiedziała, spoglądając na Faron z poczuciem winy.

On zdążył się już dowiedzieć o danej duchom obietnicy. Tylko na chwilę przymknął oczy, potem rzekł ze spokojem:

- Rzecz jasna, witamy duchy z radością Wpuść je!

Wszyscy milczeli, kiedy cztery żywoły wchodziły na pokład J2. Rozumieli, że to bardzo uroczysta chwila.

Faron witał przybyłych.

Duch Wody, mężczyzna o mieniących się, zielononiebieskich oczach, pochylił lekko głowę i rzekł:

- Dziękujemy za waszą otwartość, szukamy schronienia u was na dzisiejszą noc, kiedy mają się dziać bardzo ważne rzeczy.

Dzisiejsza noc? zastanawiała się Indra. Czy teraz jest noc? Skąd oni wiedzą takie rzeczy w tej przeklętej ciemnej otchłani?

- Witamy, witamy! Okazaliście wielką pomoc naszemu młodemu bohaterowi, Oku Nocy - mówił Faron. - Tyle tylko możemy zrobić w zamian. Znajdźcie sobie jakieś miejsce, mamy tu, niestety, wielką ciasnotę, ale młodzi już czekają, żeby wam pomóc.

Przygotowano dla nowych gości dużą ławę.

- Proszę mi wybaczyć pytanie - rzekł przyjaciel zwierząt, Dolg. - Jak się w Górach Czarnych mają niewinne zwierzęta?

Ziemia odwróciła się do niego tak, że niemal było widać jej twarz pod brunatnym kapturem.

- Dlatego właśnie przybywamy tak późno. Wyprowadzaliśmy zwierzęta z niebezpiecznych regionów, lokowaliśmy je nad granicą.

- Dziękuję - uśmiechnął się Dolg, a Indra i wielu innych przyłączyło się do niego.

- Ziemia zaczyna drgać - stwierdził Cień. - A niebo staje się coraz ciemniejsze.

- Tak jest - potwierdził Ogień. - Powiedzcie mi tylko, czy to wasze mieszkanie będzie stać pewnie??

Tich wyjaśnił:

- Zabezpieczyliśmy pojazd stalowymi, zaostrzonymi palami, wbitymi tak głęboko jak to tylko możliwe.

- Znakomicie!

- Ale co z Markiem? - zawodził Tsi ze łzami w oczach. Teraz siedział już razem z innymi przy stole.

- Uspokój się, on wróci - zapewniał Faron. - Pamiętaj, że Marco jest nieśmiertelny.

Wszyscy spuszczaali wzrok. Na myśl o tym, że Marco jest sam w górach, czuli się strasznie bezradni.

Ukryci w Górze Zła słyszeli łoskot i zastanawiali się, skąd on pochodzi

- Na pewno z zewnętrznego świata - rzekł Nardagus lekceważąco. - Pamiętajcie, że bardzo, bardzo dawno temu oni tam eksperymentowali z jakimiś wybuchami i pewnie teraz słyszymy echa.

- Myślałem, że już skończyli z tymi beznadziejnymi głupstwami - warknął jeden z wysoko postawionych panów. - Ale widocznie się myliłem. O, teraz robi się też ciemniej.

Przybiegła czarownica, rozumiejąca mowę ptaków.

- Ptaki raportują, że cały mur tajnego terytorium na świętej górze zniknął. Nie ten wewnętrzny wokół źródeł, tylko zewnętrzny.

- Niemożliwe! - wrzasnął najwyższy.

- To, oczywiście, wina świata zewnętrznego - syknął inny. - Widocznie tym razem przeprowadzili jakiś szczególnie silny wybuch. Czy nawet tutaj nie możemy mieć spokoju?

Najwyższy oznajmił:

- Ktoś musi pójść do Tego we Własnej Osobie. Wszystko to nie najlepiej wygląda, może się okazać niebezpieczne. Dla nas!

Nikt nie chciał się podjąć takiego zadania. Posłano więc niewolnika, miał iść specjalnym tunelem, ale tam dzieło zniszczenia dokonywało się w szalonym tempie.

Złożony w ofierze niewolnik wyruszył za późno.

Najpiękniejsze, czyli To We własnej Osobie, unosiło się z gumowym węzem w ustach i rozkoszowało się tym, że woda zła napełniała je cudownymi właściwościami i cechami. Władza. Samozadowolenie - nikt nie jest równie piękny jak ono z tą jakąś galaretowatą konsystencją i wybujałymi kształtami, bez wyraźnej twarzy. Kolejna cecha to łapczywość, a poza tym wiele innych, naprawdę cudownych.

Teraz wygulgotało kilka słów, coś w rodzaju:

- A co to za hałasy? Dlaczego w fontannie tak chlupie? Dlaczego moja kanapa się trzęsie?

Służący słyszeli irytację w głosie chlebobdawcy, więc dygocząc i starając się utrzymać na nogach mimo wstrząsów, tłumaczyli:

- To trzęsienie ziemi, o niespotykana piękności! To na pewno pochodzi z zewnętrznego świata.

- Przeszkadza mi - rzekło To we Własnej Osobie, nie wypuszczając przy tym węża z ust. A nawet przeciwnie, pociągnęło szczególnie obfity haust, by uzyskać jeszcze więcej rozkosznej siły z tej cudownej wody.

Gwałtowny wstrząs spowodował chaos w całym pałacu. Posagi spadały na podłogę, ludzie przewracali się z krzykiem.

Wąż w ustach Tego we Własnej Osobie również drżał i musiało go trzymać zębami. Znowu pociągnęło solidny łyk.

Potworny ryk. Jakaś inna woda wpłynęła do wijącego się, bezkształtnego ciała. Wypłuło wąż, ale za późno. Całe trzęsące się cielsko wypełniła już mieszanka jasnej i ciemnej wody, a w takich wypadkach dobro zawsze zwycięża, w przeciwieństwie do tego, co dzieje się na powierzchni Ziemi, w świecie ludzi.

Galaretowate ciało jeszcze się powiększyło, zleciało z kanapy ze strasznym rykiem, służący, którzy również byli podobni do węży i mienili się niebiesko i zielono jak ich władca, absolutnie nie mieli czasu na słuchanie wezwań: „Pomóżcie mi, pomóżcie do jasnej cholery, bo jak nie, to napluję na was jadem i wszyscy się skurczycie jak karzelki!”

Nikt jednak nie spieszył na ratunek. Niektórzy w rozpaczliwej próbie ratowania własnej skóry wybiegali do sąsiedniego pomieszczenia o ścianach ze szkła, gdzie nieustannie kłębiły się opary ze złego źródła. Nie powinni byli tego robić. Ci, którzy napili się wody zła, byli straceni dla świata, pozostali zachłystywali się mieszaniną oparów dobrych i złych, padali na ziemię i wili się w bolesnej, śmiertelnej walce.

Byli tacy, którzy po prostu zaczęli uciekać, jeszcze inni zostali w sali tronowej, trzymając się desperacko mebli.

To we Własnej Osobie krążyło pod sufitem niczym bezkształtna bryła, nieustannie się powiększający balon pozbawiony wszelkiego wdzięku. Krzyki były coraz bardziej bełkotliwe, ruchy coraz bardziej ograniczone. W końcu ciało stało się takie ogromne i nadmuchane, że To mogło poruszać tylko palcami.

I nagle... Najpiękniejsze ze wszystkich eksplodowało z wielkim hukiem, sinozielona galareta rozleciała się po całym pomieszczeniu, jej strzępy spadały na podłogę, za każdym razem rozlegało się obrzydliwe plaśnięcie.

Pałac trząsł się w posadach. W sali z ciemną wodą opary unosiły się jak burzowa chmura. Fontanna oderwała się od podstawy, uderzyła o sufit i runęła na ziemię, niewolnik, który właśnie tutaj biegł, został porwany przez potężny nurt i natychmiast uśmiercony. W głębi pałacu wszyscy mieszkańcy zostali zalani zabójczą mieszaniną jasnej i ciemnej wody i rozpadali się na kawałki. Ziemia wciąż drżała, cała dolina przemieniła się w piekło, budynki

się waliły, mieszkańcy uciekali z krzykiem, ale nie mieli gdzie się schronić. W końcu wszystko eksplodowało i uniosło się w górę niczym słup mrocznego zła.

Łoskot panował nieopisany.

Nardagus, który zawsze musiał ponosić odpowiedzialność za wspólnie przez panujących popełniane fałszywe kroki, biegł jak szalony, żeby się schować w najdalszym i najbardziej tajemnym pokoju. Tam jednak było już tłoczno. Niezliczeni mieszkańcy pałacu wpadli na ten sam pomysł i w chwili, kiedy Nardagus dotarł na miejsce, zobaczył, że sufit się wali, grzebiąc zebranych pod gruzami.

Zawrócił więc, biegł, zataczając się, przez długie korytarze, aż znalazł się na zewnątrz, skąd miał widok na złą dolinę. Widział, jak pałac i inne budowle wylatują w powietrze przemienione w czarny słup pyłu i gruzu, znowu zawrócił i pobiegł do najwspanialszej sali, gdzie władcy leżeli na podłodze i skomleli ze strachu niczym szczenięta, a żaden nie został oszczędzony. Widział płomiennego mężczyznę, tego, który zwykle oświetlał pokoje, jak się teraz spala, widział spragnioną życia kobietę leżącą na podłodze, całe ubranie z niej opadło, odsłaniając zniszczone ciało, widział, że porwała ją nie wiadomo skąd pochodząca woda, czarna jak jej własna dusza, i cisnęła ją w górę, skąd spadły na ziemię tylko strzępy.

Dachu już nie było, obecni jeden po drugim byli wyrzucani w górę przez niemilosierzną kaskadę mętnej, szaroczarnej wody.

Nardagus uczeplił się mocno jakiegoś mebla. Ja przecież tylko wypełniałem rozkazy, powtarzał sobie raz po raz. To nie ja robiłem...

Na niewiele się to zdało. Nieoczekiwanie tuż przed nim góra rozdarła się na dwoje i coś czarnego, gęstego porwało go ze sobą w górę. To była ostatnia sprawa, jaką odnotował.

Marco słyszał i widział dzieło zniszczenia. Wysoki słup brudnej wody podnosił się z doliny, drugi wydobywał się z góry.

Cała ziemia pod nim się trzęsła. Muszę stąd uciekać, myślał, ale część jego świadomości zajęta była inną myślą.

Przez całe swoje długie życie uczył się nienawidzić zła, tego, które istnieje jako część istoty ludzkiej. To jest moja szansa na poprawę świata, myślał. Z całym szacunkiem dla projektu Madragów i Obcych, ale mam teraz możliwość przyspieszenia procesu. „Niebo tego zakazuje”, powiedziały duchy, ale co one tam wiedzą.

Stał oto, trzymając w ręce materiał do uszczelnienia otworu, który właśnie one mu dały. Spojrzał na instalację, gdzie kamień zatykał drogę czarnej wodzie, widział pustą rurę

prowadzącą ku dolinie.

Muszę teraz zamknąć otwór. Porządnie. Jeśli się zdecyduje...

W przeciwną stronę woda się sączy, wolno spływa do źródła zła. Zawróciła, gdy droga na zewnątrz została zamknięta. Co by więc było, gdyby on...?

Nie, nie ma prawa tego robić.

Marco popatrzył na piękne naczynie, wciąż jeszcze do połowy wypełnione jasną wodą. Ta ilość, jaką skierował ku dolinie, najwidoczniej wystarczyła, bo nie było już śladu ani po złej dolinie, ani po górze. A on stoi wobec niewiarygodnej możliwości.

Co tak naprawdę wiedziały duchy?

Kamień, którym zatkał rurę, zaznaczał rozwidlenie dwóch nurtów wody. Akurat od tego miejsca zaczynała płynąć w dwóch kierunkach.

Marco raz po raz wciągał głęboko powietrze.

W końcu jednym jedynym ruchem wyszarpnął kamień i wylał resztę wody z butelki do tej części rury, która schodziła w dół do źródła zła, po czym szczelnie zatkał rurę lepiszczem, które dostał od Ducha Ziemi.

Nie miał prawa tego robić. Ale nie mógł się powstrzymać.

Grzmoty, potworne wstrząsy i hałasy ustały. Ponad Górami Czarnymi unosiła się ciężka, czarna chmura, która sprawiała, że wszystko tonęło w takich ciemnościach, jakie niekiedy na powierzchni Ziemi zalegają w zimowe noce.

Na pokładzie J2 było spokojnie. Wszyscy, zmęczeni zwłaszcza psychicznymi zmaganiem, potrzebowali odpoczynku.

Shira rozmawiała półgłosem z Shama.

- Nigdy nie trafiłam do twojego czarnego ogrodu - powiedziała z bladym, smutnym uśmiechem.

- To prawda. Zamiast tego przeszłaś do świata duchów.

- Tak. Shamo, jest coś, nad czym się często zastanawiałam podczas tej podróży... Jechaliśmy przez Dolinę Róż. Róże były czarne. Złe, czarne jak noc róże. Czy to był twój ogród?

- Nie, nie, skąd - protestował przestraszony. - W moim ogrodzie panował spokój, wszystko było piękne, nikt nie cierpiał. Nie było tam żadnego zła.

- Powiadasz „było”?

- Tak - przyznał zmęczony. - To przecież miało miejsce na tamtym świecie. Opuściłem to wszystko. Straciłem swoje państwo, ponieważ dawna wiara w nasze bóstwa wymarła. Natrafiłem tutaj na ślad ciebie i Mara. Popełniłem wprawdzie błąd w obliczeniach, ale teraz znowu jesteśmy razem. Tak się cieszę!

Jeszcze nie jesteśmy w Królestwie Światła, pomyślała Shira. Jeszcze trochę poczekamy na Marca. Ech, Marco, Marco, co się z tobą dzieje?

Usłyszała niespokojne głosy w innej części pojazdu. Z drugiego pokoju słychać było podniecony głos Tsi:

- Ale przecież musimy go szukać, mogło go spotkać jakieś nieszczęście!

Ram i Cień próbowali go uspokajać. Marcowi nic nie grozi!

- Nie, teraz kolej na mnie - protestował Tsi-Tsungga. - Nic właściwie nie zrobiłem podczas całej wyprawy, po prostu leżałem, będąc ciężarem dla wszystkich.

Owszem, mój chłopcze - rozległ się lekko kpiarski głos Indry gdzieś niedaleko Shiry.
- Owszem, zrobiłeś, i to nawet bardzo dużo!

Siska, która była z Indrą, pochylila z uśmiechem głowę.

Tsi upierał się przy swoim:

- Jestem najlepszym kierowcą gondoli. Pozwólcie mi wziąć tę małą, dwuosobową, to go odnajdę i przywiozę tutaj.

Odpowiedział mu Ram:

- Tsi, my nawet nie wiemy, gdzie on się podziewa...

- To będę go szukał!

- Mowij nie ma! Nie wolno ci się stąd oddalać. Marco da sobie radę sam, możesz być pewien. Jest przecież nieśmiertelny!

- No, teraz Tsi ustąpi - powiedziała Siska spokojnie. - On nie może stąd wyjść pod żadnym pozorem, zakazuję mu!

- Powiedziałś mu już? - zapytała Indra półgłosem.

- Jeszcze nie. Wciąż panowało tu takie zamieszanie. Zresztą nie mogę zwalać mu na głowę wszystkiego na raz.

Shira zastanawiała się, o czym one rozmawiają.

Straszny huk wstrząsnął J2, wielkie kamienie sypały się na dolinę, w której stał pojazd. Z zewnątrz, z gór i dolin, dochodził wrzask tysięcy gardeł. Błyskawica przecięła czarne niebo i Duch Ziemi zawołał:

- On to zrobił, zrobił to ten szaleniec! Wlał jasnej wody do źródła zła!

Ogromny głaz wylądował na dachu J2.

- Jeśli życie zgromadzonych istot ma zostać uratowane, to musimy stąd uciekać, i to jak najszybciej - powiedział Duch Wody do Faron.

Stali obaj przy oknie w pomieszczeniu kontrolnym.

- Spójrz na ten czarny słup wody bijący w powietrze - szepnął Faron przestraszony. - Jaki wysoki. Jak to się skończy dla Królestwa Światła? Tich, szykuj się do odjazdu!

W świecie zewnętrznym zanotowano wyjątkową aktywność sejsmograficzną, dochodzącą do 10 w skali Richtera. Jej centrum znajdowało się na Morzu Karskim na północ od Uralu.

Z lądu widziano gigantyczny, czarny słup wody unoszący się na linii horyzontu...

Na pokładzie J2 panowało wzburzenie.

- Ale nie możemy zostawić tutaj Marca - protestował Dolg zrozpaczony.

- Czy myślisz, że ja tego chcę? - pytał Faron zmęczonym głosem. - Ale ja odpowiadam za blisko trzydzieści osób zgromadzonych tu na pokładzie. Nie mam wyboru. Tich, startujemy!

Po wlaniu fatalnych kropli do rury Marco uszczelnił ją starannie, a potem biegiem

opuścił niebezpieczne miejsce.

Wiedział, że musi minąć określony czas, zanim jasna woda dotrze do źródła zła, właśnie od tego czasu zależała jego przyszłość. Zbocze, po którym biegł, pełne było niebezpiecznych szczelin. Pod burymi chmurami panowała ciemność, a ciężkim powietrzem trudno było oddychać. Dręczyło go pytanie, jak zdoła się przedostać przez skały.

Miał jednak więcej szczęścia, niż mógł się spodziewać. Wysoka skalna ściana została rozbita, była więc możliwość przedostania się na drugą stronę.

I właśnie wtedy, kiedy przedzierał się przez zwałisko głazów, nastąpiła eksplozja.

Całe zbocze uniosło się w górę, skały wokół niego waliły się z łoskotem, kamienie sypały się jak grad u jego stóp. Siedział zamknięty, przytulony do skały. Był jako tako chroniony przed padającymi kamieniami. Wszystko jednak drżało, trzęsło się i huczało ogłuszająco, potem zaczęła też spadać woda z tego wzbitego w powietrze słupa. Leciał na dół deszcz kamieni, ziemi i gęstej, brudnej wody.

I Marco, który widział jaśniejszą smugę na tle ciemnego nieba, pomyślał to samo, co Faron:

Co się dzieje z Królestwem Światła? Czy odgradzający je mur wytrzyma? Jak silne jest trzęsienie ziemi w obrębie muru?

Uświadomił sobie z goryczą, że powinien był mimo wszystko posłuchać ostrzeżeń duchów.

Gwałtowne wybuchy trwały jeszcze długo. Marco usiłował wstać, ale nogi miał przysypane gruzem, nie mógł się ruszyć.

W chwilę później przeżył kolejną katastrofę.

Huk powoli tracił na sile, ale łoskot całkiem nie ustał. Wciąż na głowę Marca sypał się ten potworny deszcz. Potem nastał chłód.

Z czymś takim Marco się nie liczył, nie miał też pojęcia, skąd się on bierze. Może z ukrytych w Górach Czarnych rezerw lodu?

Teraz zaczął padać lodowaty deszcz. Najpierw czarny i brudny, później czystszy, a wraz z nim pojaśniało też powietrze. Niewiele, w tych okolicach nigdy nie będzie jasno, wyglądało jednak na to, że większość poruszonej ziemi i wody już opadła w dół. Tak jest, kiedy dotknął głazu, przy którym siedział, stwierdził, że jest on pokryty warstwą lepkiego błota,

Niebezpieczeństwo nadchodziło przede wszystkich od tyłu. Deszcz był taki zimny, że krople padające na skałę zamarzały jak te fantastyczne kaskady, które widział kiedyś w górach w świecie zewnętrznym, bardzo dawno temu.

Potwornie marży mu plecy. Gdyby uniósł głowę i poświecił sobie kieszonkową latarką, mógłby zobaczyć, że przed nim powstało coś jakby kurtyna z mieniającego się różnymi odcieniami lodu. Zobaczyłby cudowne barwy mieszczące się między czernią i bielą, niebieski, zieleń w różnych odcieniach, brąz przechodzący w jaskrawą żółć... niewiarygodne, jak szybko powstał ten lód, Marco nie pojmował, co się dzieje.

Jeszcze raz podjął próbę wyswobodzenia się, ale kamienie kompletnie blokowały możliwość ruchu, a na dodatek miał tylko jedną rękę wolną i siły też już na wyczerpaniu. Udało mu się wydostać z kieszeni latarkę, telefon jednak był niedostępny. A przy tym dręczył go taki ból, że nie potrafił przesłać nikomu telepatycznej wiadomości.

Był wprawdzie nieśmiertelny, ale ból w nogach odczuwał, i to bardzo silnie! Cierpienie doprowadzało go do utraty przytomności, siedział tak niewygodnie, że całe ciało miał zdrętwiałe.

Straszna myśl krążyła mu po głowie.

Móri. Czarnoksiężnik. On także jest nieśmiertelny. I przeleżał dwieście pięćdziesiąt lat w wielkich bólach, żywcem pogrzebany, z pałem wbitym w piersi. Nikt nie przyszedł do jego grobu...

Czy jego czeka podobny los? A jeśli pozostanie tu jeszcze dłużej? Może całą wieczność?

Marco oparł głowę o pokrytą lodem ścianę i z rozpaczą myślał o strasznej przyszłości.

Sam. Sam przez tysiące lat?

J2 z trudem opuszczał dolinę.

- Może chociaż duchy moglibyście wysłać? - wybuchnęła Indra, pogrążona w czarnej rozpacz, że zostawiają oto Marca własnemu losowi. - Niech Mar pójdzie, on wie, gdzie Marco może być!

- Tak, pozwólcie mnie i Cieniowi odszukać Marca - prosił Mar.

Duch Powietrza uniósł ostrzegawczo rękę w górę.

- Nie! Żadne duchy, gdyby to było możliwe, to my już dawno byśmy pomogli szlachetnemu księciu. Tylko ludzie mogą się zbliżyć do czarnej wody i, jeśli dopisze im szczęście, uniknąć jej wpływu. My, duchy, zarówno władcy żywiołów, jak i te, do których zaliczają się Cień, Shira i Mar, należymy do innej sfery. Jesteśmy niezwykle wrażliwe na wpływy tych źródeł, mogą one zmieniać nasze charaktery. To dlatego dzisiejszej nocy szukaliśmy u was schronienia. Bardzo mi przykro, wysoko postawiony Obcy, ale my, duchy, nic nie możemy zrobić.

Siska weszła do dużego pomieszczenia z niepewnym wyrazem twarzy.

- Czy ktoś widział Tsi? Chciałam z nim porozmawiać.

Tsi? Wszyscy spoglądali po sobie. Pojazd podskoczył na jakiejś nierówności.

- Kiedy widziałem go po raz ostatni - oznajmił Freki - wchodził po schodach na wieżę.

Wielu słuchających zadrżało. Między innymi Ram.

On chyba nie...?

Obaj z Dolgiem wybiegli na pokład, skąd startowały gondole.

- Nie - szepnął Ram pobladłymi wargami.

Zrobiło się straszne zamieszanie. Siska płakała.

- Nie zdążyłam mu powiedzieć. A właśnie chciałam to zrobić!

- Czego nie zdążyłaś powiedzieć? - zapytał Faron.

- O dziecku - wyjaśniła Indra. - Bo Siska będzie miała dziecko. Dziecko Tsi.

Wśród zebranych rozległ się szum. Ale to drobne nieszczęście i może zaczekać. Teraz mają większe zmartwienia.

Ram zawołał na cały głos:

- Tsi? Tsi, słyszysz mnie?

W jego telefonie rozległy się trzaski i zaraz potem wszyscy z wielką ulgą wysłuchali odpowiedzi:

- Tak. Tutaj jest bardzo ciemno.

Mówił radośnie i z przejęciem. Tsi nareszcie może się do czegoś przydać! Ale Ram zaciskał zęby.

- Gdzie ty jesteś?

- Nie wiem. Tutaj jest ciemno jak w worku. Widzę tylko zniszczenia. Wszędzie ruiny. O, kolejny wybuch!

- Tsi, natychmiast wracaj!

- Bez Marca nie wrócę!

Ram zaklął cicho. Po czym powiedział do telefonu:

- Tsi, musisz porozmawiać z Marem. On może ci wskazać drogę.

- Bardzo dobrze, bo nic nie widzę i...

W telefonie rozległ się głos Mara, przerywając dalsze wyjaśnienia.

Mar dyrygował Tsi-Tsunggą, który naprawdę błędził, odkąd bowiem opuścili Dolinę Róż, leżał w łóżku, przeważnie nieprzytomny. Dla Mara nie było to łatwe zadanie. Ciemności i zniszczenie też, naturalnie, robiły swoje, a Tsi w ogóle nie znał dawnego krajobrazu, poza tym nieustannie dochodziło do kolejnych wybuchów, co jeszcze bardziej utrudniało sprawę.

Tak czy inaczej głównym punktem była zniszczona góra. Stamtąd Tsi mógł poprowadzić gondolę we właściwym kierunku.

Opady nie były już teraz takie gwałtowne. Oczywiście elf donosił o kamieniach i innym paskudztwie, które „celowało w niego”, ale on zawsze unikał trafienia. Uskakiwał w bok, w końcu był uważany za najlepszego kierowcę gondoli, czy nie?

Owszem, Mar musiał to przyznać, zresztą nie mógł inaczej, sytuacja była naprawdę groźna.

- Znalazłem zasypane źródło - donosił Tsi. - To znaczy myślę, że wiem, gdzie był Marco. - Bulgocze tu coś, w górę lecą jakieś okropieństwa. Hej, widzę prawdziwą fontannę!

- Nie jedź tam! - zawołał Mar przerażony. - Pomyśl, którądy Marco mógł uciekać, żeby się dostać na J2, i podążaj tą samą drogą.

- Aj, aj, kapitanie! - usłyszeli beztrouski głos Tsi. - A niech to licho, cisnęli jakiś nawóz do mojej pięknej gondoli. Czy mogę to wyrzucić?

- Gołymi rękami nie!

- To wykopię paskudztwo.

- Nie! - wrzasnął Mar. - Nie dotykaj tego!

Głos Tsi brzmiał równie spokojnie jak przedtem.

- Dotknąłem tego kluczem francuskim.

- No to wyrzucić z pokładu!

- Zrobione. Mar, leć teraz możliwą drogą Marca. Ale tu strasznie zimno!

- Zimno? Myślałbym raczej, że gorąco.

- Nie, nagle zacząłem strasznie marznąć. Och, udało mi się uniknąć jakiejś wielkiej bryły z nieba.

Tai zaczął kaszleć.

- Tfu! Ile tu kurzu!

- Tsi, bądź ostrożny!

- Mar! W tym czarnym nawozie widzę ślady Marca!

- A gdzie jesteś?

- Przy skale, która zamyka drogę.

Shira i Mar kiwali głowami. Wiedzieli, gdzie to. Musieli tam wypełnić trzy idiotyczne zadania, żeby iść dalej.

- Przeleć nad nią i zobaczę, co jest po tamtej stronie.

- Tak zrób.

Przez chwilę panowała cisza. Potem znowu odezwał się głos Tsi.

- Po tamtej stronie żadnych śladów.

- Jesteś pewien? Przyjrzyj się dobrze.

- Nie, teraz jestem zajęty. Ja myślę, że... ja przerwę na chwilę, Mar.

- Tsi! Tsi? Nie, no, wyłączył się, nie słyszy mnie.

Ram potrząsał telefonem i wzywał Tsi. Dzwonił wielokrotnie, ale chłopak najwyraźniej nie reagował na sygnały.

- Czy możemy to uznać za dobry znak? - zastanawiał się Ram, patrząc na swoich towarzyszy.

Nikt nie odpowiadał. Siska szlochała cicho. Na dworze znowu rozległ się łoskot.

Tsi-Tsungga przecierał oczy. Wiedział, że jest brudny i mokry od deszczu, trudno było cokolwiek rozróżnić w tych ciemnościach, mimo że miał reflektor w gondoli, a w dodatku zrobiło się strasznie zimno. Uświadomił sobie nagle, że to nie deszcz pada, ale brudny śnieg. Lodowato zimny śnieg, który lepi się do twarzy. Włosy kleiły się do czoła i wciąż musiał je odgarniać, ale poddać się?

Nigdy w życiu!

Siady po jednej stronie wzniesienia, po drugiej nic a nic. Skierował małą, zwinną gondolę między skały.

Gwałtowne wstrząsy też nie ustępowały. Powracały raz po raz, huk rozlegał się tuż, tuż oraz bardzo daleko w górach, gdzie spadał na ziemię popiół i różne inne świństwo.

Na Tsi-Tsungę też to spadało, ale obdarzony dobrym sercem elf, w którego prostym charakterze nie było miejsca na zdradę, był odporny na pozostałości zła, które musiały spadać na niego pod postacią ostrych ziarenek śniegu.

Przeleciał parę razy przez wielką szczelinę w skale, ale niczego nie zauważył i już zamierzał stąd odlecieć, kiedy usłyszał słabe wołanie. Tylko że wokół tak wiele było różnych hałasów, nie mógłby przysiąc, że tym razem dotarło do niego coś szczególnego.

Jeszcze raz spróbował przelecieć przez szczelinę. Znacznie niżej, gdzie było też ciaśniej. Z wielkim trudem wykonał ten manewr. Dotychczas latał ponad wielkim nawisem, teraz chciał spróbować przelecieć pod nim.

Nie udało się, otwór okazał się za wąski. Tsi-Tsungga zatrzymał gondolę, wylądował na stosunkowo płaskim miejscu i zaczął wołać Marca.

Natychmiast otrzymał odpowiedź. Przestraszone wołanie, pełne udręki i bólu.

Tsi posuwał się wolno w tym trudnym terenie. Wszędzie leżały porozrzucane bloki skalne.

Zawołał jeszcze raz. Teraz głos Marca odezwał się bardzo blisko, ale był dziwnie zdławiony.

Tsi przelazł przez kilka ogromnych głazów, zobaczył światełko kieszonkowej latarki i z zapalem pomachał swoją. Tsi-Tsungga nigdy niczego nie robił połowicznie.

W końcu odnalazł Marca.

Zasłonił usta ręką.

- O rany! No, niech mnie, jak my cię stąd wyciągniemy? - zawodził.

Podbiegł do przyjaciela i ukucnął przy nim.

- Zorganizujemy to jakoś - rzekł. - Powinienem tylko...

- Tsi-Tsungga - powiedział Marco słabym głosem. - Nigdy nikogo nie witałem z taką radością. Jesteś zdrowy, mój drogi?

- Jasna woda mnie uzdrowiła - wyjaśnił Tsi. - Halo, Ram? Znalazłem go. Ale potrzebujemy pomocy! Rosłych, silnych mężczyzn. Zresztą nie, poczekaj, to niemożliwe. Musimy sprowadzić tutaj J2. Tylko on ściągnie wielki głaz z nóg Marca, inaczej go nie uwolnimy.

Ram milczał przez chwilę.

- Dziękujemy, Tsi-Tsungga! Jedziemy do was.

- Tich, całą mocą do tyłu! - komenderował Ram.

- Zawracacie? - zapytał Ogień złośliwie.

- Tak. Właściwie księżę Marco powinien sam wrócić do domu, ponieważ jest nieśmiertelny, uznaliśmy jednak, że odpowiedzialność za jego powrót spoczywa na nas wszystkich. On został przygnieciony przez wielki głaz, a w takiej sytuacji nieśmiertelność to katastrofa. Nigdy nie pozwolimy, żeby nasz przyjaciel się tak męczył.

Duch Ognia głęboko odetchnął.

- Rozumiemy i respektujemy waszą decyzję.

Nowe wybuchy powtarzały się co chwila, już nie takie straszne jak na początku, ale i tak potężne. Tich prowadził swego ukochanego Juggernauta nie bez obaw z powrotem na teren katastrofy.

Minęli dolinę, w której tak długo stali. Wszędzie leżały zwłoki wojowników. Ani jeden nie przeżył.

Małe kamienie i bryły ziemi leciały na Juggernauta niczym grad, oni jednak niezrażeni posuwali się dalej. Wiedzieli, do jakiego celu zmierzają. To dodawało im zdecydowania.

- Teraz telefony działają - zauważył Ram. - Bo nie ma już muru.

On i Faron przez cały czas utrzymywali łączność z Tsi. Mar pomagał kierować J2 we właściwą stronę. Indra zapytała półgłosem władcę Ziemi:

- A jak ma się sprawa źródła dobra? Czy ono przetrwało?

- To dziwne, ale nie zostało nawet w najmniejszym stopniu uszkodzone przez to, co się stało ze źródłem zła - odparła Ziemia. - Wszystko wokół się rozpada, ale to źródło i jego otoczenie pozostają nietknięte.

- Droga do źródła również?

- Droga również. Ale już nikt nie będzie tamtędy chodził.

Indra skinęła głową.

- Jeszcze nie słyszeliśmy opowiadania Oka Nocy.

Tich z wielkim trudem kierował pojazd na teren, który kiedyś był zamknięty murem. Ponieważ jednak Góra Zła się zawaliła, powstała nowa droga w tamtą stronę. Będzie wprawdzie bardzo męcząca, ale prowadzi do celu.

Siska poprosiła, by pozwolono jej porozmawiać z Tsi przez telefon.

- Cześć, księżniczko - zawołał uszczęśliwiony. - Świetnie, że do nas jedziecie, Marco

bardzo cierpi, wciąż traci przytomność.

- Wkrótce do was dotrzemy! Bądź ostrożny, Tsi!

- Przecież wiesz, że jestem. Ale akurat teraz ważniejszy jest Marco.

- Dla mnie ty jesteś najważniejszy! Tsi... zostaniesz ojcem!

Wydawało się, że chłopak wypuścił telefon z ręki. Potem rozległ się taki głośny, radosny okrzyk, że musiała odsunąć słuchawkę na co najmniej pół metra. Nadał wibrowało jej w uszach.

Kiedy Tsi zakończył rozmowę z ukochaną, odwrócił się do Marca, żeby mu przekazać radosną wiadomość.

- Gratuluje, Tsi - rzekł Marco ciepło. - To dopiero będzie podniecające.

- Och, tak - westchnął bastard elfów i Lemuryjczyków szczerze wzruszony. - Pomyśleć, że to takie łatwe!

- Najłatwiejsze w świecie - rzekł Marco sucho. - I jaki fantastyczny rezultat!

Skrzywił się z bólu. Tsi dbał o niego najlepiej jak potrafił, podłożył mu swoją kurtkę pod plecy, żeby lodowata skała nie ziębiła go tak strasznie, opatrzył mu ranę na ramieniu i...

Podniósł niewielką butelkę.

- No prawda, całkiem zapomniałem! Mam ze sobą coś do picia, a ty musisz być strasznie spragniony?

- Jeszcze się pytasz!

Tsi z największą troskliwością uniósł butelkę i Marco pił. Wiele tego nie było, mimo wszystko to jednak ulga.

Dopóki nie chwyciły go skurcze i spazmy.

Tsi-Tsungga przyglądał mu się przestraszony.

- Oj, zapomniałem ci powiedzieć! To zaraz przejdzie, a potem poczujesz się wspaniale. Bo widzisz, to była jasna woda, oszczędziłem trochę z tego, czym mnie poili. Uważam, że potrzebujesz jej siły.

Odwrócił głowę.

- Zdaje się, że już są! Poczekaj tu, a ja wskażę im drogę.

Pobiegł.

Marco czekał pokornie, nie miał wyboru.

Słyszał głosy przyjaciół, pełen zapału głos Tsi i burkliwe chrząkanie Ticha. Pytania. Rozkazy.

Przyjechali! Jest uratowany, choć akurat teraz nie bardzo może się z tego cieszyć. Cierpiał dotkliwie bóle i...

Miał inne zmartwienia.

Gdy bóle w końcu ustąpiły, oparł się o skalę z westchnieniem rezygnacji. Szeptał zmęczony.

- Tsi-Tsungga, ty nieszczęsny pechowcze o dobrym sercu, coś ty narobił? Jasna woda dla mnie?

Przyjaciele przybiegli, żeby go uwolnić.

Tylko po co?